

WITAMY WELCOME

Wzmocnienie wschodniej flanki
NATO stało się faktem. Do Polski
przyjechało kilka tysięcy żołnierzy
ze Stanów Zjednoczonych.



POLSKA ZBROJNA



PRENUMERATA:
10 WYDAŃ
(OD NR. 3
DO 12)

ZAMÓW PRENUMERATĘ
NA 2017 ROK

e-mailem: prenumerata@zbrojni.pl

listownie: Wojskowy Instytut Wydawniczy, 00-909 Warszawa, Aleje Jerozolimskie 97
telefonicznie: +48 261 840 400

Warunkiem rozpoczęcia wysyłki jest wpłata 65 zł
na konto: 23 1130 1017 0020 1217 3820 0002

Z SZEREGU WYSTĄP



IZABELA
BORAŃSKA-
-CHMIELEWSKA

” AMERYKAŃSKA PANCERNA BRYGADOWA GRUPA BOJOWA JEST JUŻ W POLSCE.

Goście sprawdzili sprzęt, odbyły się pierwsze wspólne ćwiczenia, trwają intensywne szkolenia. Solidarność i jedność państw sojuszu została tym samym przypieczętowana, a realizacja postanowień szczytu NATO w Warszawie rozpoczęta. W stronę Żagania, Świętoszowa i Bolesławca zwrócone są dziś oczy nie tylko Polaków, lecz także mieszkańców innych krajów bałtyckich i Rumunii, gdzie zostanie przerzucona część amerykańskich wojsk. Od kwietnia w Polsce będzie stacjonować również wielonarodowa batalionowa grupa bojowa podlegająca dowództwu NATO.

Szkołą się też proobronni i uczniowie klas mundurowych. Zostały sformowane pierwsze trzy brygady wojsk obrony terytorialnej – w Białymstoku, Lublinie i Rzeszowie. Trwają także rozmowy z kandydatami na terytorialsów – bazy danych w sztabach wojskowych pękają w szwach od zgłoszeń, tak duże jest zainteresowanie służbą w nowym rodzaju sił zbrojnych.

Minister obrony narodowej Antoni Macierewicz osobiście otworzył pierwszy punkt informacyjny OT w Białymstoku, wkrótce w innych miastach powstaną kolejne. Chętni będą mogli się tam zarejestrować i uzyskać wszelkie informacje.





Zdjęcie na okładce:
 Michał Zieliński,
 MD/dział graficzny;
 na zdjęciu:
 plut. Krzysztof
 Dąbrowski
 i SPC (specjalista)
 Alex Boehmer

NR 2 (850)
LUTY 2017

TEMAT NUMERU

PAULINA GLIŃSKA, MAGDALENA
 KOWALSKA-SENDEK

10 / Żelazna flanka

Wszystko, czego chcielibyście się
 dowiedzieć o amerykańskim wojsku
 w Polsce.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

20 / Dwadzieścia cztery na siedem

Wrażenia żołnierzy z 3 Pancernej
 Brygadowej Grupy Bojowej z pierwszych
 dni pobytu w Świętoszowie.

TADEUSZ WRÓBEL

24 / Bojowa pieść

Jednostki stacjonujące w Polsce to
 zaledwie część amerykańskiej dywizji,
 której siły stacjonują w Europie
 Środkowej.

ARMIA

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

28 / Władcy przestworzy

Cichy strażnik polskiego nieba, czyli
 czym zajmuje się Centrum Operacji
 Powietrznych.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

36 / Potrójna siła

Podstawą funkcjonowania
 LITPOLUKRBRIG jest zgodna współpraca.
 Mimo różnych tradycji wojskowych
 i kulturowych.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

40 / Armia ochotników

Wojsko szkoli proobronnych.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

44 / Iks pisze historie

ORP „Kontradmirał Xawery Czernicki”
 w nowej misji na Morzu Śródziemnym.

ARKADIUSZ DWULATEK

48 / Trening bez pudła

Ćwiczenia strzeleckie w Gamberi okiem
 fotoreportera Combat Camery.

BOGUSŁAW POLITOWSKI

52 / Dowodzenie elita

Wywiad z płk. Piotrem Malinowskim
 o sile i wartości 17 Wielkopolskiej
 Brygady Zmechanizowanej.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

56 / Zalatani

O jednej z najbardziej zapracowanych
 jednostek w Polsce – 8 Bazy Lotnictwa
 Transportowego.

ARSENAŁ

MARCIN GÓRKA

66 / Lekkie i skuteczne

Jakiego wyposażenia potrzebują wojska
 obrony terytorialnej?

RAFAŁ CIASTOŃ

73 / Strategiczny wybór

Nowe okręty podwodne dla Norwegii.

KRZYSZTOF WILEWSKI

76 / Pioruny po gromach

Nowa era przenośnych zestawów
 przeciwlotniczych.

Znajdziesz nas tutaj:



TADEUSZ WRÓBEL

79 / Następca sto trzynastki

Armia amerykańska pozbywa się przestarzałych M113.

KRZYSZTOF WILEWSKI

82 / Czołg przyszłości

Czyżby po latach zastoju nastąpił przełom w pancernym wyścigu zbrojeń?

STRATEGIE

ROBERT SENDEK

88 / Inżynieria strachu

Lęki i fobie – tajna broń bałkańskich polityków.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

94 / Medialna dywersja

O rosyjskiej wojnie dezinformacyjnej mówi Jolanta Darczewska.

ANNA DĄBROWSKA

98 / Słowa jak pociski

Rozmowa z Elizabeth Wahl o prawdzie i propagandzie.

TADEUSZ WRÓBEL

100 / Przełomowy plan

Węgierska próba wzmocnienia armii.

TOMASZ OTŁOWSKI

104 / Przedwczesne doniesienia o śmierci

Państwo Islamskie udowadnia, że seria niepowodzeń nie oznacza od razu całkowitej klęski.

TADEUSZ WRÓBEL

108 / Spór o lakoty

Wzloty i upadki amerykańskiego programu wymiany lekkich śmigłowców wielozadaniowych.



HISTORIA

PIOTR KORCZYŃSKI

112 / Swoi czy obcy?

Niemcy w szeregach Armii Krajowej.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

118 / Długi powrót

Agnieszka Bogucka wspomina Janusza Brochwic-Lewińskiego „Gryfa”.

JAKUB NAWROCKI

121 / Dziwna gra

Dlaczego wypowiedzieliśmy wojnę Japończykom? I dlaczego nas zignorowali?

TADEUSZ WRÓBEL

124 / Grant kontra Lee

W cyklu o niezwykłych maszynach – czołgi średnie.

HORYZONTY

EWA KORSAK,

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

128 / Z tej samej gliny

Aleksander Tarnawski – idol żołnierzy GROM-u.



wiiw
WOJSKOWY INSTYTUT
WYDAWNICZY

DYREKTOR WOJSKOWEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO
Maciej Podczaski,
sekretariat@zbrojni.pl;
tel.: 261 845 365, 261 845 685, faks: 261 845 503;
Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ
Izabela Borańska-Chmielewska, tel.: 261 840 222;
ibc@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI

Aneta Wiśniewska, tel.: 261 845 213
Zastępcy sekretarza redakcji
Katarzyna Pietraszek, tel.: 261 840 227;
Joanna Rochowicz, tel.: 261 845 230;
polska-zbrojna@zbrojni.pl

TEKSTY

Anna Dąbrowska, Paulina Glińska, Ewa Korsak, Magdalena Miernicka, Bogusław Polowski, Małgorzata Schwarzgruber, Krzysztof Wilewski, Tadeusz Wróbel, tel.: 261 845 244, 261 845 604; Magdalena Kowalska-Sendek, tel.: 725 880 221; Rafał Ciasoń, Arkadiusz Dwuliatek, Andrzej Fafara, Marcin Górka, Włodzimierz Kaleta, Piotr Korczyński, Krzysztof Kubiak, Jakub Nawrocki, Tomasz Otłowski, Robert Sendek, Łukasz Zalesiński, Michał Zieliński

GRAFIKA

Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kępka,
Monika Siemaszko, tel.: 261 845 170;
Andrzej Witkowski (fotoedytor), tel.: 261 845 579

OPRACOWANIE STYLISTYCZNE

Marta Sachajko (kierownik), tel.: 261 845 244;
Renata Gromska, January Szustakowski,
tel.: 261 845 502

MARKETING I PROMOCJA

Piotr Jaszczuk (kierownik), Agnieszka Karaczun,
Anita Kwaterowska (tłumacz), Małgorzata Szustkowska,
Piotr Zarzycki, tel. 261 845 387, 261 845 180,
faks: 261 845 503; reklama@zbrojni.pl

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE

Poczta Polska Usługi Cyfrowe Sp. z o.o.
ul. Duninowska 9a, 87-823 Włocławek
tel: 542 315 201, 502 012 187
elzbieta.kurlapska@poczta-polska.pl

Numer zamknięto: 25.01.2017 r.

DRUK ARTDRUK ul. Napoleona 4, 05-230 Kobyłka,
www.artdruk.com

PRENUMERATA

Zamówienia na prenumeratę wydań papierowych „Polski Zbrojnej” można składać poprzez:

– www.polska-zbrojna.pl
– www.prenumerata.ruch.com.pl
– www.garmondpress.pl/prenumerata
– www.kolporter.com.pl/prenumerata

Sprzedaż bieżących wydań elektronicznych, w tym prenumeraty wydań elektronicznych „Polski Zbrojnej”, dostępna na: <http://e-kiosk.pl>, www.egazety.pl

PARTNER

NAC Narodowe Archiwum Cyfrowe.
170 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl



Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów. Egzemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: 261 840 400 Zasady przekazywania redakcji miesięcznika „Polska Zbrojna” materiałów tekstowych i graficznych opisuje regulamin dostępny na stronie głównej portalu polska-zbrojna.pl.

KADR





Już w pierwszych dniach stacjonowania w Polsce
żołnierze **3 PANCERNEJ BRYGADOWEJ GRUPY BOJOWEJ**
4 DYWIZJI PIECHOTY rozpoczęli intensywne szkolenie
w obiektach poligonowych w Żaganii i Świętoszowie.
Na strzelnicy czołgowej Karliki Amerykanie
przeprowadzili strzelania kalibrujące w celu sprawdzenia
działania systemów kierowania ogniem czołgów
M1A2 Abrams.

FOT. RAFAŁ MNIEDŁO / 11 LDKPanc

Cele strategiczne

Minister obrony przedstawił **najważniejsze zadania resortu w 2017 roku.**

Po spotkaniu premier Beaty Szydło z ministrami obrony oraz spraw wewnętrznych na temat najważniejszych wyzwań dla rządu na ten rok Antoni Macierewicz zaznaczył, że resort obrony będzie kładł nacisk na realizację programów modernizacji technicznej armii, a priorytetem będzie budowa obrony przeciwrakietowej Wisła. „Ponad miliard złotych przeznaczymy na tworzenie cyberobrony, w tym roku podpiszemy też kontrakt na dostawę trzech okrętów podwodnych”, zapowiedział minister. W 2017 roku będzie także realizowany program śmigłowcowy. Zakłada on kupno

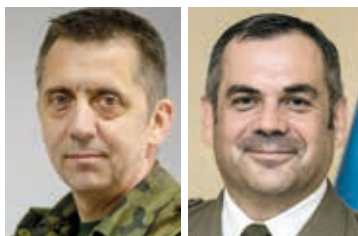
16 maszyn: po osiem dla wojsk specjalnych oraz przystosowanych do zwalczania zagrożeń na morzu. Minister ujawnił, że MON rozważa zakup kolejnych samolotów F-16, ale żadne decyzje w tej sprawie jeszcze nie zapadły.

Armię czeka także zmiana systemu kierowania i dowodzenia oraz realizacja postanowień, które zapadły podczas szczytu NATO w Warszawie, dotyczących wzmocnienia wschodniej flanki sojuszu. Szef MON stwierdził, że w najbliższych miesiącach do Polski przyjadą kolejni żołnierze NATO, którzy zostaną rozlokowani w zachodniej części

kraju oraz na wschodnim obszarze, gdzie będzie stacjonowała batalionowa grupa bojowa (więcej na ten temat na str. 10–19). **W sumie liczba sojuszniczych wojsk w Polsce przekroczy 6 tys.** Do priorytetów ministerstwa należy też dalsza budowa wojsk obrony terytorialnej. „W tym roku mają powstać kolejne trzy brygady, a dla żołnierzy tej formacji zostaną kupione m.in. najnowocześniejsze bezzałogowce czy rakiety bliskiego zasięgu”, mówił minister (więcej na ten temat na str. 78–80). Armia ma się zwiększyć do 125–130 tys. żołnierzy, a w 2019 roku do 150 tys. PZ, JT ■

Zmiany w armii

Gen. bryg. Sławomir Wojciechowski (na zdjęciu z lewej), dotąd zastępca dowódcy operacyjnego RSZ, został mianowany dowódcą operacyjnym. Zastąpił na tym stanowisku gen. broni Marka Tomaszewskiego, któremu z upływem 2016 roku skończyła się trzyletnia kadencja. Gen. Wojciechowski otrzymał także nominację na generała dywizji. Zająmował m.in. kierownicze stanowisko w Zarządzie Planowania Operacyjne-



go – P3 Sztabu Generalnego. Dowodził też 17 Wielkopolską Brygadą Zmechanizowaną, a w 2009 roku – IX zmianą PKW w Afganistanie.

Dowódcę mają także wojska obrony terytorialnej. Został nim gen. bryg. Wiesław Kukuła (na zdjęciu z prawej). Służbę rozpoczął w 1 Pułku Specjalnym Komandosów, był także oficerem operacyjnym w Dowództwie Wojsk Specjalnych. W latach 2003–2004 służył w międzynarodowych siłach stabilizacyjnych w Iraku. Ostatnio przez cztery lata dowodził Jednostką Wojskową Komandosów w Lublińcu. PZ, MM ■

Polskie operacje

Decyzją prezydenta pobyt polskich żołnierzy na misjach został przedłużony.

Zgodnie z postanowieniem prezydenta Andrzeja Dudy do 30 czerwca 2017 roku została przedłużona misja polskiego kontyngentu wojskowego w siłach międzynarodowych w Kosowie i Byłej Jugosłowiańskiej Republice Macedonii. Będzie on liczył do 300 żołnierzy i pracowników wojska. Do 30 czerwca przedłużono też okres użycia PKW w natowskiej misji szkoleniowo-doradczej „Resolute Support” w Afganistanie. Tamtejszy kontyngent liczy do 250 żołnierzy i pracowników, w tym do 50 żołnierzy w odwodzie w Polsce. Także wojskowa misja szkoleniowa Unii Europejskiej w Republice Środkowoafrykańskiej potrwa do 30 czerwca 2017 roku. Prezydent zdecydował również o wykorzystaniu od 1 stycznia do 6 lipca 2017 roku PKW, liczącego do 70 żołnierzy w składzie Stałego Zespołu Sił Obrony Przeciwninowej Organizacji Traktatu Północnoatlantyckiego – Grupa 2 (SNMCMG2) na Morzu Śródziemnym, Morzu

Czarnym i Morzu Egejskim (więcej na ten temat na str. 44–47).

Zwierzchnik sił zbrojnych wydał postanowienie o przedłużeniu do 30 czerwca użycia PKW w operacji „Inherent Resolve”, skierowanej przeciw tzw. Państwu Islamskiemu w Kuwejcie, Iraku oraz Katarze, a także wchodzącego w skład sił tej samej operacji polskiego kontyngentu stacjonującego w Iraku, Jordanii i Kuwejcie. Pierwszy z tych PKW będzie liczył do 150 żołnierzy i pracowników wojska, drugi do 80 żołnierzy, w tym do 10 żołnierzy w odwodzie w kraju. Na międzynarodową operację przeciwko terrorystom prowadzoną na Bliskim Wschodzie wyleciała też do Kuwejtu druga zmiana polskich lotników. Tworzy ją niemal 150 żołnierzy i pracowników, głównie z 32 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Łasku, oraz cztery samoloty F-16. W sumie w kontyngentach wojskowych za granicą służy około 660 wojskowych. PZ, AD, MKS ■

Drzwi do wojska

Otwarto punkty informacyjne dla kandydatów do służby w WOT.

To historyczny dzień, nie mniej istotny niż obecność wojsk amerykańskich w Polsce”, mówił minister Antoni Macierewicz w Białymstoku w czasie otwarcia na terenie wojewódzkiego sztabu wojskowego punktu informacyjnego dla kandydatów do służby w wojskach obrony terytorialnej.

Podobne punkty uruchomione zostały na terenie całego kraju na szczeblu WSzW i wojskowych komend uzupełnień. Ich głównym zadaniem będzie udzielanie informacji osobom zainteresowanym podjęciem służby w WOT, przyjmowanie wniosków oraz rejestrowanie ochotników. W punktach będzie również można uzyskać informacje na temat wolnych stanowisk oraz planowanych terminów i miejsc szkoleń podstawowych organizowanych przez jednostki WOT. AD ■



Ruszyła obrona terytorialna

Armia ma nowy rodzaj sił zbrojnych

Od początku roku, dzięki nowelizacji ustawy o powszechnym obowiązku obrony, do polskiej armii został wprowadzony nowy rodzaj sił zbrojnych – wojska obrony terytorialnej. W skład WOT-u będą wchodzić żołnierze zawodowi oraz rezerwiści i ochotnicy niemający wojsko-

wych doświadczeń. Żołnierze powoływani po raz pierwszy będą kierowani na szesnastodniowe szkolenie podstawowe. Będzie to służba dyspozycyjna oraz rotacyjna – co najmniej raz w miesiącu przez dwa dni w czasie wolnym od pracy. Ma trwać od 12 miesięcy do 6 lat z możliwością przedłużenia. Ustawa przewiduje też pierwszeństwo służby w WOT dla członków organizacji proobronnych

i absolwentów klas wojskowych. MON zakłada, że w 2018 roku WOT będą liczyć około 35 tys. żołnierzy, a w roku 2019 – 53 tys.

Koszty tworzenia i funkcjonowania WOT-u do tego czasu rząd szacuje na 3,6 mld zł.

W ciągu kilku lat MON zamierza utworzyć 17 brygad. W pierwszej kolejności w Podlaskiem, Lubelskiem i Podkarpackiem, oraz cztery bataliony – w Białymstoku, Lublinie, Rzeszowie i Siedlcach. WOT będą podlegały ministrowi obrony narodowej. PZ, PG, MKS ■

TEMAT NUMERU

/ AMERYKAŃSKIE WSPARCIE



PAULINA GLIŃSKA
MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

ŻELAZNA FLANKA

Kilka tysięcy żołnierzy ze Stanów Zjednoczonych przyjechało do Polski. To historyczny moment nie tylko dla naszego kraju, lecz także całego sojuszu. Zapowiadane wzmocnienie wschodniej flanki NATO stało się faktem.

Bezpieczeństwo ojczyzny i Polaków jest kwestią nadrzędną i uczynimy wszystko, by polscy obywatele w swoim domu, w Polsce, mogli czuć się bezpiecznie. Właśnie realizowanie takich przedsięwzięć, tworzenie wspólnie z naszymi sojusznikami strategii wojskowych i obronnych nakierowanych na pokojowe budowanie bezpieczeństwa, jest celem, który sobie stawiamy”, podkreślała premier Beata Szydło podczas powitania amerykańskich żołnierzy w Polsce. W ceremonii wzięli udział

m.in. Antoni Macierewicz, minister obrony narodowej, Paul Jones, ambasador USA w Polsce, gen. dyw. Timothy McGuire, zastępca dowódcy wojsk Stanów Zjednoczonych w Europie, gen. broni Leszek Surawski, pierwszy zastępca dowódcy generalnego, gen. dyw. Jarosław Mika oraz dowódca 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej. Na uroczystej zbiórce zameldowali się także główni goście, czyli żołnierze 3 Pancernej Brygadowej Grupy Bojowej (3rd Armored Brigade Combat Team – ABCT) z Fortu Carson w Kolorado.

O wzmocnieniu wschodniej flanki sojuszu północnoatlantyckiego mówiło się już podczas szczytu NATO w Walii w 2014 roku. W praktyce chodziło o stałą, ale rotacyjną służbę żołnierzy sił międzynarodowych. Zakładano, że pododdziały mają być gotowe do natychmiastowego działania w razie jakiegokolwiek agresji. Postanowienie o wzmocnieniu wschodniej ściany NATO zbiegło się z rozpoczęciem operacji „Atlantic Resolve” – będącej odpowiedzią na agresję Rosji wobec Ukrainy – i do Polski oraz sąsiednich krajów przyjechali żołnierze armii amerykańskiej (np. 173 Brygada Powietrznodesantowa). Konkretnie decyzje zmierzające do wzmocnienia wschodniej flanki podjęto na ubiegłorocznym szczycie NATO w Warszawie. Prezydent Stanów Zjednoczonych Barack

Obama poinformował wtedy, że w ramach amerykańskiej inicjatywy wzmocnienia regionu, tzw. European Reassurance Initiative (ERI), w Polsce będzie działać pancerna brygadowa grupa bojowa oraz wspierająca ją grupa zadaniowa brygady lotnictwa bojowego. Ale to nie wszystko. Podano też do wiadomości, że już w 2017 roku rozpoczną funkcjonowanie cztery międzynarodowe bataliony: na Łotwie, Litwie, w Estonii oraz Polsce. Siły te będą stacjonować w ramach wzmocnionej wysuniętej obecności NATO (enhanced Forward Presence – eFP).

SPEŁNIONA OBIETNICA

Przygotowania do przyjęcia sojusznicznych sił w Polsce rozpoczęły się jesienią 2016 roku. Konsultacje z USA prowadził polski resort obrony. Ustalano szczegóły pobytu amerykańskich żołnierzy, m.in. kwestie przerzutu sprzętu i ludzi, miejsca ich stacjonowania, zakwaterowania i składowania sprzętu. Przed przybyciem Amerykanów intensywnie pracowali także wojskowi w poszczególnych garnizonach i instytucjach centralnych. W Dowództwie Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych powstał np. zespół zadaniowy, który odpowiadał za przygotowania do przyjazdu żołnierzy.

Jako pierwsza w Polsce zameldowała się pancerna brygadowa grupa bojowa, w której skład wchodzi 3 Pancerna Brygadowa Grupa Bojowa z 4 Dywizji Piechoty, stacjonująca na co dzień w Fort Carson w Kolorado. Pancerniacy z USA 8 stycznia wylądowali we Wrocławiu, a następnie przenieśli się do Żagania. To właśnie w pancernej stolicy Polski będą rozlokowane największe siły amerykańskie. Żołnierze US Army mają współpracować ze stacjonującymi w Żaganiu wojskowymi z 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej.

Niemal w tym samym czasie konwój morski z pojazdami dla amerykańskich sił w Europie dotarł do Bremerhaven, portu w północno-za-



W ceremonii powitania amerykańskich żołnierzy w Polsce wzięli udział m.in. Antoni Macierewicz, minister obrony narodowej, i Paul Jones, ambasador USA w Polsce.

KOMENTARZ



DANIEL MARCHEWKA

Jesteśmy zadowoleni z przyjazdu amerykańskich żołnierzy, w przeciwieństwie do mieszkańców Niemiec, gdzie w takiej sytuacji zapowiadano protesty. Żagań zawsze był związany z wojskiem, ono wrosło w naszą mentalność i funkcjonowanie regionu. Teraz jeszcze trudno nam ocenić, czy miasto odniesie z ich pobytu jakieś korzyści. To się okaże za jakiś czas. Widzę jednak pozytywne działania ze strony lokalnych przedsiębiorców, handlowców, restauratorów. Oni wiedzą, że ci żołnierze będą wychodzili na przepustki, będą chcieli coś zjeść, zrobić zakupy, dobrze spędzić czas wolny. Chcemy być na to przygotowani. Dziś natomiast zauważamy już to, że pobyt Amerykanów u nas jest olbrzymią promocją miasta w kraju i na świecie. ■

DANIEL MARCHEWKA jest burmistrzem Żagania

SZANSA DLA SAMORZĄDÓW?

W Polsce nie powstaną oddzielne bazy dla Amerykanów. Nie zobaczymy więc typowych amerykańskich minimiasteczek z rozbudowaną infrastrukturą i zapleczem w postaci przedszkoli i sklepów. Goście zamieszkają w budynkach

koszarowych, ewentualnie w obozowiskach. W Polsce będą stacjonować w systemie rotacyjnym, przy czym jedna zmiana ma trwać dziewięć miesięcy. Nie wiadomo jednak, w jakim stopniu na przyjeździe amerykańskich żołnierzy zyskają

lokalni przedsiębiorcy. Szansę mają z pewnością miejscowe firmy, bo Amerykanie chętnie korzystają z różnego rodzaju ofert usługowych, kulturalnych i gastronomicznych. Tak było m.in. podczas ostatnich manewrów „Anakonda”. ■

chodnich Niemczech. Tam rozpoczęła się operacja przetrzutu brygady pancernej. Sprzęt sojuszników, w tym czołgi, transportery opancerzone i haubice samobieżne, przewieziono do Polski koleją oraz wojskowymi konwojami. Większość amerykańskich żołnierzy do naszego kraju dotarła samolotami.

Pierwsze, symboliczne powitanie odbyło się 12 stycznia, kiedy przyjechał amerykański konwój z płk. Christopherem R. Norrie’em, dowódcą 3 Pancernej Brygadowej Grupy Bojowej na czele. Sojuszników powitali żołnierze 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej. „Światowy

terroryzm, przemoc, okrucieństwo, które sięją strach wśród narodów wszystkich krajów, nieprzestrzeganie prawa do samostanowienia narodów, brak respektu dla nienaruszalności granic terytorialnych państw – to wszystko jest odpowiedzią na pytanie, dlaczego jesteśmy dzisiaj razem”, mówił gen. dyw. Jarosław Mika, dowódca Czarnej Dywizji. Poinformował też, że już za kilka dni Amerykanie rozpoczną ćwiczenia we współpracy z jego podwładnymi. „Najpierw na poligonie zostanie sprawdzony amerykański sprzęt, w tym czołgi i transportery, a później odbędą się pierwsze wspólne strzelania”, zapowiedział. ➔



KOMENTARZ



SCOTT WALTERS

W Polsce żołnierze będą przeglądać sprzęt, zanim rozjadą się także po innych krajach regionu. Hasło naszej brygady brzmi „Mocni jak żelazo”. Chcemy tę dewizę przenieść do krajów, w których będziemy stacjonować. ■

Kapitan SCOTT WALTERS jest oficerem informacyjnym z Fortu Carson w Colorado. Z wypowiedzi dla Agencji Informacyjnej Polska Press.

SWOBODNY RUCH

Zgodę na przemieszczanie się wojsk obcych na terytorium RP może wydać minister obrony lub w jego imieniu dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych. Oczywiście wszelkiego rodzaju konwoje muszą być wcześniej zgłoszone. Jeśli konieczność przemieszczających się żołnierzy przekracza tysiąc osób, należy o tym poinformować radę ministrów. Ciekawą kwestią jest transport lądowy wojsk wchodzących w skład batalionowej grupy bojowej, która ma stacjonować w Bismowie Piskim, ale też pododdziałów w krajach nadbałtycz-

kich. Ich przejazd przez Polskę jest regulowany m.in. decyzją nr 32 ministra obrony narodowej z lutego 2016 roku oraz stosownymi rozporządzeniami. Zapewnienie swobodnego ruchu – tranzytu wojsk ma istotne znaczenie w sytuacji operacyjnego wykorzystania batalionu. Przykładem takiego swobodnego tranzytu był m.in. Dragoon Ride. W marcu 2015 roku Amerykanie przeprowadzili przerzut lądowy swoich sił z Estonii do Niemiec, pokonując przez dziesięć dni terytorium sześciu państw i dystans 1800 km. ■

Z cła i podatków jest zwolniony import na potrzeby sił zbrojnych USA i mienia osobistego personelu. Dodatkowo wprowadzono zasadę, że dochód uzyskany przez podmioty amerykańskie od sił zbrojnych USA nie będzie podlegał opodatkowaniu w Polsce (opodatkowanie nastąpi na zasadach przewidzianych przez prawo USA). ■

KOMENTARZ



JAROSŁAW MIKA

Po przemieszczeniu się na tak dużą odległość najważniejszym zadaniem amerykańskich żołnierzy jest osiągnięcie gotowości do działania. Meldunek amerykańskiego dowódcy na ten temat jest gwarancją, że możemy rozpocząć wspólne szkolenie. Dlatego w ciągu najbliższych dni nasi sojusznicy będą przeglądali swoje uzbrojenie po długim transporcie. Potrzebne jest sprawdzenie i zgrzywanie nastaw, aby czołgi, transportery i inna broń były przygotowane do użycia. W tym samym czasie Dowództwo Generalne Rodzajów Sił Zbrojnych planuje już wspólne szkolenia i ćwiczenia. Oczywiście najważniejsze będą ćwiczenia „Dragon '17”, a z dywizyjnych – „Borsuk”. ■

Gen. dyw. JAROSŁAW MIKA jest dowódcą 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej.

W sumie jednostka sojuszników będzie liczyła 4 tys. żołnierzy, którzy będą mieli do dyspozycji 400 pojazdów gaśnicowych i ponad 900 kołowych, w tym: 87 czołgów M1A2 Abrams, 18 samobieżnych haubic Paladin, 144 bojowe wozy piechoty Bradley i 419 samochodów Humvee.

W ramach pierwszej rotacji pancernej brygadowej grupy bojowej dowództwo brygady oraz

batalion inżynieryjny i wsparcia brygady, 3 Batalion 29 Pułku Artylerii i 4 Batalion 10 Pułku Kawalerii będą stacjonowały w obiektach wojskowych w Żaganiu, Świątoszowie, Skwierzynie i Bolesławcu. Pozostałe pododdziały ABCT zostaną rozlokowane w innych krajach. Zgodnie z planem jeden batalion ma stacjonować na terenie jednego z krajów nadbałtyckich, inne trafią do Rumunii i Bułgarii, a ten, który →



prowadzi szkolenie i zajmuje się konserwacją sprzętu wojskowego, znajdzie się w Grafenwöhr w Niemczech.

Struktury dowódcze 4 Dywizji Piechoty zostaną ulokowane w niemieckim Baumholder, gdzie od 2015 roku działa jedno z regionalnych dowództw USA w Europie. Amerykańskie siły w Polsce wzmocni także 10 Brygada Lotnictwa Bojowego, która w lutym rozpocznie przebazowanie z Fortu Drum w stanie Nowy Jork. Jednostka będzie liczyć około 2,2 tys. żołnierzy. Dowództwo lotników znajdzie się w bawarskim Illesheim, ale bazy śmigłowców będą też rozlokowane na Łotwie, w Rumunii i Polsce.

„Do Powidza przybyła już pierwsza grupa amerykańskich żołnierzy. To ponad 40 osób z batalionu zabezpieczenia logistycznego, która ma się zająć sprawami związanymi z przylotem



Jako pierwsza w Polsce zameldowała się pancerna brygadowa grupa bojowa, w której skład wchodzi 3 Pancerna Brygadowa Grupa Bojowa z 4 Dywizji Piechoty.

KOMENTARZ



TIMOTHY P. MCGUIRE

Jesteśmy dumni z tego, że możemy być w Polsce. Nasza wspólna historia, wyznawane wartości są dowodem trwałej przyjaźni. Wojskowe przymierze między Polską i Stanami Zjednoczonymi ma 238 lat i nigdy nie było silniejsze. Polski i amerykański bohater gen. Kazimierz Pułaski po dotarciu do Ameryki napisał do Jerzego Waszyngtona, że dotarł tam, gdzie bronią wolności, by służyć tej sprawie. W duchu wypowiedzi gen. Pułaskiego mogę stwierdzić, że „żelazna brygada” jest tu po to, by bronić wolności. Przybycie 3 Brygady Bojowej jest dowodem naszego trwałego zobowiązania wobec Polski i sojuszu północnoatlantyckiego. ■

Gen. dyw. TIMOTHY P. MCGUIRE jest zastępcą dowódcy wojsk lądowych USA w Europie.

Wypowiedź podczas powitania US Army w Żaganiu.

NOWE KONTYNGENTY

Podczas szczytu NATO w Warszawie postanowiono o wzmocnieniu obecności sojuszu w regionie Morza Czarnego, w trybie dostosowanej wysuniętej obecności (tailored Forward Presence – tFP). Podstawą jej będzie międzynarodowa brygada w Rumunii, do której Pol-

ska planuje skierować siły wielkości kompanii. Wydzielenie pododdziałów Sił Zbrojnych RP do wzmocnienia południowej flanki NATO nastąpi w formie „użycia” – zgodnie z ustawą o zasadach użycia lub pobytu Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej poza grani-

cami państwa, przy założeniu, że termin „użycie” będzie oznaczał obecność polskich jednostek wojskowych poza granicami państwa dla wzmocnienia sił państwa lub państw sojuszników. Wydzielone siły będą stanowić polskie kontyngenty wojskowe. ■

Amerykanów”, mówi kpt. Martyna Fedro-Samojedny, oficer prasowy 3 Skrzydła Lotnictwa Transportowego. Rzeczniczka informuje także, że na terenie 33 Bazy będą stacjonować wojskowi z 18 Combat Sustainment Support Battalion i Combat Aviation Brigade. „Do końca marca mamy być gotowi do przyjęcia ponad 400 amerykańskich żołnierzy, a do końca roku będziemy mieć ich tu około tysiąca”, uzupełnia. Amerykanie będą korzystać z infrastruktury 33 Bazy Lotnictwa Transportowego – budynków

koszarowych, sztabowych oraz płyty lotniska. Lotnicy z USAF najprawdopodobniej zostaną wyposażeni w śmigłowce Chinook, Black Hawk oraz Apache. Zadaniem amerykańskich żołnierzy będzie wsparcie z powietrza stacjonującej w Żaganiu amerykańskiej „żelaznej brygady”.

„Z Amerykanami szkoliliśmy się już wielokrotnie. Znamy ich mentalność i sposoby działania. Nie mamy najmniejszych kompleksów, jeśli chodzi o wyszkolenie czy sprzęt. Mamy taką samą siłę ognia, jak ich załogi. Skoro będą w Polsce tak długo, to może kiedyś pozwolą nam przetestować swój sprzęt. Uważamy, że po bardzo krótkim przygotowaniu bez problemu potrafilibyśmy wykonać strzelania z Abramsa”, mówi kpr. Maciej Jagiełło, dowódca załogi czołgu Leopard 2A4 z 10 Brygady Kawalerii Pancernej ze Świątoszowa. „Cieszę się, że będziemy mogli doskonalić współpracę, a przy okazji podciągniemy się z angielskiego. Podobno już w lutym mamy wyjechać na poligon na pierwsze wspólne ćwiczenia. Lepiej jest ➔

współdziałać z kimś trochę lepszym lub podobnie wyszkolonym niż z kimś słabszym, kto dopiero uczy się podstaw działania bojowego”, dodaje podoficer.

AMERYKANIE NA MAZURACH

Pancerniacy i lotnicy to jednak niecałe wsparcie zza oceanu. Trwają ostatnie przygotowania do przyjazdu do Polski kolejnych pododdziałów amerykańskich i innych. W ramach wzmocnionej wysuniętej obecności NATO w tej części Europy będą bowiem działać cztery batalionowe grupy bojowe. Po jednej w Estonii, Polsce, na Litwie i Łotwie. Pododdziały amerykańskie mają współpracować z siłami zbrojnymi państwa gospodarza i będą stale obecne w danym kraju, co ma z kolei wzmocnić bezpieczeństwo w regionie. Państwem ramowym dla batalionowej grupy bojowej na Litwie będą Niemcy, na Łotwie będzie Kanada, w Estonii – Wielka Brytania, a w Polsce będą Amerykanie.

Do naszego kraju żołnierze ci przyjadą już na przełomie marca i kwietnia. Polską grupę bojową będzie tworzyć około tysiąca wojskowych. Oprócz Polaków i Amerykanów z 2 Batalionu 2 Pułku Kawalerii (stacjonującego na co dzień w niemieckim Vilseck) w jej skład wejdą także Rumuni i Brytyjczycy (rozważany jest także udział

Chorwatów). Amerykanie przywiozą ze sobą 70 wozów Stryker.

W Polsce wojska amerykańskie będzie gościła 15 Brygada Zmechanizowana. „Całą infrastrukturę przygotowujemy dla nich w Bemowie Piskim, gdzie mieści się Ośrodek Szkolenia Wojsk Lądowych. Żołnierze będą mogli korzystać z dużego kompleksu koszarowego, bloków dydaktycznych, stołówek stacjonarnych. Niedawno ośrodek został wyremontowany, zmodernizowano budynki, niektóre są jeszcze teraz odświeżane i wyposażane. Przygotowano także nową myjnię dla pojazdów kołowych i warsztaty. Na warunki w Bemowie nie można narzekać”, przyznaje gen. bryg. Jarosław Gromadziński, dowódca 15 Brygady Zmechanizowanej w Giżycku.

Obecność Amerykanów w Giżycku będzie znaczącym wzmocnieniem dla 15 Brygady, która już jest jedną z największych jednostek w Polsce. Nowy międzynarodowy batalion wejdzie w jej skład. To gen. Gromadziński będzie decydował o szkoleniu i ćwiczeniach amerykańskich żołnierzy. „Batalion włączymy w system dowodzenia i szkolenia 15 Brygady. Różnimy się trochę, bo my jesteśmy ciężką brygadą wyposażoną w sprzęt gasienicowy, a Amerykanie tworzą lekki pododdział z transporterami kołowymi. Z tych różnic wynikają jednak tylko korzyści.



TRZY PYTANIA DO

Zbigniewa Nowaka

Jakiego rodzaju porozumienia i umowy międzynarodowe mają bezpośredni wpływ na obecność i aktywność sił amerykańskich oraz innych jednostek NATO w Polsce?

Podstawy prawne dotyczące przyjazdu do Polski amerykańskich żołnierzy w głównej mierze regulują: NATO SOFA [Status of Forces Agreement], umowa SOFA RP – USA wraz z porozumieniami implementacyjnymi, a także ustawa o zasadach pobytu wojsk obcych na terytorium Rzeczypospolitej Pol-

skiej oraz zasadach ich przemieszczania się przez to terytorium. Ten ostatni akt, znowelizowany w 2016 roku, pozwala na pobyt wojsk obcych, w szczególności państw członkowskich organizacji międzynarodowych NATO i UE, w formie wzmocnienia wojskowego Sił Zbrojnych RP w operacjach wojskowych prowadzonych na terytorium Polski w czasie pokoju. Jeżeli jednak obce wojska mają stacjonować na naszym terytorium dłużej niż trzy miesiące, to konieczne jest jeszcze wydanie uchwały prezesa

Rady Ministrów. Ta dotycząca Amerykanów jest już przygotowana, a teraz są procedowane te dotyczące pobytu na terytorium RP wojsk brytyjskich i rumuńskich.

Co określają te dokumenty?

Precyzyjnie wskazują m.in. skład sił, strukturę pododdziałów oraz liczebność wojsk amerykańskich. I tak np. w uchwale z 2016 roku wyrażona została zgoda na pobyt w Polsce sił amerykańskich o liczebności nieprzekraczającej 20 tys. żołnierzy. Obecność tych

W ŻAGANIU, PANCERNEJ STOLICY POLSKI, BĘDĄ ROZŁOKOWANE NAJWIĘKSZE SIŁY AMERYKAŃSKIE

Będziemy się wzajemnie uzupełniać i pracować, jak to mówią Amerykanie, na poziomie »broni połączonej«. Podkreślam, że czeka nas codzienna intensywna praca, a nie kilkutygodniowe ćwiczenia poligonowe», uzupełnia gen. Gromadziński.

Dowódca 15 Brygady Zmechanizowanej zaznacza także, że jego podwładni mają doświadczenia z misji zagranicznych, m.in. Afganistanu i Kosowa, gdzie mieli

okazję sprawdzić się w międzynarodowym środowisku. Dlatego nie muszą się specjalnie przygotowywać do współdziałania z żołnierzami innych armii. „Pewną przeszkodą może być tylko zbyt mała znajomość języka angielskiego wśród podoficerów i szeregowych, ale nad tym pracujemy. W brygadzie odbywają się kursy językowe – doskonalące i podstawowe”.

Z tą grupą wojsk w systemie rotacyjnym będzie współdziałać głównie 1 Batalion Zmechanizowany Szwolców Mazowieckich 15 Brygady, którego dowódca ppłk Leszek Flis przyznaje, że jego żołnierze nie mają powodów do obaw. „Będziemy wymieniać się doświadczeniami i wiedzą np. na temat sprzętu i procedur, jak przystało na równorzędnych partnerów”, mówi. „Teraz ustalamy wszystkie warianty współpracy. Pewne jest to, że zajęcia na poziomie kompanii będą miały charakter międzynarodowy. Przewidziane są wspólne strzelania i ćwiczenia taktyczne”, podkreśla ppłk Flis.

Koordinacją działań czterech batalionów NATO zajmie się międzynarodowe dowództwo dywizji w Elblągu. Nowa struktura powstanie w połowie roku na bazie dowództwa 16 Dywizji Zmechanizowanej. Jej dowódcą zostanie polski oficer.

WSPÓŁPRACA: BOGUSŁAW POLITOWSKI

wojsk w Polsce reguluje także wspomniana polsko-amerykańska umowa z 2009 roku, tzw. NATO SOFA, a jej uzupełnieniem jest porozumienie międzynarodowe, tzw. SOFA Supplemental, także z 2009 roku. We wspomnianych dokumentach, a także dokumentach wykonawczych do nich, zawarto najważniejsze przepisy prawne. Chodzi tu np. o warunki korzystania z uzgodnionych obiektów i terenów, własność mienia, zwolnienia podatkowe. Zostały też uregulowane kwestie dotyczące dyscypliny, zasad zatrzymania i nadzoru personelu amerykańskiego oraz jurysdykcji karnej.

Czy żołnierze i pracownicy wojska US Army będą podlegać pod polską jurysdykcję?

W tej kwestii natowska umowa SOFA zakłada, że członkowie sił zbrojnych innych państw oraz ich personel cywilny i rodziny mają obowiązek przestrzegać prawa państwa gospodarza. Jest jedno „ale”. Choć w sprawach karnych mamy pierwszeństwo, a także jesteśmy upoważnieni do ścigania i karania osób, które popełniły czyny zabronione przez polskie prawo, to zgodnie z umową SOFA Supplemental istnieje możliwość zrzeczenia się przez stronę polską na rzecz amerykańskiej pierwszeństwa w sprawowaniu jurysdykcji karnej, zresztą na zasadach wskazanych w NATO SOFA. Nie dotyczy to jednak spraw o szczególnym znaczeniu dla Rzeczypospolitej Polskiej. Wyjęte spod polskiej jurysdykcji będą też czyny

popełnione wyłącznie na szkodę Stanów Zjednoczonych. Muszę przyznać, że sprawy jurysdykcji budzą najczęściej wątpliwości. Dlatego teraz, ze względu na liczebność pododdziałów amerykańskich w Polsce, będzie przygotowywany przewodnik po rodzimych procedurach prawnych. Chcemy w nim zawrzeć główne zasady z obowiązujących regulaminów, przepisów, wytycznych. Powinien je znać każdy amerykański żołnierz, ale też muszą one być przejrzyste dla prokuratorów działów ds. wojskowych oraz żołnierzy Żandarmerii Wojskowej.

Ppłk dr ZBIGNIEW NOWAK
jest szefem Wydziału Prawa
Publicznego w Oddziale Prawnym
Dowództwa Generalnego Rodzajów
Sił Zbrojnych.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

DWADZIEŚCIA CZTERY NA SIEDEM

W połowie stycznia do jednostek w Żaganiu i Świątoszowie dotarli pierwsi amerykańscy żołnierze z 3 Pancernej Brygadowej Grupy Bojowej. Od tej chwili Polska stała się ich nowym domem.

Między poustawianymi w równych rzędach bradleyami uwijają się dziesiątki amerykańskich żołnierzy. W pierwszej chwili można odnieść wrażenie, że na pokrytym lodem „parkingu” panuje chaos, dopiero po chwili w krzątaniu dostrzega się pewne prawidłowości. Część wojskowych porządkuje wnętrza wozów bojowych, które po ciągnącej się przez wiele tygodni podróży ponownie trafiły w ich ręce. Do łuku transportowego pakują ekwipunek osobisty, siatki maskujące, taśmy z ćwiczebną amunicją. Przy jednym z uchylnych włazów leży cała paleta napojów energetycznych. Trudno się dziwić, przerzut 3 Pancernej Brygadowej Grupy Bojowej 4 Dywizji Piechoty trwa bez względu na porę dnia. W celu usprawnienia logistyki żołnierze pracują i w dzień i w nocy. Dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu.

„Najtrudniejszą częścią przerzutu jest transport kolejowy i rozładunek. Zależy nam na czasie, ale musimy zadbąć również o bezpieczeństwo żołnierzy. Dzisiaj w nocy dotarł kolejny skład, zaraz przed drugą. W tym budynku mechanicy sprawdzają pojazdy i przygotowują je do służby”. Kpt. John Moffett z 4 Skrzydła 10 Pułku Kawalerii odsuwa masywne drzwi hangaru. Wewnątrz →

MICHAŁ ZIELIŃSKI





CZĘŚĆ Z AMERYKAŃSKICH ŻOŁNIERZY ZE ŚWIĘTOSZOWA TRAFI DO PAŃSTW BAŁTYCKICH ORAZ DO BUŁGARII

pomieszczenia, przy ścianach, zaparkowano kilka humvee. Pośrodku stoi pokryty śnieżną czapą transporter piechoty. Dwóch mechaników skuwa z niego lód oraz podłącza zewnętrzne części wyposażenia elektronicznego. Twierdzą, że skończą pracę za parę minut. Zasłużona przerwa będzie jednak później. Przed wjazdem do hangaru ustawiają się kolejne pojazdy. Od przyciężkich, trochę karykaturalnych bradley-ów odróżniają się monumentalne abramsy. Przy wywiewach ich odpalonych silników zebrały się grupy zmarzniętych żołnierzy.

„Nazywamy to grą w ping-ponga. Pewnie dlatego, że strumień ciepła wieje tylko na jedną osobę, a pozostałe bardzo chcą znaleźć się na jej miejscu. Ale tak naprawdę większość naszych żołnierzy przywykła do zimna. Dotychczas stacjonowaliśmy w Kolorado, więc niskie temperatury to dla nas żadna nowość. Muszę przyznać, że w drodze do Świątoszowa mijaliśmy naprawdę piękne krajobrazy, całe lasy pokryte śnie-

giem”, opowiada kpt. Moffett, dla którego nie jest to pierwsza wizyta nad Wisłą. W Bolesławcu był jeszcze jako dziecko, zaraz na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku, kiedy jego ojciec, również oficer US Army, stacjonował w Niemczech. To właśnie u naszych zachodnich sąsiadów kpt. John Moffett spędził blisko dziesięć lat swojego dzieciństwa. Teraz jego wizyta w Polsce ma zupełnie inny charakter – jako jeden z 350 stacjonujących w Świątoszowie amerykańskich żołnierzy będzie pełnił służbę w ramach operacji „Atlantic Resolve”. Jego zadaniem jest zapewnienie podległym mu



Od pierwszych dni w Polsce amerykańscy żołnierze przygotowują się do powierzonych zadań. Pomaga im w tym specjalistyczny sprzęt m.in. symulatory.



Na wschodnią flankę wraz z Amerykanami przerzucono 87 czołgów M1 Abrams.



W celu usprawnienia logistyki żołnierze pracują i w dzień i w nocy.

MICHAŁ ZIELIŃSKI (4)

żołnierzom odpowiednich warunków w koszarach. Oprócz koordynowania zaplecza logistycznego dba również o ich morale.

Część amerykańskich żołnierzy odpoczywa po nocnej zmianie. Na widok nieznanym im twarzy odruchowo starają się przełamać lody – uśmiechem i pojedynczymi polskimi słówkami. Pomaga im w tym nie tylko dobre przyjęcie przez żołnierzy z 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej, lecz także oficerowie wychowawczy, którzy starają się przybliżyć sojusznikom polską kulturę. W kilku miejscach rozwieszono plansze z „polskim słowem dnia”. Tym razem widnieje na niej zapisane fonetycznie „yahk shay mahsh”.

Amerykanie oswajają się również z polską kuchnią. „Niektóre potrawy są dla nas, nazwijmy to, odkryciem. Parę dni temu po raz pierwszy w życiu jadłem sardynki z puszki. Pakujecie w nie całe rybki, ze szkieletem, ze wszystkim... ale polałem je mocno ketchupem i były całkiem niezłe. W ogóle to powiem szczerze, że w Stanach nienawidziłem pikli. W Polsce jestem od kilkunastu dni i coś się we mnie zmieniło – uwielbiam odkrywać kolej-

ne pikle!”, mimo kilkunastu godzin na nocnej zmianie specjalista Sebastian Duran śmieje się serdecznie, na całe gardło. Podczas służby w US Army odbył już dwie misje zagraniczne – w Iraku i Jordanii. Mówi wprost, że najtrudniejszą częścią każdej jest rozłąka z bliskimi. Większość jego czasu wypełniają obowiązki, ale w wolnych chwilach nawet najbardziej odpornych w końcu dopada tęsknota. Pomagają wtedy aktywność fizyczna, sportowa rywalizacja pomiędzy zespołami, zwiedzanie parków narodowych i zabytków. Nieoceniony jest jednak kontakt z rodziną – w komunikatorze internetowym widnieje twarz żony, a na stoliku ustawione zdjęcie córki. Właśnie dlatego logistycy kładą duży nacisk na dostarczenie i ciągłe funkcjonowanie sieci internetowej. Sebastian Duran nie ukrywa, że mimo tęsknoty Polska jest dla niego jednak miłą odmianą.

„Wiem, jak to jest służyć w krajach, w których miejscowi traktują cię neutralnie albo wręcz wrogo. Tutaj jest inaczej, ludzie są otwarci, nie kryją radości na nasz widok. Osobiście daje mi to dużo siły. Jestem daleko od domu, rodziny i bardzo tego potrzebuję”.

TADEUSZ WRÓBEL

BOJOWA PIĘŚĆ

Pancerny brygadowy zespół bojowy armii amerykańskiej to przeszło 4600 żołnierzy z ponad 1400 różnego rodzaju pojazdami.

RAFAŁ MNIEDŁO/1.1. LDKPanc

Stany Zjednoczone rozmieszczają w Europie Środkowej 6 tys. żołnierzy wyposażonych w czołgi, bojowe wozy piechoty, samobieżne działa i śmigłowce, w tym maszyny szturmowe. Jest to element operacji wsparcia sojuszników z NATO. Pierwszy do Europy przybył pancerny brygadowy zespół bojowy (armored brigade combat team – ABCT) z 4 Dywizji Piechoty z Fort Carson. Trzy czwarte sił tej jednostki będzie zaangażowanych w dziewięciomiesięczną misję w Europie Środkowej.

SYSTEM TRÓJKOWY

3rd Armored Brigade Combat Team to jedna z dziesięciu ciężkich brygad bojowych, które będą w US Army po ostatniej restrukturyzacji, której elementem były redukcje jednostek. Trzonem brygady są trzy manewrowe bataliony pancerno-zmechanizowane: 1 Batalion 8 Pułku Piechoty, 1 Batalion 66 Pułku Pancernego i 1 Batalion 68 Pułku Pancernego.

Amerykańska armia w pierwszej dekadzie XXI wieku postanowiła zrezygnować z odrębnych batalionów pancernych i zmechanizowanych. Zachowano zatem dotychczasowe nazwy jednostek, ale tak je przebudowano, że w jednym pododdziale połączono kompanie piechoty zmechanizowanej i czołgów. Prawdopodobnie zdecydowano się na takie rozwiązanie, bo w realnych działaniach używano batalionowych grup bojowych, które były pewnego rodzaju mieszanką pododdziałów zmechanizowanych i pancernych, mających wsparcie baterii artylerii i kompanii saperów.

Wówczas Amerykanie w dywizjach wprowadzili też strukturę czwórkową, a w brygadach zmniejszyli liczbę manewrowych batalionów z trzech do dwóch. Po doświadczeniach z operacji w Afganistanie i Iraku wrócili jednak do systemu trójkowego, czyli trzech brygad w dywizji, z których każda ma trzy manewrowe bataliony. W kwietniu 2013 roku 3 Brygadowy Zespół Bojowy (3rd Brigade Combat Team) z Fort Carson został przemianowany na 3 Pancerny Brygadowy Zespół Bojowy (3rd Armored Brigade Combat Team).

W skład ciężkiego manewrowego batalionu (combined arms battalion – CAB), liczącego ponad 630 żołnierzy, wchodzi dwie kompanie piechoty zmechanizowanej, z 14 bojowymi wozami piechoty M2A3 Bradley i jednym pojazdem pancernym z rodziny M113, oraz dwie kompanie czołgów liczące po 14 wozów M1A2 Abrams i jeden M113A3. Największym pododdziałem manewrowego batalionu jest 239-osobowa kompania dowodzenia (heavy

headquarter company – HHC), która ma do dyspozycji 22 pojazdy pancerne z rodziny M113, w tym osiem wozów ewakuacji medycznej, a także cztery bewupy i jeden czołg.

JEDNOSTKI WSPARCIA

Każdemu batalionowi manewrowemu z brygadowego batalionu wsparcia (brigade support battalion – BSB) przydzielono wysuniętą kompanię wsparcia (forward support company – FSC), liczącą 179 żołnierzy. Poza różnego typu ciężarówkami i samochodami terenowymi HMMWV używają oni siedmiu wozów zabezpieczenia technicznego M88 i jednego pojazdu z rodziny M113. Wsparcie artyleryjskie batalionowi zapewnia natomiast

wchodzący w skład ABCT batalion artylerii samobieżnej (fire battalion – FB) z trzema bateriami ogniowymi liczącymi po sześć haubic M109A6 Paladin. Każdej z nich towarzyszą dwa opancerzone wozy dowodzenia i wóz amunicyjny M992A2. W batalionie artylerii są jeszcze bateria dowodzenia z sześcioma wozami Bradley i ośmioma z rodziny M113 oraz pluton wskazania celów. W sumie w batalionie artylerii samobieżnej służy 397 żołnierzy. Jed-

nostce została też przydzielona 156-osobowa FSC mająca m.in. dwa pojazdy M88.

Jednostką szczebla batalionu jest również szwadron rozpoznawczy (cavalry squadron – CSqd), w skład którego wchodzi oddziały, a nie kompanie (takiej nazwy używa się ze względu na tradycje kawaleryjskie). Trzy oddziały rozpoznawcze (cavalry troops) liczą po 93 żołnierzy, którzy mają do dyspozycji siedem bojowych wozów rozpoznawczych M3, cztery opancerzone pojazdy z rodziny M113 i 11 wozów HMMWV różnych wersji. W oddziale dowodzenia służy 149 ludzi używających dwóch pojazdów Bradley i 14 z rodziny M113, w tym osiem wozów ewakuacji medycznej i dwa pomocy medycznej. Przydzielona szwadronowi FSB liczy 119 żołnierzy i ma m.in. cztery wozy M88.

Interesującą jednostką jest brygadowy batalion saperów (brigade engineer battalion – BEB), ponieważ włączono do niego nie tylko pododdziały inżynieryjne, lecz też kompanie łączności (45 żołnierzy) i wywiadu (96 żołnierzy) oraz pluton dronów taktycznych (27 żołnierzy) z czterema bezzałogowcami RQ-7 Shadow. W jego skład wchodzi dwie bojowe kompanie saperów (combat engineer company) z 13 bradleyami (większość to pojazdy inżynieryjne z przyczepami), czterema mostami towarzyszącymi M104 Wolverine, pięcioma czołgami saperskimi →



	HHC	CAB (x3)	CSqd	FB	BEB	BSB	FSC CAB (X3)	FSC CSqd	FSC FB	FSC BEB	Razem
Bojowe wozy M2/M3/M7	2	96	23	6	6	-	-	-	-	-	133
Wozy inżynieryjne M2/M3 z przyczepą	-	-	-	-	9	-	-	-	-	-	9
Czołgi M1A2	-	87	-	-	-	-	-	-	-	-	87
Wozy dowodzenia M577/M106	3	18	7	14	1	-	3	1	1	-	48
Transportery M113A3/M1068	2	30	9	-	1	-	-	-	-	-	42
Wozy ewakuacji medycznej M113A3	-	24	8	-	-	-	-	-	-	-	32
Wozy pomocy medycznej M577	-	6	2	-	-	-	-	-	-	-	8
Haubice M109A6/A7	-	-	-	18	-	-	-	-	-	-	18
Wozy amunicyjne M992A2/A3	-	-	-	18	-	-	-	-	-	-	18
Wozy zabezpieczenia technicznego M88A1/A2	-	-	-	-	-	1	21	4	2	1	29
Lekkośrednia ciężarówka M1078 LMTV (część z przyczepami)	5	18	3	3	4	11	9	3	2	3	61
Średnia ciężarówka 1083 (z różnymi przyczepami, cysternami i zabudowami)	2	9	6	4	11	24	39	9	10	8	122

Sprzęt pancernego brygadowego zespołu bojowego

 Bojowe wozy M2/M3/M7	 Ciężka ciężarówka M1120
 Wozy inżynieryjne M2/M3 z przyczepą	 Ciężka ciężarówka M1074/M1075
 Czołgi M1A2	 Ciężka ciężarówka M977/M985
 Wozy dowodzenia M577/M106	 Ciężka cysterna M978 z przyczepą cysterną
 Transportery M113A3/M1068	 Ciągnik siodłowy M1088

i czołgiem inżynieryjnym XM1150 ABV (Armored Breacher Vehicle) z trałem przeciwminowym lub lemiem oraz dwiema opancerzonymi maszynami inżynieryjnymi M9. W kompanii dowodzenia tego batalionu służy 89 żołnierzy, którzy mają do dyspozycji dwa wozy Bradley i kołowe pojazdy opancerzone M1135 Stryker z wyposażeniem do rozpoznania skażeń bronią masowego rażenia. Przydzielona do niego wysunięta kompania wsparcia li-

czy 138 żołnierzy i ma m.in. jeden wóz zabezpieczenia technicznego.

Największym pododdziałem brygady jest brygadowy batalion wsparcia (brigade support battalion – BSB). Oprócz sześciu FSC w jego składzie są cztery inne kompanie: dowodzenia (86 żołnierzy), medyczna (82 żołnierzy), remontowa (97 żołnierzy) i zaopatrzenia (142 żołnierzy). Samodzielnym pododdziałem brygady pancernej jest rów-



	HHC	CAB (x3)	CSqd	FB	BEB	BSB	FSC CAB (X3)	FSC CSqd	FSC FB	FSC BEB	Razem
Ciężka ciężarówka M1120 z hakowym systemem ładowniczym i przyczepą	-	-	-	-	-	31	33	12	10	4	90
Ciężka ciężarówka M1074/M1075 do przewozu kontenerów i palet (część z przyczepą)	-	-	-	18	-	3	-	-	-	-	21
Ciężka ciężarówka M977/M985 z przyczepą	-	-	-	-	-	25	-	-	6	-	31
Ciężka cysterna M978 z przyczepą cysterną	-	-	-	-	-	-	18	3	-	3	24
Ciągnik siodłowy M1088 z naczepami i cysternami	-	-	-	-	6	29	-	-	-	-	35
Ciągnik siodłowy M916 z przyczepą niskopodwoziową M172A1	-	6	-	-	-	-	-	-	-	-	6
Średni wóz ratowniczy M1089	-	-	-	-	-	1	6	1	1	-	9
Ciężki wóz ratowniczy M984A1	-	-	-	-	-	2	3	1	1	4	11
Samochód HMMWV M1114 M1151A1 (opancerzony)	-	-	30	-	-	-	-	-	-	-	30
Samochód HMMWV M997 sanitarka	-	-	-	3	2	16	-	-	-	-	21
Samochód HMMWV (pozostałe wersje)	27	87	17	29	66	44	42	12	9	14	347

Wozy ewakuacji medycznej M113A3	Ciągnik siodłowy M916 z przyczepą niskopodwoziową M172A1
Wozy pomocy medycznej M577	
Haubice M109A6/A7	Średni wóz ratowniczy M1089
Wozy amunicyjne M992A2/A3	Ciężki wóz ratowniczy M984A1
Wozy zabezpieczenia technicznego M88A1/A2	Samochód HMMWV M1114/M1151A1
Lekkośrednia ciężarówka M1078 LMTV	Samochód HMMWV M997 sanitarka
Średnia ciężarówka M1083	Samochód HMMWV (pozostałe wersje)

niez kompania dowodzenia brygady licząca 174 żołnierzy. W jej składzie są dowództwo i sztab ABCT. Poza różnej wielkości samochodami ma ona też dwa bradleye i pięć pojazdów z rodziny M113.

Na polu walki ABCT jest jednostką bardzo mobilną, której żołnierze dysponują dużą siłą ognia – mają ponad 400 pojazdów pancernych i 18 dział samobieżnych. Brygada ma też duże możliwości, jeśli chodzi o prowadzenie

rozpoznania (M3 i RQ-7) i przygotowanie zabezpieczenia logistycznego (kilkaset różnej wielkości ciężarówek i pojazdów specjalistycznych). W warunkach bojowych ma również zapewnione wsparcie innych jednostek armii, w tym artylerii oraz lotnictwa wojsk lądowych ze śmigłowcami szturmowymi, wielozadaniowymi i transportowymi. Liczebność sił wsparcia może stanowić dwukrotność etatu samego ABCT. ■

ARMIA

/ SIŁY POWIETRZNE



MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

WŁADCY PRZESTWORZY

Dwadzieścia cztery godziny na dobę, 365 dni w roku strzegą polskich granic powietrznych i kontrolują przestrzeń nad całą Polską. Centrum Operacji Powietrznych to jedyna tego typu instytucja wojskowa w kraju.



Pary F-16 utrzymują nieprzerwanie dobowe dyżury i są gotowe do wykonywania misji typu „Air Policing”.

ARKADIUSZ DWULATEK/COMBAT CAMERA DORSZ

Szczelnie ogrodzony teren wojskowy na obrzeżu lasu w warszawskich Pyrach. Za murami stoją budynki. Na pierwszy rzut oka nic nadzwyczajnego, ale to tylko pozory. Bo właśnie z tego miejsca żołnierze kontrolują wszystko, co dzieje się w polskiej przestrzeni powietrznej.

Przez całą dobę, 365 dni w roku stoją na straży granic powietrznych Polski. „Jesteśmy tu po to, by Polacy mogli czuć się bezpiecznie. W powietrzu nie dzieje się nic, o czym byśmy nie wiedzieli”, zapewnia gen. dyw. pil. dr inż. Włodzimierz Usarek, poprzedni dowódca Centrum Operacji Powietrznych – Dowództwa Komponentu Powietrznego (COP-DKP).

Żeby zobaczyć, jak pracują strażnicy polskiego nieba... trzeba zejść pod ziemię. Dwa piętra poniżej powierzchni, w jednej z sal gromadzi się przy komputerach kilkadziesiąt osób.

CZUJNE OKO

Sala bojowa, w której dobowy dyżur jednorazowo pełni od kilkunastu do kilkudziesięciu osób, ma około 200 m². To najważniejsze w Centrum Operacji Powietrznych pomieszczenie przypomina wojskowe stanowiska dowodzenia znane laikom z amerykańskich filmów sensacyjnych. Znajdują się tu osobne stanowiska pracy dla każdego żołnierza, na stołach są komputery i różnej wielkości monitory, a na ścianach – ogromne ekrany wyświetlające mapy Polski. Na każdej z nich widać dziesiątki lub setki różnych strzałek, symbolizujących samoloty i śmigłowce, które poruszają się w polskiej przestrzeni powietrznej. Dodatkowo są zobrazone także maszyny poruszające się w strefach przygranicznych kraju. „Śledzimy każdy ruch, jaki jest wykonywany w powietrzu. Znamy ustalone trasy przelatujących samolotów. Wiemy, gdzie startowały, jak długo będą w powietrzu i gdzie wylądują. Uważnie przyglądamy się także maszynom, które dopiero mają zamiar przekroczyć polską granicę powietrzną”,

opowiada płk pil. Jacek Łazarczyk, dyżurny dowódca obrony powietrznej. Pełni tu podczas dyżuru najważniejszą funkcję. Odpowiada za monitorowanie ruchu powietrznego, decyduje o aktywowaniu akcji ratunkowych, a w razie ewentualnego zagrożenia jest jedyną osobą, która w czasie pokoju może rekomendować wykorzystanie środków bojowych.

Spokój dyżurujących przerywa zawiadomienie o problemach wojskowego śmigłowca. Jeden z punktów na mapie zapala się na czerwono. A to oznacza, że załoga włączyła kod alarmowy informujący o niebezpieczeństwie. Dowódca ogłasza gotowość bojową nr 1. „Czas w takich przypadkach jest decydujący. Milkną wszystkie rozmowy, każdy sprawdza, zgodnie ze swoją specjalnością, co się dzieje w przypadku tej maszyny”, tłumaczy zaistniałą sytuację mjr Krzysztof Urbaniak. Kilkanaście sekund później napięcie mija. „Specjaliści od ruchu lotniczego sprawdzili plan lotu. W tym samym czasie eksperci od ratownictwa ustalili, że najbliższej zagrożonego śmigłowca są ratownicy w pobliżu Łęczycy. Podwyższyli im gotowość bojową, a to oznacza, że pilot, ratownik i lekarz już są na pokładzie swojego śmigłowca i czekają na dalsze rozkazy”. Na szczęście to fałszywy alarm. Z powodu usterki technicznej maszyna samoczynnie nadała sygnał niebezpieczeństwa 7700. „Nie możemy ignorować takich sytuacji, więc połączyliśmy się z załogą i sprawdziliśmy, czy nic złego się nie dzieje. Za dwie minuty żołnierze wylądują na swoim lotnisku”, opisuje płk Łazarczyk.

Spokój nie trwał jednak zbyt długo. Niespełna pięć minut później okazuje się, że trzeba pomóc wojskowemu transportowcowi. Samolot podczas ćwiczeń miał wylądować na lotnisku w północnej części kraju, ale nagle zmiana pogody wymusza modyfikację planu lotu. „Trzeba reagować bardzo szybko. Musimy sprawdzić, gdzie warunki pogodowe pozwalają na

Gen. bryg. pil. Sławomir Żakowski: Jeśli zawiedzie łączność z załogą w powietrzu, to musimy wdrożyć do działania myśliwce.

ZMIANY POD FLAGĄ NATO

Członkostwo Polski w NATO i rozpoczęcie od marca 1999 roku dyżurów w zintegrowanym systemie obrony powietrznej NATO przyspieszyło prace nad sformowaniem nowych jednostek systemu dowodzenia obroną powietrzną.

Pod koniec 2001 roku rozformowano Centralne Stanowisko Dowodzenia, a 1 stycznia 2002 roku utworzono Centrum Operacji Powietrznych z elektronicznymi systemami wspomaganie dowodzenia – sojuszniczym Air Sovereignty

Operations Centre (ASOC), Integrated Command and Control (ICC) oraz narodowym Dunaj.

Centrum Operacji Powietrznych zostało przeznaczone do utrzymania wysokiego stopnia gotowości bojowej jednostek sił powietrznych, kierowania działaniami sił i środkami wydzielonymi do pełnienia dyżurów bojowych w ramach obrony powietrznej narodo-



wej i sojuszniczej, a także do dowodzenia jednostkami lotniczymi, wojsk obrony przeciwlotniczej, wojsk radiotechnicznych i walki elektronicznej, przekazanymi w operacyjne podporządkowanie dowódcy COP-u.

Od 2013 roku COP ma większe kompetencje, nową nazwę i przyjęło obowiązki Dowództwa Komponentu Powietrznego. ■

lądownie, i tam skierować załogę C-295M”, dodaje dyżurny dowódca obrony powietrznej.

Lotnicy wyjaśniają, że choć każdy z dyżurów jest zupełnie inny, to każdy jest tak samo bardzo wyczerpujący. „Są takie zmiany, że człowiek ze zmęczenia ledwo chodzi. Bywają nerwowe święta, gdy trzeba reagować np. na zagubione samoloty pasażerskie, albo weekendy, kiedy błyskawicznie należy znaleźć zapasowe lotnisko dla sześciu orlików wracających z pokazów lotniczych”, opowiada płk Łazarczyk. Wyjaśnia także, że największym wyzwaniem dla obsady trzymającej dyżur jest skupienie. Przez 24 godziny żołnierze nie mogą bowiem stracić świadomości sytuacyjnej. „W naszej pracy minuta jest bardzo cenna. W przypadku gdy samoloty poruszają się z prędkością około 900 km/h, z powodu spóźnionej reakcji może dojść do nieszczęścia”, dodaje płk Tomasz Lenart, szef Taktycznego Centrum Operacyjnego COP-DKP. Tłumaczy też, że żołnierze muszą przewidywać zagrożenie i szacować ewentualne ryzyko. Ich obo-

wiązkiem jest np. skontrolowanie samolotu, który dopiero leci do Polski. Jeszcze za granicą muszą sprawdzić maszynę, m.in. zweryfikować plan lotu i rodzaj statku powietrznego.

W BŁOKACH STARTOWYCH

Zgodnie z obowiązującymi w Polsce przepisami, ruchem w naszej przestrzeni powietrznej zarządza Polska Agencja Żeglugi Powietrznej. W niewielkiej części odpowiedzialność sprawuje wyłącznie wojsko. Ale to wcale nie umniejsza roli COP-DKP. Kadra Centrum monitoruje ruch lotniczy i włącza się do działania w sytuacjach awaryjnych. Przykłady można mnożyć. Zdarzyło się, że załoga liniowego samolotu zgłosiła konieczność wcześniejszego lądowania, bo na pokładzie znajdowała się ciężko chora osoba. Były też przypadki, kiedy pasażerowie zachowywali się agresywnie i trzeba było w trybie awaryjnym przerwać lot. COP-DKP poderwało także samoloty bojowe w 2011 roku, by pomóc wylądować ➔



TRZY PYTANIA DO

Dariusza Malinowskiego

Ile jednostek wojskowych, ilu żołnierzy i pracowników wojska podlega dowódcy COP-DKP?

Centrum Operacji Powietrznych – Dowództwo Komponentu Powietrznego to związek taktyczny złożony z sześciu jednostek wojskowych. Samo COP-DKP znajduje się na warszawskim Ursynowie, pozostałe jednostki rozmieszczone są w całym kraju. Są to: 22 Ośrodek Dowodzenia i Naprowadzania w Bydgoszczy, 1 Regionalny Ośrodek Dowodzenia i Naprowadzania w Krakowie, Mobilna Jednostka Dowodzenia Operacjami Powietrznymi w Poznaniu, 1 Centrum Koordynacji Operacji Powietrznych w Gdyni i 2 Centrum Koordynacji Operacji Powietrznych w Krakowie. W całym COP-DKP służy i pracuje około 800 żołnierzy i pracowników wojska.

Jakiego rodzaju specjaliści pracują w COP-ie?

Realizacja zadań postawionych przed COP-DKP wymaga współpracy specjalistów z wielu dziedzin: radiolokacji, lotnictwa, nawigacji lotniczej, rozpoznania, obrony przeciwlotniczej, walki elektronicznej i innych. Najcenniejsi dla Centrum są nawigatorzy naprowa-

dzania, żołnierze planujący użycie sił oraz prowadzący działalność operacyjną. Wszyscy oni wykonują obowiązki dopiero po osiągnięciu odpowiedniej wiedzy i umiejętności, które zdobywają podczas kursów i szkoleń specjalistycznych. Ponadto żołnierze pełniący dyżury bojowe przechodzą dodatkowy proces szkolenia i certyfikacji.

Jakie zmiany pod Pana dowództwem czekają Centrum Operacji Powietrznych?

COP-DKP jest żywym organizmem, stale dostosowującym się do nowych wyzwań i zagrożeń. W najbliższym czasie Centrum rozwinie zdolności do użycia nowego uzbrojenia – rakiet JASSM dla polskich F-16. Będziemy inwestować w Mobilną Jednostkę Dowodzenia Operacjami Powietrznymi oraz uruchomimy w 1 Regionalnym Ośrodku Dowodzenia i Naprowadzania w Krakowie nowy system dowodzenia obroną powietrzną sojuszu. Będzie to pierwszy taki obiekt w NATO. ■

Gen. bryg. pil. DARIUSZ MALINOWSKI jest dowódcą Centrum Operacji Powietrznych – Dowództwa Komponentu Powietrznego.

kpt. Tadeuszowi Wronie, pilotowi boeinga w barwach PLL Lot, który posadził samolot na płycie bez wysuniętego podwozia.

Płk Lenart wspomina trudniejsze momenty, jakie przeżył na stanowisku dyżurnego dowódcy. Opowiada sytuację sprzed roku, gdy samolot tureckich linii powietr-

nych, lecąc po wschodniej stronie polskiej granicy, podał sygnał alarmowy i wykonał nagły zwrot w polską przestrzeń powietrzną. „Załoga zgłosiła, że na pokładzie ma bombę i chce lądować na Okęciu. Na nogi postawiliśmy wszystkie służby, w tym pododdziały antyterrorystyczne policji. Wszystko skończyło się dobrze, ale kosztowało



nas to wiele nerwów”, mówi. Innym razem podczas jego dyżuru nie udało się nawiązać łączności z samolotem pasażerskim, który przelatywał nad Polską. By sprawdzić, co się stało, poderwano parę dyżurną myśliwców. Gdy piloci dolecieli do samolotu, okazało się, że załoga wykonuje lot z użyciem funkcji autopilota, a sama po prostu śpi. Płk Łazarczyk dyżurował z kolei, kiedy pięć amerykańskich śmigłowców nagle zniknęło z polskich radarów. „Nastąpiło pogorszenie warunków pogodowych i Amerykanie musieli lądować w terenie przygodnym. Posadzili maszyny w okolicach Choszczna w Zachodniopomorskiem. Wszystko odbyło się bezpiecznie, ale wyjaśnienie całej tej sytuacji, powiadamianie różnych służb było sporym wyzwaniem”, wspomina pilot.

Centrum Operacji Powietrznych – Dowództwo Komponentu Powietrznego, żeby skutecznie monitorować ruch powietrzny, potrzebuje przede wszystkim aktualnych informacji. A te do COP-u docierają za pośrednictwem różnego rodzaju systemów komputerowych. Danych dostarczają m.in. ośrodki dowodzenia i naprowadzania rozlokowane w różnych częściach Polski. Kiedy dochodzi jednak do sytuacji awaryjnej w powietrzu, czasami informacje przekazywane przez radary mogą nie wystarczyć. „Jeśli zawiedzie łączność z załogą w powietrzu, to musimy wdrożyć do działania myśliwce. Pary F-16 lub MiG-29 utrzymują nieprzerwanie dobowe dyżury i są gotowe do wykonywania misji typu »Air Policing«”, wyjaśnia gen. bryg. pil. Sławomir Żakowski, zastępca dowódcy COP-DKP. O rozpoczęciu misji lotnictwa bojowego decyduje właśnie COP. Po-

wody, dla których podrywa się myśliwce, mogą być różne. Najczęściej w razie braku łączności z załogą, naruszenia zasad prowadzenia korespondencji radiowej lub zagubienia w przestrzeni powietrznej. „Tego rodzaju akcje zdarzają się kilkanaście razy w roku. Ogłasza się wtedy alarm tzw. Alfa Scramble. Myśliwce muszą wystartować do wskazanego samolotu. Ich zadaniem w powietrzu jest nawiązanie kontaktu z załogą, czasami poprowadzenie do lądowania i pomoc w lądowaniu. Jeżeli jednak w polską przestrzeń powietrzną niespodziewanie wtargnie maszyna bez pozwolenia, para dyżurna musi rozpoznać jej typ i zgodnie z rozkazami albo „odprowadzić” intruza do granic Polski, albo zmusić go do lądowania. W skrajnych przypadkach, potwierdzonych wrogich zamiarach, takich jak groźba zamachu terrorystycznego, myśliwce mogą taki samolot ostrzelać lub zestrzelić.

CZAS WYZWAŃ

„Głównym zadaniem Centrum Operacji Powietrznych – Dowództwa Komponentu Powietrznego jest przygotowanie się do dowodzenia i kierowania operacjami powietrznymi w ramach połączonej operacji obronnej. W czasie pokoju natomiast stoimy na straży polskich granic powietrznych”, tłumaczy gen. bryg. pil. Sławomir Żakowski. „Ale to nie wszystko. Dodatkowo monitorujemy taktyczną działalność szkoleniową lotnictwa podległego Dowództwu Generalnemu Rodzajów Sił Zbrojnych. Sprawdzamy ponadto, co nasze samoloty robią poza granicami państwa, i jesteśmy częścią międzynarodowego systemu ratownictwa lotniczego”, ➔



W skrajnych przypadkach, potwierdzonych wrogich zamiarach, takich jak groźba zamachu terrorystycznego, myśliwce mogą ostrzelać lub zestrzelić.



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

TAJEMNICA ENIGMY

Budynek, na którego terenie stacjonuje dzisiejsze Centrum Operacji Powietrznej – Dowództwo Komponentu Powietrznego, został wybudowany w latach trzydziestych ubiegłego wieku z przeznaczeniem dla Sztabu Głównego WP i dostosowany do potrzeb sekcji niemieckiej Biura Szyfrów II Sztabu. Jesienią 1937 roku rozpoczął tu pracę zespół kryptologów, tzw. BS4, pod kryptonimem „Wicher”. Pracowali w nim m.in. Marian Rejewski, Jerzy Różycki, Henryk Zygański. Właśnie w tym miejscu rozpracowano niemiecki system łączności szyfrowej Enigma. Tutaj też została zbudowana potężna radiostacja zdolna do wysyłania i nadawania przekazów radiowych nawet nad Atlantyk.

wylicza zastępcę dowódcy COP-DKP. Generał wyjaśnia także, że w czasie pokoju Centrum odpowiada za system powiadamiania o zagrożeniach z powietrza i monitoruje sytuację pod kątem skażeń w polskiej przestrzeni powietrznej. „Jesteśmy także łącznikiem pomiędzy polskim i natowskim systemem ochrony powietrznej. Naszą rolą jest dostarczenie informacji do Połączonego Centrum Operacji Powietrznych NATO w Niemczech i uczestnicstwo w międzynarodowym systemie sił szybkiego reagowania”, dopowiada były dowódca COP-DKP gen. Usarek.

Niezależnie od codziennych dyżurów kadra Centrum bardzo często organizuje szkolenia dla swoich żołnierzy oraz uczestniczy w ćwiczeniach jednostek lotniczych sił powietrznych i wojsk lądowych. Rok 2016 był dla COP-DKP szczególnie wymagający ze względu na odbywające się w Polsce dwa wydarzenia: szczyt NATO w Warszawie oraz Światowe Dni Młodzieży w Krakowie i okolicach.

„To był bardzo intensywny czas. Utrzymywaliśmy w powietrzu dyżurne siły lotnicze przez 12 godzin na dobę, wszystko po to, by w razie jakichś problemów skrócić nasz czas reakcji do minimum”, mówi gen. Żakowski. Aby zabezpieczyć wspomniane wydarzenia, wprowadzono strefy zakazu lotów. „Nie mogliśmy dopuścić, by jakiegokolwiek przypadkowy statek powietrzny pojawił się w zakazanej strefie. Oczywiście chodziło tu o względy bezpieczeństwa i przede wszystkim o zmniejszenie ryzyka np. zamachu terrorystycznego. Licho nie śpi, a my jesteśmy gotowi nawet na najgorszy scenariusz”, dodaje za-

stępcę dowódcy. Jak potwierdza dowództwo COP-DKP, jednostka sprawdziła się w zapewnieniu bezpieczeństwa podczas najważniejszych wydarzeń państwowych, ćwiczeń wojskowych, w tym manewrów „Anakonda”. „Udowodniliśmy, że jesteśmy przygotowani do dowodzenia i kierowania siłami, w tym także siłami sojuszniczymi. Dlatego właśnie w COP-DKP powstała koncepcja wyodrębnienia dowództwa JFAC”, mówi gen. Żakowski. JFAC, czyli Komponent Powietrzny Sił Połączonych (Join Force Air Component) miałyby powstać na bazie COP-u ze wsparciem innych jednostek sił powietrznych. Będzie to dowództwo szczebla natowskiego, które ma być delegowane do pełnienia rocznych dyżurów w ramach sił odpowiedzi NATO. „Będziemy zdolni do dowodzenia operacjami sojuszniczymi, w których bierze udział do 350 samolotów. Jeżeli uda nam się zrealizować te plany, to do dyżuru będziemy typowani po 2022 roku”, zapowiada zastępcę dowódcy COP-DKP. Osiągnięcie takich uprawnień, zdaniem kadry kierowniczej COP-u, ma wiele zalet. Przede wszystkim nasze stanowisko dowodzenia będzie certyfikowane w NATO, a tym samym stanie się wiarygodne dla potencjalnych koalicjantów. „Wpłynie to pozytywnie także na zwiększenie potencjału obronnego Polski”, uzupełnia gen. Żakowski. W przypadku aktywacji polski JFAC w ciągu kilku dni będzie gotowy do dowodzenia misją w dowolnym miejscu na świecie. Dotychczas tego typu zdolności uzyskało sześć państw: Wielka Brytania, Włochy, Niemcy, Hiszpania, Francja i Turcja. ■

PRZEGLĄD
SIŁ ZBROJNYCH

10
DZIAŁÓW
O SZKOLE-
NIU I TAK-
TYCENĄ
WSPÓŁCZE-
SNYM POLU
WALKI

PISMO SZKOLENIOWE

www.polska-zbrojna.pl

wiiw
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY



MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Potrójna siła

Udało się pogodzić specyfikę działania żołnierzy z różnych państw tak, by jako jedna jednostka mogli brać udział w operacjach prowadzonych przez ONZ, NATO i Unię Europejską.

Egzamin zdali na piątkę. Zaliczenie wspomaganych komputerowo ćwiczeń dowódczo-sztabowych „Common Challenge '16” było ostatnim krokiem polsko-litewsko-ukraińskiej brygady LITPOL-UKRBRIG do uzyskania certyfikacji. „To było ukoronowanie dotychczasowej działalności. Potwierdziliśmy naszą zdolność do działania”, mówi dowodzący tą formacją płk Zenon Brzuszek. Jednostka jest gotowa do podejmowania wyznaczonych jej zadań, w tym do udziału w operacjach pokojowych. Może uczestniczyć w misjach organizowanych przez ONZ, NATO i Unię Europejską oraz doraźne koalicje zawiązywane zgodnie z Kartą Naro-

dów Zjednoczonych i umowami między państwami wystawiającymi siły.

ROK ĆWICZEŃ

„Kierowanie taką brygadą jest dla dowódcy wyzwaniem, bo trzeba pogodzić trzy narodowe charaktery i scalić w jedną sprawnie działającą całość trzy różne tradycje wojskowe”, twierdzi dowódca wielonarodowej brygady LITPOLUKRBRIG płk Brzuszek. Podkreśla również, że każda z nacji korzysta z własnych doświadczeń, więc wnosi coś wartościowego do funkcjonowania jednostki. Na przykład ukraińscy spadochroniarze w czasie ćwiczeń pokazują rozwiązania,



MO UKRAINY



Zaliczenie ćwiczeń dowódczo-sztabowych „Common Challenge '16” było ostatnim krokiem polsko-litewsko-ukraińskiej brygady do uzyskania certyfikacji.

które stosowali w operacji na wschodzie kraju. Wszyscy Ukraińcy, którzy służą teraz w Lublinie, brali bowiem udział w walkach w Donbasie.

To rosyjska agresja na wschodnią Ukrainę sprawiła, że znacznie przyspieszono formowanie brygady. Umowę o jej utworzeniu ministrowie obrony Polski, Litwy i Ukrainy zawarli we wrześniu 2014 roku, ale dopiero podpisanie porozumienia technicznego, dotyczącego szczegółów funkcjonowania tej jednostki, sprawiło, że grupy robocze mogły rozpocząć konkretne działania związane z jej utworzeniem, łącznie z określeniem struktury (te dokumenty podpisano pod koniec lipca 2015 roku). Wtedy ustalono, że po sześciu miesiącach brygada ma osiągnąć wstępną gotowość operacyjną. I faktycznie pod koniec stycznia 2016 roku dowództwo LITPOLUKRBRIG rozpoczęło intensywne szkolenie.

„Cały 2016 rok wypełniły nam warsztaty, konferencje, treningi sztabowe. Braliśmy udział w wielu ćwiczeniach międzynarodowych, takich jak »Rapid Trident« czy »Maple Arch« na Ukrainie. W Grecji w czasie manewrów »Seven Stars« obserwowaliśmy z kolei pracę podobnej jednostki – Brygady Południowo-Wschodnioeuropejskiej SEEBRIG. Do Lublina przyjeżdżali też przedstawiciele Gwardii Narodowej stanu Illinois, którzy prowadzili warsztaty dowodzenia. Podczas »Anakondy« mogliśmy sprawdzić nasze umiejętności w praktyce”, wylicza ppłk Michał Małyśka, zastępca szefa sztabu. Międzyna-

rodowe jednostki, takie jak Wielonarodowy Korpus Północno-Wschodni czy SEEBRIG, którą tworzy siedem państw, ze względu na specyfikę działania mogą wzajemnie czerpać ze swoich doświadczeń. Dla LITPOLUKRBRIG pomocne okazało się poznanie procedur regulujących funkcjonowanie dowództwa wielonarodowej brygady z południa Europy, której nie wszyscy członkowie należą do NATO.

Główne siły brygady polsko-litewsko-ukraińskiej to dowództwo w Lublinie oraz trzy bataliony narodowe, które pozostają w gotowości w swoich krajach i są przerzucane w miejsce prowadzenia działań wówczas, gdy zapadnie decyzja o aktywacji jednostki lub jakiegoś jej elementu. Głównymi jednostkami LITPOLUKRBRIG są: Batalion Ułanów Wojsk Lądowych Litewskiej Armii, 1 Batalion Powietrzno-Manewrowy 80 Brygady Powietrznodesantowej z Ukrainy oraz 5 Batalion Strzelców Podhalańskich.

Brygada liczy około 4 tys. żołnierzy, w tym 600 ukraińskich oraz 500 litewskich. W dowództwie służy 81 żołnierzy i 13 pracowników wojska – 18 Ukraińców i pięciu Litwinów. Kluczowe stanowiska obsadzają kolejno oficerowie z trzech tworzących jednostkę państw, co oznacza, że za jakiś czas na jej czele stanie oficer ukraiński, a następnie litewski. Teraz bowiem jednostką dowodzi polski oficer, jego zastępcą jest pułkownik z Ukrainy, a szefem sztabu podpułkownik z Litwy.

Dowódca brygady zwraca uwagę, że polska część jednostki stworzona na bazie 3 Brygady Zmechanizowanej funkcjonowała od pięciu lat, więc jej dowódcy: płk Andrzej Kupis, płk (dziś gen. bryg.) Jarosław Kraszewski, płk Dariusz Sobotka oraz pierwszy dowódca wielonarodowej brygady gen. bryg. Adam Joks, znacząco przyczynili się do osiągnięcia pełnej zdolności operacyjnej jednostki.

W CENTRUM KONFLIKTU

Punktem wyjścia scenariusza certyfikującego ćwiczenia „Common Challenge '16” na poligonie w Nowej Dębie była sytuacja kryzysowa w fikcyjnym państwie West Isle. Arisianie, chociaż stanowili mniejszość, odsunęli od władzy Friscanów. W kraju jednak nie dochodziło do większych konfliktów, odkąd zdominowanej społeczności udało się uzyskać częściową autonomię na wydzielonym terenie West Isle. Zmieniło się to jednak, gdy rządzący odebrali autonomię Friscanom i rozpoczęli wspieranie bojówek, które podsycały konflikty etniczne. W wyniku tych działań wielu ludzi musiało opuścić swoje domy i szukało schronienia w obozach dla uchodźców. Arisianie, pomimo wezwania do zaprzestania tych działań, nie podporządkowali →

się rezolucji Rady Bezpieczeństwa ONZ, więc na wyspę skierowano międzynarodowe siły.

Zadaniem brygady było przywrócenie porządku w West Isle. „Tworzyliśmy bezpieczne środowisko, robiliśmy zbrojne grupy obu stron, łagodiliśmy nastroje wśród ludności cywilnej, udzielaliśmy pomocy rannym, a także spotkaliśmy się z przedstawicielami lokalnych mediów”, opowiada ppłk Dariusz Czekaj, zastępca szefa sztabu ds. operacyjnych. Twierdzi, że tę sytuację można porównać do działań KFOR-u w Kosowie, gdzie obok siebie żyją dwie zwaśnione nacje, a siły międzynarodowe czuwają nad tym, aby nie dochodziło do zaostrzenia konfliktu.

Żołnierze wielonarodowej brygady przez kilka dni i nocy musieli reagować na różne zdarzenia, np. na manifestację przed bazą wojskową przeciwko obecności obcych wojsk w tym kraju. Przed jednostką pojawili się gubernator prowincji, mer miasta i przedstawiciele lokalnych mediów. Żołnierze musieli uspokoić wzburzonych mieszkańców i przekonać władze do udzielenia brygadzie poparcia. „Ćwiczenia bardzo realistycznie oddawały zadania, które w podobnych operacjach powinien wykonywać dowódca”, ocenia płk Brzuszek. Kpt. Oleksandr Gain, oficer prasowy brygady, w czasie certyfikacji był doradcą dowódcy ds. mediów. „Podpowiadałem dowódcy, jak powinien rozmawiać z demonstrantami oraz dziennikarzami w sytuacji, gdy np. wojskowy samochód potrącił dziecko”, opowiada. „Można walczyć bronią, ale można też słowem”. Głównym zadaniem ppłk. Eligijusa Senulisa, szefa sztabu brygady, było z kolei koordynowanie działania wszystkich sekcji tak, aby żołnierze wykonali wyznaczone zadania w odpowiednim czasie.

WIĘCEJ NIŻ WSPÓŁPRACA

Wspomagane komputerowo ćwiczenia dowództwo -sztabowe przygotowało i przeprowadziło Dowództwo Generalne Rodzajów Sił Zbrojnych pod kierownictwem gen. broni Leszka Surawskiego jako kierownika ćwiczeń, a za ocenę brygady odpowiadało Dowództwo Operacyjne Rodzajów Sił Zbrojnych. Wykonanie poszczególnych zadań oceniał międzynarodowy zespół certyfikacyjny, w którego skład weszło 35 oficerów armii polskiej, ukraińskiej, litewskiej oraz amerykańskiej. Sprawdzali oni reakcję dowództwa brygady na trudne, najczęściej spotykane sytuacje w tego rodzaju działaniach. Oceniali umiejętności rozwiązywania problemów taktycznych, a także nawiązywania współpracy z lokalnymi władzami, organizacjami pozarządowymi, siłami bezpieczeństwa czy mediami. W efekcie stwierdzili, że jednostka jest przygotowana do planowania i prowadze-

WIELONARODOWA BRYGADA LICZY OKOŁO 4 TYS. ŻOŁNIERZY, W TYM 600 UKRAIŃSKICH ORAZ 500 LITEW- SKICH. W DOWÓDZ- TWIE SŁUŻY 81 ŻOŁNIERZY I 13 PRACOWNIKÓW WOJSKA

nia operacji reagowania kryzysowego na podstawie mandatu Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Płk Volodymyr Yudanov, zastępca dowódcy brygady, twierdzi, że trójstronna współpraca pomaga wprowadzać standardy NATO w siłach zbrojnych Ukrainy, co może ułatwić wstąpienie tego kraju do sojuszu. Dziś tamtejsza armia jest zaangażowana w program „Partnership for Peace” i regularnie też uczestniczy w operacjach sojuszu, np. w misji prowadzonej przez ISAF. Powstanie brygady pozwoliło na udział w szkoleniu na terenie Polski, według natowskich standardów, żołnierzy ukraińskich. „Zdobyte w ten sposób doświadczenia są dla nas bardzo ważne i przekazujemy je kolegom z Ukrainy”, podkreśla płk Yudanov.

W 2017 roku brygada weźmie udział w ćwiczeniach „Saber Guardian”, „Rapid Trident” oraz „Maple Arch”. „Dzięki takim wielonarodowym inicjatywom jak LITPOLUKRBRIG bardziej sobie ufamy i lepiej się rozumiemy. Chociaż pochodzimy z różnych środowisk, to gdy zajdzie taka potrzeba, będziemy gotowi do wspólnego działania”, podkreśla dowódca brygady. Paweł Soloch, szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego, nie wykluczył, że w 2019 roku podczas kolejnego dyżuru grupy bojowej Unii Europejskiej, w którym w ramach Grupy Wyszehradzkiej będzie uczestniczyła Polska, zostanie wykorzystana także wielonarodowa brygada. ■

ST. CHOR. DARIUSZ PASTUSZKA


Data i miejsce urodzenia:

27 listopada 1973 roku.
Słupsk.

W wojsku służy od: 1994 roku.

Tradycje wojskowe: brak.

Edukacja wojskowa: Centrum Szkolenia Czołgowo-Samochodowego w Pile

Zajmowane stanowisko: szef 1 kompanii transportowej w 82 Batalionie Ewakuacji Sprzętu w Oleśnicy.

Gdybym nie został żołnierzem, byłbym dziś: uwielbiam dynamikę w pracy, nie lubię szablonowego działania, dlatego szukałbym pewnie pracy jako spedytor w firmie transportowej.



Moje największe osiągnięcie: najbardziej dumny jestem z tego, że mimo dużej konkurencji dostałem się do Szkoły Chorążych w Pile. Poza tym cieszę się, że koledzy z jednostki wybrali mnie podoficerem 2016 roku.

Przełomowe wydarzenie w życiu: było ich kilka, ale najważniejszy dla mnie moment to ten, w którym zostałem ojcem. W 2008 roku urodziła się moja córka.

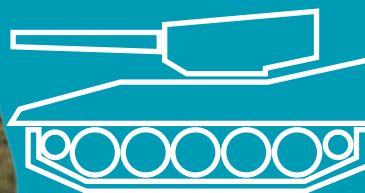
Misje i ćwiczenia: cztery razy służyłem na misjach poza granicami kraju. W 2003 i 2011 roku pełniłem służbę w Iraku, w 2008 roku jako spedytor służyłem w Libanie, a w 2013 roku dyżurowałem w TOC-u w bazie Bagram w Afganistanie.

W umundurowaniu polskiego żołnierza podoba mi się: przede wszystkim to, że jest wygodne i funkcjonalne. Duże znaczenie ma także to, że mundur wzbudza u wielu osób podziw i szacunek.

Zostałem żołnierzem, bo: zawsze interesowałem się sprzętem wojskowym. Poza tym w armii można doświadczyć niezwykłych sytuacji, przeżyć przygody oraz zobaczyć miejsca, które są niedostępne dla cywilów.



Najlepsza broń: z racji mojej fascynacji ciężkim sprzętem stawiam na czołgi.



Gdybym mógł zmienić coś w wojsku: chciałbym, aby każdy żołnierz obejmujący kolejne stanowisko służbowe był do tego zadania odpowiednio przygotowany.

Co robię po służbie: spędzam czas z rodziną albo uprawiam sport. Gram w piłkę nożną, biegam i dużo ćwiczę na siłowni.



Moja książka życia: wolę film.

Niezapomniany film: „Ostatni dzwonek” w reż. Magdaleny Łazarkiewicz i „9 kompania” Fiodora Bondarczuka.

OPRAC. MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
FOT. ARCH. 82 BATALIONU EWAKUACJI SPRZĘTU



MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Armia ochotników

Członkowie organizacji proobronnych szkolą się w jednostkach wojskowych w całym kraju.

Strzelec biegnie lekko pochylony. „Stawiaj nogi wzdłuż jednej linii”, radzi instruktor. W lasce obok hali trwa ćwiczenie pokonywania terenu na polu walki. Plut. Wojciech Kajda koryguje postawę klęczącego strzelca, który przymierza się do strzału z AK-47. „Cofnij nogę i lekko pochyl się do przodu. Taką postawę chroni miednicę. Gdybyś dostał odłamkiem w tę część ciała, szybko się wykrwawisz”, tłumaczy.

Marcin Czajka i Robert Kaznowski ze Związku Strzeleckiego „Strzelec” zaliczyli już ćwiczenie i teraz dopingują kolegów. Od lipca do grudnia 2016 roku jedną sobotę w miesiącu poświęcali na szkolenie, które na terenie Oddziału Specjalnego Żandarmerii Wojskowej w Mińsku Mazowieckim organizowali żandarmi oraz Biuro do spraw Proobronnych MON.

Kilkadziesiąt metrów dalej inna drużyna ćwiczy działanie w czasie marszu ubezpieczonego. „Kontakt z tyłu!”, rozlega się okrzyk. „Wycofuję się, osłaniać”, pada odpowiedź. Instruktor kpr. Artur Rojek tłumaczy, że w tym ćwiczeniu ważny jest kontakt wzrokowy: strzelcy uczą się w czasie marszu przekazywać sobie znaki: stop, naprzód, osłaniaj, widzę, wróg, przyjaciel, ok.

Na kolejnych stanowiskach uczestnicy szkolenia dowiadują się, jak należy rozłożyć i złożyć karabinek Beretyl, jak poruszać się z bronią oraz prowadzić ogień – indywidualnie i zespołowo. Poznają zasady rzutu granatem z postawy stojącej, klęczącej i leżącej. Uczą się, jak

należy włożyć maskę przeciwgazową oraz jak czytać mapę. Kpt. Marcin Klimek, szef szkolenia, czuwa nad tym, aby przebiegało ono sprawnie i bezpiecznie. „Różny jest poziom wyszkolenia młodzieży, ale najważniejsza jest chęć do nauki, umiejętności przyjdą z czasem. Ważne, że uczą się współdziałania i rozpoznawania, gdzie jest najsłabsze i najmocniejsze ogniwo grupy”, podkreśla.

JAK NA POLIGONIE

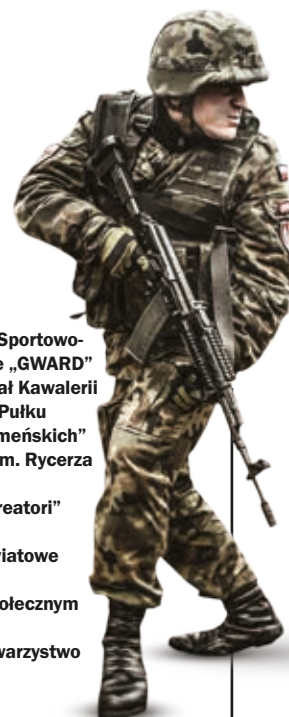
Od lipca do grudnia 2016 roku kilkudziesięciu członków Związku Strzeleckiego „Strzelec” i Związku Strzeleckiego „Strzelec” Józefa Piłsudskiego przyjeżdżało do Oddziału Specjalnego Żandarmerii Wojskowej w Mińsku Mazowieckim na weekendowe szkolenia w działaniu indywidualnym i w grupie. Doskonalili umiejętności w posługiwaniu się bronią, poznawali podstawy taktyki oraz techniki interwencji i patrolowania, a także uczyli się, jak należy przeszukiwać teren i budynki.

Płk Tomasz Szoplik, komendant Oddziału Specjalnego Żandarmerii Wojskowej w Mińsku Mazowieckim, który obserwował grudniowe ćwiczenia, zwraca uwagę na dużą motywację i determinację uczestników. „W 2017 roku podnosimy nieco poprzeczkę. Podczas cyklicznych jednodniowych szkoleń nacisk zostanie położony na współdziałanie członków drużyny lub plutonu. Zwieńczeniem cyklu będzie trzydniowe szkolenie

ORGANIZACJE

NAJAKTYWNIER WSPÓŁPRACUJĄCE Z BIUREM DO SPRAW PROOBRONNYCH:

- Federacja Organizacji Proobronnych
- Związek Strzelecki „Strzelec” (Warszawa)
- Związek Strzelecki
- Związek Strzelecki „Strzelec” (Wągrowiec)
- Związek Strzelecki „Strzelec” Józefa Piłsudskiego (Rzeszów)
- Stowarzyszenie Instruktorów Legii Akademickiej
- Stowarzyszenie „Fideles et Instructi Armis” (FIA) – Wierni w Gotowości pod Bronią
- Strzelcy Rzeczypospolitej
- Liga Obrony Kraju
- Związek Strzelecki Rzeczypospolitej
- Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej
- Federacja Kawalerii Ochotniczej
- Klub Kawalerski im. 12 Pułku Ułanów Podolskich
- Ranger Survival Club
- WOPR
- Kwidzyńskie Stowarzyszenie Sportowo-Kolekcjonerskie „GWARD”
- Fundacja „Oddział Kawalerii Ochotniczej im. Pułku 4 Ułanów Zaniemeńskich”
- Stowarzyszenie im. Rycerza Okunia
- Fundacja „Ars Creatori”
- Stowarzyszenie Proobronno-Oświatowe „Kadet” (wraz z Publicznym Społecznym LO w Trzebinii)
- Szczecińskie Towarzystwo Strzeleckie
- Stowarzyszenie „Wizna 1939”



WARUNKIEM UDZIAŁU W TEGO TYPU SZKOLENIACH jest przynależność do organizacji proobronnej, gdyż dowódcy jednostek wojskowych mogą współpracować tylko z podmiotami mającymi osobowość prawną.

na poligonie w Nowej Dębie, które odbędzie się jesienią”, dodaje komendant.

ZADOWOLENI STRZELCY

„Współpraca z wojskiem jest dla nas korzystna, bo nie mamy ani takich umiejętności jak żołnierze, ani sprzętu. Jesteśmy zainteresowani udziałem w dalszych szkoleniach”, podkreśla Krzysztof Wojewódzki, komendant brygadier Związku Strzeleckiego „Strzelec”, ogólnopolskiej organizacji skupiającej prawie 2 tys. członków, głównie licealistów, studentów i młodzież pracującą. „Na ćwiczeniach nasi członkowie zdobywają nowe umiejętności i przyzwyczajają się do wojskowych rygorów”, dodaje Marek Matuła, inspektor Związku Strzeleckiego „Strzelec” Józefa Piłsudskiego. Organizacja ta skupia około 2 tys. osób, głównie uczniów szkół podstawowych, gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych w całym kraju.

Daniel Pieczychlebek ma w Związku Strzeleckim „Strzelec” stopień podporucznika i jest zastępcą szefa Wydziału Szkolenia. Ocenia, że cykl ćwiczeń był świetnie przygotowany, instruktorzy przekazywali młodzieży typowo wojskową wiedzę. „Poznawaliśmy podstawy walki wręcz i samoobrony oraz czarnej takty-

ki, która obejmuje m.in. przeszukiwanie obiektów. Jednak najważniejsze były zajęcia z obsługi broni. Na niewiele zda się wiedza z taktyki, jeśli nie weźmiemy do ręki karabin-ka Beryl i nie nauczymy się jak go obsługiwać. W naszych jednostkach dostęp do broni mamy tylko na strzelnicy”, opowiada.

Pod koniec grudnia 47 strzelców po trwających pół roku zajęciach odebrało certyfikaty potwierdzające ich ukończenie. W 2017 roku taką szansę zyska kolejnych 50 członków organizacji proobronnych. To szkolenie potrwa jednak nie sześć miesięcy, lecz cały rok. Pierwsze półtorcze zostanie poświęcone na zajęcia indywidualne, zwieńczone egzaminem, w drugiej połowie roku będą ćwiczyć drużyny – zajęcia zespołowe zakończą w listopadzie zawody użytecznie-bojowe. Warunkiem udziału w tego typu szkoleniach jest przynależność do organizacji proobronnej, gdyż dowódcy jednostek wojskowych mogą współpracować tylko z podmiotami mającymi osobowość prawną.

WEEKEND NA POLIGONIE

Szkolenia strzelców w Mińsku to zaledwie niewielka część działalności Biura do spraw ➔

Proobronnych. W 2016 roku razem z jednostkami wojskowymi przeprowadziło ono na terenie całego kraju cykl 33 ćwiczeń ogólnowojskowych i specjalistycznych przeznaczonych dla organizacji proobronnych i klas mundurowych. Wzięło w nich udział prawie 2 tys. uczestników z około 70 organizacji proobronnych lub ich oddziałów terenowych oraz z 40 szkół z klasami mundurowymi. „W jednodniowych szkoleniach w wojskowych jednostkach specjalistycznych uczestniczą zazwyczaj dowódcy, instruktorzy lub funkcyjni, którzy potem przekazują zdobytą wiedzę pozostałym członkom swoich organizacji”, tłumaczy ppłk Mirosław Mika z Biura do spraw Proobronnych MON.

Szkolenia specjalistyczne odbywały się w różnych jednostkach na terenie całego kraju. Tego, jak prowadzić rozpoznanie, zamaskować posterunek obserwacyjny, rozpaść ogień, wyznaczyć azymut i czytać mapę, uczyli proobronnych żołnierze z 2 Pułku Rozpoznawczego w Hrubieszowie, 18 Pułku Rozpoznawczego w Białymstoku i 9 Pułku Rozpoznawczego w Lidzbarku Warmińskim. Instruktorzy z 10 Brygady Kawalerii Pancernej w Świętoszowie, 12 Brygady Zmechanizowanej w Szczecinie, 21 Brygady Strzelców Podhalań-

skich w Rzeszowie oraz 15 Brygady Zmechanizowanej w Giżycku przybliżali zagadnienia szkolenia ogniowego i taktyki, w tym z wykorzystaniem sprzętu bojowego, np. kołowego transportera opancerzonego Rosomak oraz zaawansowanego systemu szkolno-treningowego Śnieżnik. Proobronni uczyli się obsługi i strzelania z broni będącej w wyposażeniu jednostek wojskowych, nawiązywania łączności i udzielania pierwszej pomocy na polu walki.

Szkolenia saperskie, podczas których żołnierze pokazywali, jak ustawiać lub unieszkodliwiać miny przeciwpancerne, wykonać fortyfikacje, maskować sprzęt i ludzi, odbyły się w 1 Pułku Saperów w Brzegu i w 2 Pułku Saperów w Kazuniu. Musztry z kolei proobronni uczyli się w Batalionie Reprezentacyjnym Wojska Polskiego w Warszawie oraz w jednostkach reprezentacyjnych wojsk lądowych w Białobrzegach i w Dęblinie – z Kompanią Reprezentacyjną Sił Powietrznych, oraz nad morzem – z Kompanią Reprezentacyjną Marynarki Wojennej.

ROK POD ZNAKIEM SZKOLEŃ

„Szkolenia przeprowadzone w 2016 roku wykazały duże zróżnicowanie w poziomie wyszkolenia członków organizacji proobron-



TRZY PYTANIA DO

Waldemara Zubka

Jak Biuro do spraw Proobronnych wspiera szkolenia członków organizacji proobronnych i uczniów klas mundurowych?

Jednym z naszych głównych zadań jest przygotowanie wstępnie przeszkolonych kandydatów-ochotników do nowo tworzonych wojsk obrony terytorialnej. Zajęcia organizujemy wspólnie z jednostkami wojskowymi,

a także zgłaszamy projekty zadań publicznych w ramach otwartego konkursu ofert na szkolenia specjalistyczne, które przeprowadzają wyspecjalizowane proobronne organizacje pozarządowe, np. Stowarzyszenie FIA [Fideles et Instructi Armis] – Wierni w Gotowości pod Bronią. W 2016 roku wykonywaliśmy również zadania doraźne,

m.in. przygotowaliśmy kilka pododdziałów złożonych z członków organizacji proobronnych do udziału w ćwiczeniach „Anakonda”. Łącznie wzięło w tym udział około 500 osób. Wyszkoliliśmy także dwa plutony reprezentacyjne złożone z członków organizacji proobronnych i klas mundurowych, które uczestniczyły w defiladzie z okazji Święta Wojska Polskiego.

W SZKOLENIACH WZIEŁO UDZIAŁ PRAWIE 2 TYS. OSÓB Z OKOŁO 70 ORGANIZACJI PROOBRONNYCH ORAZ Z 40 SZKÓŁ Z KLASAMI MUNDUROWYMI

nych, zarówno wewnątrz pododdziałów proobronnych, jak i pomiędzy poszczególnymi organizacjami. Niekompatybilne wyszkolenie ochotników utrudnia funkcjonowanie pododdziałów jako całości. Dlatego podjęliśmy próbę jego ujednolicenia”, mówi ppłk Mika.

Na 2017 rok Biuro do spraw Proobronnych opracowało nowy program szkolenia. Przewiduje się 13 jedno-

dniowych szkoleń podstawowych, które będą się odbywać na terenie jednostek wojskowych, oraz pięciu kursów specjalistycznych (dowódców drużyn, przetrwania, medyczny, łączności i logistyczny), które potrwać kilka dni i są zaplanowane w okresie urlopowym. Mają być także ćwiczenia zgrywające, czyli poligony – w lipcu oraz we wrześniu. Biuro do spraw Proobronnych zaplanowało także 13 jednodniowych szkoleń uzupełniających. Przeznaczone są dla organizacji proobronnych uczestniczących w programie „Paszport” oraz dla pozostałych organizacji i klas mundurowych. Łącznie ze wszystkich tegorocznych szkoleń będzie miało szansę skorzystać około 3 tys. osób.

Zainteresowanie będzie zapewne większe, bo wciąż rośnie liczba członków organizacji o charakterze proobronnym oraz takich, które wspierają obronność. Dodatkowo do tej grupy trzeba zaliczyć także kilkadziesiąt tysięcy uczniów klas mundurowych, których także z roku na rok przybywa. Niektórzy z nich z pewnością zasilą tworzone obecnie wojska obrony terytorialnej albo inne formacje mundurowe. Warto wykorzystać potencjał tych młodych ludzi zafascynowanych wojskiem. Wyniki, jakie osiągają, mówią same za siebie. „Podczas ćwiczeń z kompanią rozpoznawczą 10 Brygady Kawalerii Pancernej grupa szkoleniowa uzyskała średnią 4,0 ze strzelania bojowego z kbs Beryl. To dobry wynik nawet dla żołnierzy zawodowych”, podkreśla ppłk Mirosław Mika. ■

Jakie plany ma Biuro w 2017 roku?

W tym roku planujemy przeszkolić około 3 tys. osób. Naszym priorytetem będzie jednak przeprowadzenie wspieranego przez MON pilotażowego „Programu ewaluacji komponentów organizacji proobronnych”, czyli wprowadzenie paszportu dla organizacji proobronnych. Przewidujemy, że w programie weźmie udział około 20 komponentów – łącznie do 800 osób. Organizacje, które się do niego zakwalifikowały, czeka roczny cykl szkoleniowy, odpowiadający wyszkoleniu żołnierzy lekkiej piechoty. Zajęcia na poziomie podstawowym będą się odbywały raz w miesiącu w weekendy, dłuższe kursy specjali-

styczne – podczas wakacji, wtedy też przewidziany jest tzw. centralny poligon organizacji proobronnych poświęcony zgrywaniu pododdziałów biorących udział w programie. Jesienią natomiast odbędą się sprawdziany z zagadnień szkoleniowych ujętych w „Minimum programowym dla organizacji proobronnych”. Pododdziały, które je pomyślnie zaliczą, dostaną paszport świadczący o tym, że komponent organizacji proobronnej uczestniczący w programie – pluton lub drużyna – został pozytywnie zweryfikowany i będzie w pierwszej kolejności zapraszany do współpracy z jednostkami wojskowymi Sił Zbrojnych RP.

Czy organizacje, które nie zdobędą w tym roku paszportu, będą miały na to szansę w kolejnych latach?

Oczywiście, ci, którzy nie przystąpili do pierwszej edycji, będą mieli szansę jeszcze w następnych latach. Zależy nam na jak największym udziale organizacji w programie. Paszport traktujemy jako jeden z fundamentów oczekiwanej przez resort obrony narodowej konsolidacji ruchu proobronnego, która ma się opierać m.in. na jednolitej podstawie procesu szkolenia. Ten cel musimy osiągnąć. ■

WALDEMAR ZUBEK
jest dyrektorem Biura do spraw
Proobronnych MON.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

Iks pisze historię

Marynarze z Polski po raz pierwszy w historii stanęli na czele natowskiego zespołu przeciwmینowego, który będzie działał na morzach: Śródziemnym, Czarnym i Egejskim. Czekają ich półroczna misja w jednym z najbardziej zapalnych punktów świata.



**NA CZAS MISJI
ORP „CZERNICKI”
DOSTAŁ STATUS
POLSKIEGO
KONTYNGENTU
WOJSKOWEGO**

Podmuchy wiatru sprawiają, że marzną do szpiku kości. Na termometrze kilka kresek poniżej zera, portowe nabrzeże skute lodem, na morzu niespokojnie. „Dziś rano była mocna czwórka przechodząca w piątkę. Będzie bujało”, mówi kmdr por. Piotr Adamczak. Za kilka godzin wraz z 70 marynarzami zaokrętowanymi na pokładzie ORP „Kontradmirał Xawery Czernicki” opuści port wojenny w Świnoujściu i skieruje się na Morze Śródziemne, by dołączyć do Stałego Zespołu Sił Obrony Przeciwminowej NATO numer 2 (Standing NATO Mine Counter-Measures Group 2 – SNMCMG2). Adamczak będzie jego rzecznikiem i w ten sposób dołoży swoją cegiełkę do historii polskiej marynarki wojennej.

SNMCMG2 to ostatni natowski zespół, w którym jeszcze nie służył okręt pod biało-czerwoną banderą. A ORP „Czernicki” na pół roku stanie się jednostką flagową. Mało tego – poczynaniami zespołu pokieruje rozlokowany na jego pokładzie sztab pod polskim dowództwem.

I na to dowództwo właśnie czekamy.

GORĄCE POŁUDNIE, MROŹNE POŻEGNANIE

O kmdr. por. Aleksandrze Urbanowiczu wszyscy mówią tutaj „Com”. Com, czyli commander. Dowódca. To

właśnie on stanie niebawem na czele zespołu. Na rozmowę godzi się chętnie, ale będzie ona możliwa za kilkanaście minut. Teraz musi iść na odprawę, omówić ostatnie szczegóły, odebrać meldunki. Siadam więc w mesie, czekam i obserwuję gorączkową krzątaninę na pokładzie. Kiedy wreszcie możemy na chwilę porozmawiać, kilkakrotnie przerywa nam trzeszczący głos z interkomu: ten marynarz ma się stawić tam, a tamten przyjąć tutaj. „I jak tam będzie?”, pytam. „Na pewno dużo cieplej”, uśmiecha się kmdr por. Urbanowicz.

Dla załogi ORP „Czernicki” misja stanowi zwieńczenie trzyletniego cyklu szkoleniowego. Przez cały 2016 rok okręt pełnił dyżur w ramach Sił Odpowiedzi NATO. W każdej chwili mógł zostać wysłany tysiące mil od macierzystego portu. Na wojnę, z misją bojową lub humanitarną. Dyżur upłynął spokojnie, za to teraz marynarzy czeka prawdziwy maraton. „16 stycznia planujemy pojawić się na Morzu Śródziemnym, pięć dni później okręty zespołu spotkają się w porcie Cagliari na Sardynii”, zapowiada kmdr por. Urbanowicz. W skład SNMCMG2 wejdą niszczyciele min z Niemiec, Hiszpanii, Turcji i Rumunii. „Ale na czas ćwiczeń, w których będziemy brali udział, dołączą do nas kolejne jednostki”, informuje dowódca zespołu. Podstawowe zadanie ➔



SNMCMG2 wiąże się z zapewnieniem bezpieczeństwa statkom na szlakach żeglugowych. „Przeprowadzimy m.in. kilka operacji przeciwminowych, które będą polegały na monitorowaniu i niszczeniu zalegającej na morskim dnie amunicji z czasów II wojny światowej. W tych działaniach mają wziąć udział dodatkowe siły z Hiszpanii oraz okręty z Włoch”, zaznacza komandor porucznik.

Misja to również okazja do demonstracji bander – zarówno narodowych, jak i natowskiej. Okręty zespołu będą wchodziły do portów nad morzami: Śródziemnym, Czarnym i Egejskim. Odwiedzą przede wszystkim państwa należące do sojuszu, ale nie tylko. „W planach mamy na przykład wizytę w Czarnogórze. Najprawdopodobniej pojawimy się też w Barze”, opowiada dowódca.

Na czas misji ORP „Czernicki” dostał status polskiego kontyngentu wojskowego. Dowódca zespołu podkreśla, że spora część marynarzy zdobyła doświadczenia w czasie służby w Stałym Zespole Sił Obrony Przeciwminowej NATO numer 1, który działa przede wszystkim na Bałtyku i Morzu Północnym, ale też północnej części Oceanu Atlantyckiego. „Czernicki” dwukrotnie pełnił w nim funkcję okrętu flagowego. „Teraz jednak będziemy operować na akwenach o zupełnie innej specyfice. Liczba państw, wysp i cieśnin, rozkład głębokości... Różnic jest mnóstwo”, wylicza dowódca zespołu. Najważniejsza wiąże się jednak z panującą w tamtym rejonie sytuacją geopolityczną. Basen Morza Śródziemnego z przyległościami to przestrzeń opleciona misterną siecią wzajemnych zależności, często sprzecznych interesów, gdzie nawet najdrobniejszy incydent może naruścić kruchą równowagę. A teraz nastał tam wyjątkowo gorący czas.

UKŁADANKA Z NIEWIADOMĄ

Ale na początek kilka liczb. Państwa Unii Europejskiej posiadają łącznie aż 1200 portów handlowych. Wymiana towarowa między członkami wspólnoty w 40% jest prowadzona właśnie drogą morską. Rocznie między unijnymi portami wędrują ładunki o masie 3,5 mld t. Do tego dochodzi 400 mln pasażerów. W sektorze gospodarki morskiej pracuje 5,5 mln osób, a w ciągu roku wytwarza on wartość dodaną w kwocie 500 mld euro. A to zaledwie początek. Drogą morską dociera do Europy 15% konsumowanego przez nią gazu i 40% ropy naftowej. W sumie statki przewożą aż 90% wszelkiego rodzaju towarów sprowadzanych na Stary Kontynent.

Morze Śródziemne stanowi w tej układance kluczowy element. Tutaj krzyżują się szlaki handlowe między Europą, Afryką, Bliskim i Dalekim Wschodem. Tylko przez Cieśninę Gibraltarską każdego roku przepływa



Podczas ceremonii pożegnania ORP „Kontradmiral Xawery Czernicki”, dowódcy kmdr. por. Aleksandrowi Urbanowiczowi oraz załozce okrętu, banderę wojenną podarowaną przez prezydenta RP Andrzeja Dudę wręczył zastępca szefa BBN Dariusz Gwizdała.

SWOJĄ OBECNOŚĆ NA POŁUDNIU EUROPY **POLSKA** **MARYNARKA** W OSTATNIM CZASIE ZAZNACZA CORAZ WYRAŹNIEJ

100 tys. statków. Zakłócenie żeglugi na tym akwenie może zatem doprowadzić do kryzysu gospodarczego i politycznego na skalę globalną.

Dlatego NATO od lat prowadzi na południu Europy działania, które mają zapobiec komplikacjom, a jednocześnie zabezpieczyć interesy państw członkowskich. W tej części świata operują dwa natowskie zespoły: pierwszy skupia fregaty i niszczyciele, drugi – jednostki przeciwminowe. W następstwie ataków terrorystycznych na World Trade Center w 2001 roku na Morzu Śródziemnym została też zainicjowana operacja „Active Endeavour”. Okręty biorące w niej udział dostały zadanie monitorowania szlaków żeglugowych i poruszających się nimi jednostek. Cel: ochrona statków cywilnych oraz udaremnienie przemytu ludzi i broni. W przedsięwzięcie włączyły się też polskie okręty, m.in. fregata ORP „Gen. K. Pułaski”, jednostki podwodne OORP „Kondor” i „Bielik” czy „Czernicki”. Na

szczyście NATO w Warszawie zapadła decyzja o przekształceniu „Active Endeavour” w operację „Sea Guardian”. Sojusz bowiem zamierza ściśle współdziałać z Unią Europejską, by zastępować kryzys migracyjny.

Tymczasem sytuacja na styku trzech kontynentów gmatwa się z każdym rokiem. Lista przyczyn jest długa: rosyjska aneksja Krymu i konfrontacyjna polityka wobec Zachodu, wojna w Syrii, niestabilna sytuacja w większości państw północnej Afryki, rosnąca aktywność organizacji terrorystycznych. Na to wszystko nakłada się jeszcze niesłabnąca fala nielegalnych imigrantów, którzy usiłują przedostać się na Stary Kontynent.

O tym, jak wiele dzieje się na Morzu Śródziemnym, mógł się przekonać choćby kapitan marynarki Oskar Draus, który przez trzy lata służył w NATO Shipping Centre. To natowski ośrodek odpowiedzialny za monitorowanie oraz analizę sytuacji na morzach i oceanach. Polski oficer był tam szefem sekcji w pionie służby dyżurnej. „Pewnego dnia kapitan norweskiego drobnicowca poinformował nas, że zabrał na pokład 60 osób, które na prymitywnej barce usiłowały przedostać się z Afryki do Europy. Skontaktował się z Fronteksem, czyli Europejską Agencją Straży Granicznej i Przybrzeżnej”, opowiada kpt. Draus. „I wtedy podjęci z łodzi ludzie zaczęli grozić załodze. Norwegowie usłyszeli: »albo płyniecie z nami do Włoch, albo stanie się coś złego«. Dyżurni NATO zaalarmowali jeden z włoskich okrętów. Ostatecznie imigranci trafili do ośrodka na wyspie Lampedusa. Innym razem z natowskim centrum skontaktowała się załoga statku, który miał płynąć pod banderą Korei Północnej. „Wyszedł z opanowanej przez rebeliantów części Libii, a marynarze w pewnym momencie zaczęli alarmować, że ktoś ich goni. Twierdzili, że to terroryści. My jednak podejrzewaliśmy, że to po prostu libijska straż przybrzeżna”, wspomina kpt. Draus. Korea Północna do statku się nie przyznała, a kiedy osiągnął on wody międzynarodowe, łączność została zerwana. „Wysłaliśmy za nim amerykański okręt”, wyjaśnia kpt. Draus. „Kiedy żołnierze wkroczyli na pokład, żadnych terrorystów nie zastali. Spotkali za to żonę kapitana, która wytłumaczyła im, że wyskoczyli oni za burtę i uciekli.

Ostatecznie statek został odholowany do Libii”.

Podobne doświadczenia na Morzu Śródziemnym zebrała załoga fregaty ORP „Kościusko”. Okręt we wrześniu wrócił z misji w zespole SNMG-2 (Standing NATO Maritime Group 2). Jego podstawowym zadaniem było monitorowanie szlaków nielegalnej imigracji oraz próba jej przeciwdziałania. Ostatecznie Polakom udało się namierzyć 11 łodzi, w których z Turcji do Grecji usiłowało się przedostać łącznie około 300 osób. Informacje o nich przekazali strażom przybrzeżnym obydwu państw oraz Fronteksowi. „Zdajemy sobie sprawę z tego, w jak specyficznym regionie będziemy operować. Dlatego jesteśmy przygotowani na wszelkie zadania, które postawi przed nami NATO”, twierdzi kmr por. Urbanowicz.

NACZYNNIA POŁĄCZONE

Zanim ORP „Czernicki” opuścił port wojenny w Świnoujściu, odczytano list, który skierował do marynarki prezydent Andrzej Duda. Zwierzchnik Sił Zbrojnych RP podkreślał, jak wielkie znaczenie dla polskiej obronności, a także gospodarki ma rozpoczynająca się misja. W podobnym tonie wypowiadał się wiceminister obrony narodowej Bartłomiej Grabski: „Przede wszystkim pokazujemy naszemu sojusznikowi, że jesteśmy gotowi współdziałać z nimi w najbardziej newralgicznych rejonach świata”.

Szeroko pojęte bezpieczeństwo to przecież zespół naczyń połączonych, troska zaś o jego utrzymanie ani się nie zaczyna, ani nie kończy na Bałtyku. Swoją obecność na południu Europy polska marynarka w ostatnim czasie zaznacza coraz wyraźniej. „Nie mamy zbyt wielu okrętów zdolnych do wykonywania tego rodzaju misji, ale nasz potencjał powinien być efektywnie wykorzystywany”, podkreśla gen. bryg. Sławomir Wojciechowski, dowódca operacyjny rodzajów sił zbrojnych. „Dlatego chcemy kierować jednostki na Morze Śródziemne czy Morze Czarne, oczywiście zgodnie z potrzebami NATO i naszymi możliwościami”. Potwierdza też, że są czynione próby do ponownego wysłania na południe polskiej fregaty. „Na razie jednak trudno mówić o konkretach”.

KADR

/ MISJE

Strzelanie sekcji
w różnych postawach,
ze zmianą magazynka
i ze zmianą broni.



ARKADIUSZ DWULATEK

Trening bez pudła

Żołnierze na misji „Resolute Support” zajmują się nie tylko szkoleniem Afgańczyków. Sami też ćwiczą, bo w strefie działań militarnych niezwykle ważne jest utrzymywanie gotowości bojowej.



ARKADIUSZ DWULATEK/COMBAT CAMERA DORSZ



OD UMIEJĘTNOŚCI STRZELECKICH ŻOŁNIERZY W STREFIE DZIAŁAŃ MILITARNYCH

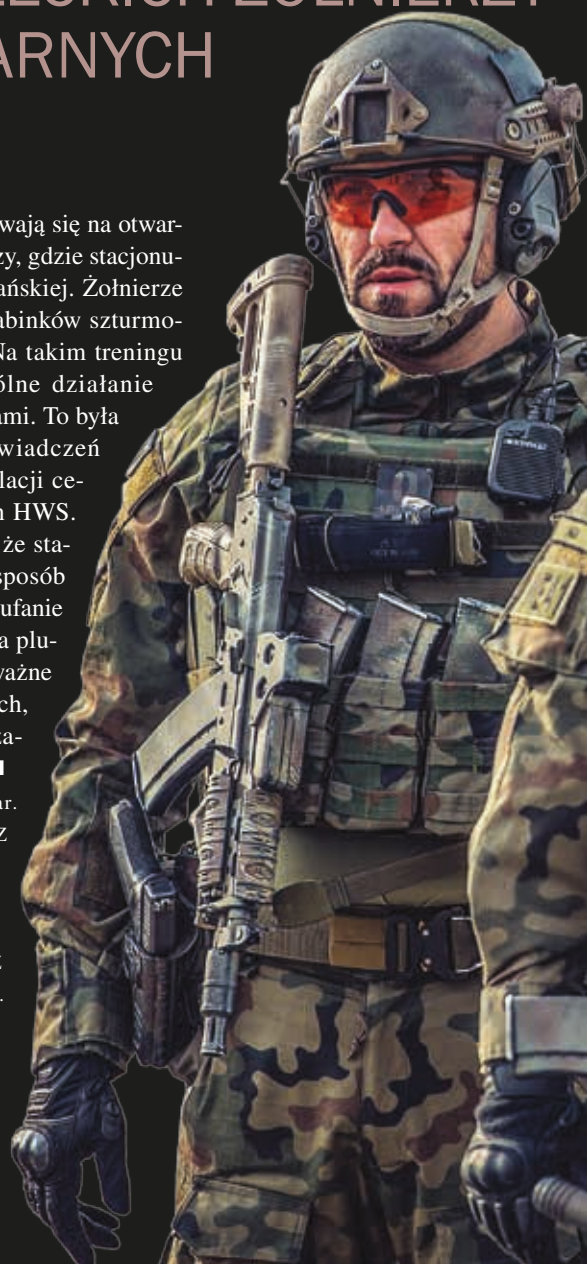
Kierowcy idą przygotowywać pojazdy przed wyruszeniem na strzelnicę. Kilkanaście minut później zbiera się przy nich pluton ochrony Guardian Angel. Jego dowódca ppor. Karol Knap przyjmuje meldunki od dowódców sekcji o frekwencji żołnierzy i ich gotowości do zajęcia. Następnie trzeba przypomnieć warunki bezpieczeństwa, ustalić trasę przejazdu na strzelnicę oraz kolejność pojazdów w konwoju. Tak wygląda jeden z poranków w bazie Gamberi w Afganistanie, gdzie służy V zmiana Polskiego Kontyngentu Wojskowego misji „Resolute Support”. Tutaj żołnierze używają broni każdego dnia, więc muszą być pewni, że ich nie zawiedzie w decydującym momencie. Taką pewność mogą zdobyć tylko na strzelnicy, bo o skuteczności prowadzenia ognia decyduje przede wszystkim praktyka. Przygotowanie treningu strzeleckiego nie jest jednak tak proste, jak w kraju. W Gamberi nie ma strzelnicy, więc zajęcia prowadzi się poza bazą, gdzie uczestnikom szkolenia trzeba zapewnić bezpieczeństwo. „To już nasze kolejne strzelanie”, stwierdził

ppor. Knap. „Zajęcia odbywają się na otwartej przestrzeni w części bazy, gdzie stacjonuje 201 Korpus Armii Afgańskiej. Żołnierze strzelali w sekcjach z karabinków szturmowych Beryl i Glock 17. Na takim treningu ćwiczymy również wspólne działanie z amerykańskimi żołnierzami. To była okazja do wymiany doświadczeń strzeleckich, a także regulacji celowników holograficznych HWS. „Takie treningi sprawiają, że stajemy się teamem. W ten sposób budujemy też wzajemne zaufanie w zespole”, mówi dowódca plutonu. Jest to szczególnie ważne w strefie działań militarnych, gdzie każdego dnia jest zagrożone życie żołnierzy. ■

St. chor. szt. mar.

ARKADIUSZ
DWULATEK

jest członkiem zespołu
reporterskiego Dowództwa
Operacyjnego RSZ
Combat Camera.





W AFGANISTANIE
KAŻDE OPUSZCZENIE
BAZY PRZEZ
POLSKICH ŻOŁNIERZY
POPPRZEDZONE JEST
WYPEŁNIENIEM
TZW. **TRIP TICKET**

CZĘSTO ZALEŻY BEZPIECZNE WYKONANIE MISJI



STRZELANIE ODBYWA SIĘ NA OTWARTEJ PRZESTRZENI W CZĘŚCI
BAZY, GDZIE STACJONUJE 201 KORPUS ARMII AFGAŃSKIEJ



DOWODZENIE ELITĄ

Z Piotrem Malinowskim

**o zmianach w 17 Wielkopolskiej Brygadzie Zmechanizowanej
i umiejętności dowodzenia znakomitymi żołnierzami
rozmawia Bogusław Polkowski.**

Jeszcze do niedawna 17 Wielkopolska Brygada Zmechanizowana nieustannie pojawiała się w gazetach, radiu i telewizji. Ostatnio jednak mniej o niej słychać, jest trochę w cieniu. Czyżby straciła na znaczeniu?

To jedynie cisza medialna, która mimo wszystko czasami jest pożądana. Brygada nadal jest jedną z największych i najważniejszych jednostek wojskowych w polskiej armii i, co ciekawe, wykonujemy więcej trudnych zadań niż w latach ubiegłych. W czasie „Anakondy” żołnierze brygady byli zaangażowani w działania w czterech różnych miejscach. Pododdziały ćwiczyły na poligonie w Orzyszu. Dowodziłem tam dwoma amerykańskimi batalionami zmechanizowanymi, podczas gdy 7 Batalion Strzelców Konnych Wielkopolskich, który ćwiczył na poligonie drawskim, został podporządkowany dowódcy brygady amerykańskiej. W tym samym czasie brygadowy batalion saperów budował na Odrze w okolicach Białej Góry przeprawę dla wojsk brytyjskich, a grupa operacyjna w obecnej Aka-

demii Sztuki Wojennej uczestniczyła w części ćwiczeń, która obejmowała wykorzystanie systemów symulacyjnych. Jednocześnie byliśmy odpowiedzialni za prawidłowe funkcjonowanie naszych trzech garnizonów, w których stacjonujemy, żeby zapewnić gotowość mobilizacyjną jednostki wojskowej.

Ćwiczyliście tylko w Polsce?

Wzmocniona elementami wsparcia i zabezpieczenia, kompania zmotoryzowana po „Anakondzie” wyjechała na trzy miesiące do państw bałtyckich. Na Łotwie, Litwie i w Estonii ćwiczyła jako część międzynarodowego batalionu. Pod koniec roku w miesięcznych manewrach, ponownie na Litwie, brała udział kolejna nasza kompania zmotoryzowana, tym razem z Batalionu Ułanów Poznańskich. Żołnierze 1 Batalionu „Ziemi Rzeszowskiej” ćwiczyli też na Słowacji, a 7 Batalion Strzelców Konnych Wielkopolskich szkolił się na terenie Niemiec. Wtedy gen. Frederick Hodges, dowódca amerykańskich sił lądowych w Europie, napisał do dowódcy

Wyznaję zasadę gen. George'a Pattona: „nie mów ludziom, jak mają coś robić, tylko powiedz, co mają zrobić, a oni cię zaskoczą swoją pomysłowością”

generalnego, że Polacy okazali się jednym z najlepiej wyszkolonych pododdziałów wśród wszystkich ćwiczących nacji. Jak widać, nie może być mowy o niższej randze czy mniejszym zaangażowaniu brygady.

O sile brygady świadczy nie tylko wyszkolenie żołnierzy, lecz także sprzęt. Czy ciągle do was trafia najnowsze wyposażenie?

W 2016 roku został przebrojony 3 Batalion, który do tej pory używał bojowych wozów piechoty. Teraz wszystkie trzy bataliony są wyposażone w rosomaki i wkrótce kilka ostatnich bewupów oddamy do innych jednostek. Co więcej, jako pierwsi w wojskach lądowych dostaliśmy nowe wozy rozpoznania technicznego na podwoziu KTO Rosomak. Do połowy 2017 roku powinny do nas trafić także najnowsze moździerze Rak na takim podwoziu i związany z nimi cały moduł bojowy, między innymi wozy dowodzenia i amunicyjne.

Nowy sprzęt w jednostce wymaga odpowiedniego przygotowania żołnierzy do jego obsługi. Czy zakupy idą w parze ze szkoleniem specjalistów?

Powinniśmy mieć możliwość szybszego szkolenia specjalistów na kursach w różnych ośrodkach szkolenia w kraju. Do służby przechodzi wielu nowych żołnierzy, którzy dopiero po kilku lub kilkunastu miesiącach uzyskują uprawnienia na przykład do kierowania rosomakami. W tym czasie nie możemy wyznaczyć ich na stanowiska, na których ich potrzebujemy. To zaburza system szkolenia.

Określenie „pierwsza” w odniesieniu do 17 Brygady nadal jest aktualne, ale bycie

w czołówce zobowiązuje. Kolejny rok będzie dla was równie intensywny jak poprzedni?

Każdego ranka oficer Taktycznego Centrum Operacyjnego składa mi meldunek. Często słyszę, że poza koszarami jest od tysiąca do półtora tysiąca naszych żołnierzy, a połowa z nich ćwiczy poza granicami kraju. Jesteśmy wiodącą jednostką polskiego wojska. Partnerzy z wielu krajów znają nas i chcą się z nami szkolić. Teraz na przykład formujemy kilkudziesięcioosobową XIII zmianę kontyngentu EUFOR, która pod flagą Unii Europejskiej będzie pełniła służbę w Bośni i Hercegowinie, gdzie zastąpi XII zmianę przygotowaną również przez nas. Będziemy też ćwiczyć w Chorwacji, na Węgrzech i w Rumunii. W tym ostatnim kraju nasza wzmocniona kompania zmotoryzowana spędzi długi czas jako część stacjonujących tam sił międzynarodowych NATO. Będzie to pobyt rotacyjny. Szczegóły są właśnie ustalane. W tym przedsięwzięciu również weźmiemy udział jako pierwszy polski pododdział. Jest to zadanie wynikające z ustaleń szczytu NATO w Warszawie, a związane z inicjatywą utworzenia dopasowanej wysuniętej obecności [tailored Forward Presence], czyli budowania potencjału odstraszania i obrony na całej południowo-wschodniej flance NATO. Równie dynamicznie zapowiadają się ćwiczenia w kraju. Dwa najważniejsze to „Gepard” i „Borsuk”. Należy również pamiętać o wysiłku żołnierzy wkładanym w codzienne szkolenie programowe.

Dlaczego w ostatnich miesiącach zmieniło się prawie całe dowództwo brygady?

30 listopada minął rok mojego dowodzenia jednostką. W tym czasie najważniejsze stano-



wiska w brygadzie objęli ludzie wywodzący się z niej, oficerowie z dużym doświadczeniem bojowym, po misjach zagranicznych oraz służbie w stołecznym garnizonie. Moim zastępcą na przykład został płk Wojciech Ziółkowski, który objął stanowisko zwolnione przez płk. Zenona Brzuszkę, obecnego dowódcę LITPOLUKRBRIG. Ówczesnego szefa sztabu, który dostał zadanie sformowania Podkarpackiej Brygady OT, zastąpił ppłk Grzegorz Kaliciak, znany z dowodzenia obroną ratusza w Karbali. Wakujące stanowisko szefa szkolenia objął natomiast ppłk Rafał Miernik, który dowodził grupą bojową podczas misji w Afganistanie. To są ludzie mający za sobą udział w wielu misjach i ćwiczeniach, cieszący się dużym autorytetem u podwładnych.

Pan również ma doświadczenie misyjne i służył w Siedemnastej. Czy to jest recepta na bycie dobrym dowódcą w tej prestiżowej jednostce?

Do brygady trafiłem w 1999 roku po ukończeniu AON-u, jako młody dyplomowany kapitan, i zostałem dowódcą batalionu zmechanizowanego. Batalion, którym dowodziłem przez trzy lata, jako pierwszy w armii został w pełni uzawodowiony. Po kilku latach służby w Żaganiu wróciłem na stanowisko szefa sztabu do Międzyrzecza. A teraz, po służbie na różnych stanowiskach w Warszawie i ukończeniu Podyplomowych Studiów Polityki Obronnej (PSPO), zostałem dowódcą brygady.

Na co dzień stawiam na dobrą współpracę z dowódcami batalionów. Staram się stosować zasadę gen. George'a Pattona: „nie mów ludziom, jak mają coś zrobić, tylko powiedz, co mają zrobić, a oni cię zaskoczą swoją pomysłowością”. To się sprawdza. Mam dobrze przygotowanych i doświadczonych dowódców batalionów, którzy znają możliwości swoje i swoich podwładnych.

Nawet najlepsi żołnierze potrzebują jednak lidera...

Wiem, że muszę być liderem, ale dobre wykonanie każdego zadania uzależnione jest od pracy wielu rąk. Poza tym wśród żołnierzy musi być wola dążenia do osiągnięcia sukcesu. Zależy to od wielu czynników. Jednym z nich jest szkolenie, które służy temu, aby żołnierze byli pewni swoich umiejętności i dobrze poznali możliwości sprzętu. Muszą być też dobrze wyposażeni, aby wierzyli w swoją siłę. Powinni również ufać sobie wzajemnie i swoim dowódcom. Ważne jest



WIZYTÓWKA

PŁK PIOTR MALINOWSKI

Jest dowódcą 17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej. W 1989 roku, po ukończeniu Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Zmechanizowanych we Wrocławiu, objął pierwsze stanowisko dowódcze dowódcy plutonu rozpoznawczego w batalionie rozpoznawczym nieistniejącej już 5 Dywizji Pancernej w Gubinie. Brał udział w III i IV zmianie misji w Iraku jako szef oddziału rozpoznania G2. W czasie VIII zmiany był zastępcą dowódcy brygadowej grupy bojowej. Pełnił też stanowisko starszego specjalisty NATO w sztabie dowództwa ACT SEE w Mons w Belgii. Po powrocie ze służby w strukturach NATO wykonywał zadania w Departamencie Strategii i Planowania Obronnego MON.

LUKASZ KERMEŁ / 17 W B Z

także przywiązanie do tradycji i wywodząca się z niej siła ducha.

Dla żołnierzy niezwykle istotna jest sfera socjalna. Czy nie macie problemów na przykład z mieszkaniami?

Warunki służby w naszych trzech garnizonach stają się coraz lepsze. Nie mamy też większych problemów z zakwaterowaniem. Brakuje nam tylko dużych mieszkań dla rodzin wielodzietnych, ale zabiegamy o wybudowanie w Międzyrzeczu kolejnego budynku dla wojska. Wszystko jest na dobrej drodze, ponieważ władze miejskie zgodziły się podarować grunt pod tę inwestycję za symboliczną złotówkę. Wiele dzieje się również w koszarach. Żołnierze mają do dyspozycji niedawno wyremontowaną siłownię, a wkrótce zostanie odnowiona hala sportowa. Oddaliśmy też do użytku nowy, duży garaż przeznaczony na sprzęt jednego z batalionów, a inne wyremontowaliśmy.

XIII Międzynarodowa Konferencja i Wystawa

Nowoczesne technologie



dla bezpieczeństwa kraju i jego granic

FOOTSTEP
PULL OUT

11.05.2017

www.nowoczesnetechnologie.ztw.pl

Awie pani, że to wyjątkowy dzień? Dziś większość naszych pilotów jest na ziemi, a nie, jak zwykle, w powietrzu”, mówi mi na powitanie ppłk pil. Grzegorz Weltrowski, dowódca Grupy Działania Lotniczych (GDL) 8 Bazy Lotnictwa Transportowego z Balic. W tej jednostce spotykamy się na początku stycznia. „Dopiero się w nowym roku rozkręcamy. Dziś tylko dwa nasze samoloty wykonują zadania. Jeden leci z panią premier z Warszawy do Krakowa, a drugi miał lecieć z Łasku do Kuwejtu, ale ostatecznie wylot został odwołany i maszyna wróciła do Balic”, dodaje dowódca GDL-u.

Samoloty C-295M stojące na płycie balickiego lotniska to rzeczywiście niecodzienny obraz. Sama wiele razy przekonałam się, że spośród szesnastu C-295M i ośmiu M-28B/PT, którymi dysponuje jednostka, zwykle na miejscu znajduje się zaledwie kilka maszyn. „To i tak dobry wynik. Co

tu się działo w grudniu... Z kilkunastu sprawnych samolotów nie było żadnego wolnego. Musieliśmy odmówić wykonania zadania, bo nie było czym wzbić się w powietrze”, uśmiecha się ppłk Weltrowski.

Żeby zrozumieć, jakie jest obciążenie jednostki, trzeba zerknąć na statystyki. A te dowodzą, że balickie załogi niemal cały rok spędzają w powietrzu. W 2015 roku zadania wykonywano przez 345 dni, w 2016 przez prawie 350. Załogi spędziły w powietrzu, podobnie jak rok wcześniej, niemal 8 tys. godzin (M-28 B/PT ponad 1,5 tys., a C-295M ponad 6 tys.). „Sama pani widzi. To daje zaledwie 15 dni w roku, które spędzamy na ziemi. Lotnicy pracują niezależnie od weekendów i świąt”,

wyjaśnia ppłk Weltrowski. „Mamy taki zwyczaj, że jeśli ktoś chce mieć wolny dzień, np. niedzielę, to wpisuje się do kalendarza. W innym przypadku każdy jest do dyspozycji dowódcy”. 8 Bazę Lotnictwa Transportowego tworzy kilkuset żołnierzy. Od kilku miesięcy na czele transportowego

POZNAJCIE
Z NAMI SPECYFIKĘ
SŁUŻBY ŻOŁNIERZY W RÓŻ-
NYCH JEDNOSTKACH POLSKIEGO
WOJSKA. W CYKLU „WOJSKO
OD KULIS” PRZECZYTAJcie O MARY-
NARZACH, PILOTACH,
LOGISTYKACH, ARTYLER-
RZYSTACH, PRZECIW-
LOTNIKACH CZY
CHEMIKACH.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Zalotani

To jedna z najbardziej zapracowanych jednostek lotniczych w polskiej armii. Jej żołnierze wykonują zadania w Europie, Afryce, Azji i na Bliskim Wschodzie.

MICHAŁ WAJNCHOLD



giganta stoi płk pil. Krzysztof Szymaniec. Najważniejszą częścią balickiej jednostki jest Grupa Działań Lotniczych. Składa się ona z dwóch eskadr lotniczych, eskadry wsparcia i Zespołu Ewakuacji Medycznej. Obie eskadry lotnicze operują samolotami C-295M i M-28 B/PT w wersji glass cockpit. W strukturze jednostki oprócz dowództwa i sztabu są jeszcze Grupa Obsługi Technicznej, Grupa Wsparcia i Pion Bezpieczeństwa Lotów. Dowódcy 8 Bazy podlega również Komenda Obsługi Lotniska we Wrocławiu. Z kolei 8 Baza, która jest równocześnie wojskowym oddziałem gospodarczym, zaopatruje dziesięć innych jednostek wojskowych, m.in. 1 Regionalny Ośrodek Dowodzenia i Naprowadzania, 3 Grupę Poszukiwawczo-Ratowniczą i 3 Rejon Wsparcia Teleinformatycznego Sił Powietrznych.

Wizytówką 8 Bazy są małe samoloty transportowe M-28 B/PT w wersji glass cockpit i średnie C-295M. W ciągu kilkunastu lat samoloty z Balic lądowały w kilkudziesięciu państwach. Wśród nich są: Liban, Izrael, Gruzja, Kazachstan, Pakistan, Chiny, Egipt, Libia, Kongo, Czad, Mali, Republika Zielonego Przylądka, Hiszpania, Irak, Afganistan, Kosowo, Bośnia i Hercegowina, Republika Środkowoafrykańska, Kuwejt i Jordania.

„Podstawowe zadania pilotów 8 Bazy nie zmieniają się od lat”, mówi płk Szymaniec. „Zapewniamy transport powietrzny do wszystkich kontyngentów wojskowych, w których stacjonują polscy żołnierze”, dodaje dowódca. To nie wszystko. Transportowce wykonują desantowania żołnierzy, przewożą różnego rodzaju ładunki i wykonują loty usługowe, np. dla Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji. „Chodzi tu o loty deportacyjne. Każdego roku jest kilkaset tego rodzaju operacji”, przyznaje dowódca GDL-u. Załogi C-295M najczęściej przywożą naszych obywateli z Anglii, Francji i Holandii.

Do listy zadań trzeba doliczyć loty okolicznościowe, jak ten z 2013 roku, gdy na

pokładzie C-295M między Polską, Hiszpanią a Wielką Brytanią w ścisłej tajemnicy podróżował na zlecenie Ministerstwa Kultury jeden z najcenniejszych polskich obrazów „Dama z gronostajem” Leonarda da Vinci.

Piloci kilkakrotnie brali też udział w lotach specjalnych, np. polecili po Polaków do Tunezji po zamachu, ewakuowali poszkodowanych z ukraińskiego Majdanu, przywozili na pokładzie repatriantów ze Wschodu i uczestniczyli w operacji humanitarnej po trzęsieniu ziemi w Nepalu.

„Ale o tym, że lotnicy z Balic chętnie niosą pomoc potrzebującym, nie musimy przekonywać. Nasi żołnierze od dawna wspierają polską transplantologię i latają dla »Akcji Serce«”, dopowiada kpt. Maciej Nojek, rzecznik prasowy 8 Bazy. To właśnie ta jednostka wykonuje najwięcej tego typu zadań. Przez cały rok w gotowości jest utrzymywana jedna załoga lotnicza, która czeka na sygnał Poltransplantu. „Jesteśmy gotowi przez całą dobę przez 365 dni w roku. Dla »Akcji Serce« latamy w dzień i w nocy, niezależnie od pory roku i warunków pogodowych”, mówi ppłk Weltrowski. Piloci z Balic wykonali już około 70 takich lotów, w ubiegłym sześć razy przewozili narządy do przeszczepu. Ponadto na pokładzie C-295M pracuje także Zespół Ewakuacji Medycznej. Lekarze, ratownicy i pielęgniarki latają po chorych i poszkodowanych w rejonie misji lub do amerykańskiego szpitala w Ramstein.

GLOBALNY ZASIĘG

Pierwszy C-295M, z numerem 011, który przyleciał do Polski 15 sierpnia 2003 roku, jeszcze w tym samym



M-28 B/PT

Transportowy M-28 B/PT to wersja rozwojowa pasażersko-transportowego An-28. Pierwotnik powstał w ZSRR na początku lat siedemdziesiątych XX wieku, a pierwszy egzemplarz zbudowany na licencji w PZL Mielec był gotowy w 1984 roku.

Samolot jest wyposażony w dwa silniki turbopropellerowe PT6A-65B i pięciopłatowe śmigła HC-B5MP-3D, przestawialne w choraśnięwkę i rewers. Może być wykorzystywany w wersji pasażerskiej (18 foteli), transportowej, pasażersko-transportowej, sanitarnej i desantowej.

roku przeszedł chrzest bojowy – odbył lot do Iraku. Na pokładzie podróżowali żołnierze, transportowano też wyposażenie, sprzęt wojskowy oraz żywność. Podobne zadania wykonywały casy zaopatrujące kontyngent w Afganistanie. Do tej pory między Balicami a Afganistanem piloci utrzymują tzw. most powietrzny. W latach 2010–2012 do składu afgańskiego kontyngentu balicka jednostka wystawiała także komponenty lotnicze. „Wysłanie samolotu w rejon misji było dla nas wyzwaniem. Przede wszystkim dla pilotów i techników, którzy musieli pracować w innych niż dotychczas warunkach. Maszyny latały w wyższych temperaturach i na dużych wysokościach. Po każdej zmianie z samolotów kilogramami wysypywał się piasek”, mówił dwa lata temu poprzedni dowódca 8 Bazy, płk pil. Jacek Łazarczyk. Płk Grzegorz Kot, do niedawna dowódca Grupy Obsługi Technicznej, a obecnie zastępca dowódcy 8 Bazy, przypomina także, że w Afganistanie samolot miał nawet wymieniany silnik. „To było wyzwanie. Zabraliśmy niezbędny sprzęt i specjalistów z Polski. A na miejscu, w kilkudziesięciostopniowym upale wymieniliśmy uszkodzony silnik”.

Mimo różnego rodzaju trudności piloci nigdy nie narzekali na możliwości techniczne transportowców. „Na misji maszyna była idealna. Bardzo podoba mi się jej manewrowość. W porównaniu do An-26, którym wcześniej latałem, jest bardzo zwrotna. Praktycznie z każdej pozycji można wylądować”, tak o transportowcu mówił z kolei mjr pil. Sławomir Byliniak.

Piloci, oceniając możliwości tej maszyny, przypominają, że sprawdzała się ona podczas startów i lądowań na jednym z afgańskich lotnisk w Szaranie. „Żeby posadzić tam samolot, pilot musiał mieć naprawdę duże doświadczenie lotnicze. Ale to był test także dla »kaśki«”, mówią. Lotnisko w afgańskiej Szaranie położone jest w górach (ok. 2 tys. m n.p.m.). „Tamtejszy pas startowy jest dwukrotnie krótszy niż na innych lotniskach i bardzo wąski. W praktyce skrzydła C-295M wystawały poza jego krawędź”, przypominają lotnicy.

Podczas rozmowy płk Weltrowski zerka na zawieszoną na ścianie mapę świata. Z uśmiechem przyznaje, że gdyby zaznaczyć wszystkie trasy, którymi poruszają się balickie samoloty, i wszystkie lotniska, na których maszyny lądowały, to niewiele byłoby pustych miejsc. „Stale latamy do Afganistanu, Iraku, Kosowa, do 2015 byliśmy często w Afryce, a teraz latamy też do Kuwejt. Ciągłe zmieniamy trasy, wyznaczamy nowe drogi powietrzne. Tak na przykład było z Afryką. Po rewolucji w Egipcie, czyli Arabskiej Wiośnie, nie było tam bezpiecznie, więc żeby dolecieć do Republiki Środkowoafrykańskiej, musieliśmy wybrać dłuższą trasę. Przyznam, że kiedyś nawet nie znałem tych wszystkich afrykańskich krajów. A teraz... No cóż, musimy dokładnie rozpoznać trasę lotu, tak aby była ona bezpieczna dla załogi i pasażerów”, mówi płk Weltrowski.

Lotnicy dodają, że wyloty operacyjne odbywają się o każdej porze dnia i nocy, a to oznacza, że w pracy każ-



TRZY PYTANIA DO

Krzysztofa Szymańca

Co wyróżnia 8 Bazę Lotnictwa Transportowego spośród innych jednostek lotniczych?

Przede wszystkim ogrom zajęć i tempo pracy. To jedna z najważniejszych jednostek transportowych w kraju. Wspieramy pozostałe rodzaje sił zbrojnych i różne instytucje państwowe. I choć charakter wy-

konywanych zadań jest taki sam, to zmieniają się kierunki lotów. Śmiało mogę powiedzieć, że 8 Baza to jednostka o globalnym zasięgu.

W jaki sposób można zasilić szeregi tej jednostki?

Możliwości są różne, a wszystko zależy od specjalności żołnierza

oraz posiadanego stopnia wojskowego. Personel pokładowy, czyli piloci, technicy i technicy pokładowi, to absolwenci Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie. Ale proszę pamiętać, że 8 Baza to nie tylko żołnierze, którzy wykonują zadania w powietrzu. W Bazie służą również inżynierowie, mecha-

ŻOŁNIERZE Z BALIC CHĘTNIE NIOSĄ POMOC POTRZEBUJĄCYM. OD DAWNA WSPIERAJĄ POLSKĄ TRANSPLANTO- LOGIĘ I LATAJĄ DLA AKCJI SERCE

dorazowo musi się meldować personel SIL (służba inżynierijno-lotnicza), technicy, wojskowa straż pożarna i karetka. Żołnierze przypominają sytuację sprzed kilku lat: „Kiedy zawrzało w Tunezji, od razu rozpoczęliśmy przygotowania. MSZ złożyło zapotrzebowanie na pięć samolotów, a to oznaczało utrzymywanie w gotowości dziesięciu załóg i obsługiwanie lotniska także w weekend. Ostatecznie do Tunisu poleciała jedna maszyna C-295M z dwiema załogami”.

Z VIP-EM NA POKŁADZIE

Dowódca Grupy Działań Lotniczych przyznaje także, że właśnie te odległe loty są jednym z największych wyzwań organizacyjnych. Przede wszystkim dlatego, że piloci muszą mieć zgodę dyplomatyczną na korzystanie z przestrzeni powietrznej każdego państwa. „W krajach Unii Europejskiej nie jest to wielkim kłopotem. Zwykle trzy dni wystarczą, by uzyskać zgodę. Ale w przypadku Afryki i Bliskiego Wschodu to wielka niewiadoma. Niektóre państwa wymagają złożenia wniosku 45 dni przed planowanym lotem. Wiadomo, że nie zawsze jest to możliwe”, tłumaczy dowódca GDL-u. „Proszę iść za mną, pokażę pani, jak to działa”, rzuca i pośpiesznie wychodzi ze swojej kancelarii.

Wchodzimy do średniej wielkości pomieszczenia. To sala sekcji działań bieżących. Pracują tu każdego dnia

trzy lub cztery osoby, z czego jedna pełni całodobowy dyżur. Już od progu w oczy rzuca się zawieszona na ścianie tablica. To kalendarz, gdzie są wpisywane planowane loty. „Styczeń 2017 jest w miarę luźny. Mamy kilka lotów przewidzianych wcześniej, a niektóre pojawiają się w ostatniej chwili. Ale proszę zerknąć na to, co się działo kilka tygodni temu”, mówi kpt. Adam Płaskowicz, oficer sekcji działań bieżących, planowania i nadzoru. Grudniowa rozpiska jest cała czerwona.

Każdego dnia w grafiku jest zapisanych kilka lotów. To m.in. Afganistan, Kuwejt, Hiszpania, Wielka Brytania, jest też kilka krajowych i desantowanie. „Jeden dzień to za mało, by zaplanować jeden przelot. Potrzebujemy czasu na załatwienie zgody dyplomatycznej. Oprócz tego musimy dograć zgody logistyczne – np. na serwis samolotu na lotnisku i tankowanie. Jeśli w trasę jest wliczone międzylądowanie, to trzeba sprawdzić, co to za lotnisko, czy jest bezpieczne i dopuszczone do ruchu”, opisuje kpt. Płaskowicz. Dodaje również, że jeśli lot jest organizowany z dużym wyprzedzeniem, to później należy jeszcze na bieżąco zweryfikować, czy ustalenia się nie zdezaktualizowały. „Ale największym problemem są zdarzenia nagłe. U nas dzwonią cztery telefony jednocześnie, zawsze jest nerwowo”, przyznaje oficer. „Jest już godzina 13, a ja jeszcze przed śniadaniem. Ale to norma”, dorzuca.



nicy, logistycy, specjaliści od infrastruktury, finansów, są też medycy i służby obsługi lotniska. Przekrój specjalistów w tak dużej jednostce jest więc ogromny. Śmiało mogę powiedzieć, że szkolnictwo wojskowe niemal w każdej dziedzinie dostarcza nam dobrych kandydatów do służby.

Jakie cechy charakteru powinien mieć żołnierz, który rozpoczyna służbę w Balicach?

W pracy lotników liczy się przede wszystkim pasja. Jeśli ktoś kocha to, co robi, to zdecydowanie łatwiej mu przetrwać różne trudne chwile, niepo-

wodzenia – a te się przecież zdarzają. Sam jestem pilotem, więc odniosę się do personelu latającego. Lotnictwo jest bardzo wymagające, dlatego trzeba sobie ten zawód wymarzyć, a później systematycznie do niego dążyć. Najlepiej wytłumaczyć to na przykładach. W „Akcję Serce”, moi podwładni angażują się od lat. Nikt nie odmawia wykonania tego zadania, niezależnie od tego, czy jest Wigilia, czy Nowy Rok. Na pewno sporym wyzwaniem dla żołnierzy i ich rodzin jest także to, że nasza praca wiąże się z częstą nieobecnością w domu. Loty są długie, a zadania wykonujemy na całym świecie. Także w miejscach,

gdzie są konflikty zbrojne. Lotnicy muszą być wytrwali, prawdomówni i szczerzy. Praca w załodze wymaga dobrych relacji, trzeba się rozumieć i lubić. Tu nie ma miejsca na aktorstwo, na udawanie. Kiedy w powietrzu są problemy, bardzo szybko się okazuje, na kogo można liczyć, a kto się do tej pracy nie nadaje. Doświadczyłem w swoim zawodowym życiu wielu różnych sytuacji, dlatego mówię z pełnym przekonaniem, że dobrą atmosferę w pracy budują ludzie. ■

Płk pil. KRZYSZTOF SZYMANIEC
jest dowódcą 8 Bazy Lotnictwa
Transportowego.

Rozmowę przerywa telefon. Żołnierze dostają powiadomienie, że za trzy dni na pokładzie C-295M poleci prezydent Andrzej Duda. Transport najważniejszych osób w państwie to jedno z poważniejszych wyzwań, z którymi obecnie mierzy się 8 Baza. Loty o statusie head wykonuje się dla prezydenta, premiera, marszałków Sejmu i Senatu. „Możliwość przewożenia na pokładzie naszych samolotów najważniejszych osób w państwie jest dla nas nobilitacją. Ale to zadanie wymaga starannych i czasochłonnych przygotowań”, podkreśla ppłk Weltrowski.

Loty head 8 Baza wykonuje od 2013 roku. Podobne zadania, choć z wykorzystaniem śmigłowców, ma 1 Baza Lotnictwa Transportowego. „Przygotowanie takiego lotu zajmuje co najmniej pięć godzin. Trzeba odpowiednio skonfigurować wyposażenie samolotu, skontrolować go pod względem technicznym. Później następuje sprawdzenie w powietrzu, a następnie jest analizowany zapis z tzw. czarnej skrzynki. Jeżeli nie ma żadnych uchybień, to powołana komisja dopuszcza maszynę do lotu o statusie head”, opisuje płk Grzegorz Kot. Oficer wyjaśnia, że do wylotu z najważniejszymi osobami w państwie są przygotowywane w ten sam sposób dwa samoloty. „Obowiązkowo mamy w gotowości zapasowy i kolejną załogę. Taki samolot leci jak cień za tym, na którego pokładzie podróżuje VIP”, dodaje pułkownik. Po sprawdzeniu maszyny są zamykane, plombowane i pilnowane przez Żandarmerię Wojskową. Ważność weryfikacji i komisyjnego dopuszczenia do lotu mija po 72 godzinach.

Balicka jednostka będzie odciążona, gdy do służby w Warszawie wejdą zakupione przez MON samoloty do przewozu VIP-ów. „Nowa maszyna zdejmie z nas trochę obowiązków. Ale to rozwiązanie ma także minusy. Do wykonywania lotów na nowych statkach powietrznych odejdą od nas najlepsi piloci wojskowi. Stracimy ludzi kompletnie wyszkolonych, z dużym doświadczeniem w misjach i operacyjnym. Przygotowanie następców zajmie nam co najmniej trzy lata”, przyznaje ppłk Weltrowski.

TRANSPORTOWCE NA BOJOWO

„Lotnictwo transportowe już dawno straciło czysto bagażowy charakter. Myślę, że przełom nastąpił w chwili, gdy do Polski trafiły pierwsze casy C-295M, a już na pewno, kiedy pierwsza z nich poleciała do Iraku”, przyznaje płk Krzysztof Szymaniec, dowódca 8 Bazy, a także pilot C-130 Hercules. „Dziś lotnictwo transportowe to już lotnictwo wojenne. W ciągu jednego dnia możemy się przemieścić z Polski do kraju ogarniętego wojną”, dodaje.

Kpt. Piotr Żemojtel, który na C-295M lata już od ośmiu lat, przyznaje z kolei, że wojskowy transport lotniczy różni się od cywilnego przede wszystkim umiejętnością działania w niesprzyjających warunkach. „Myślę tu o kwe-

stiach związanych z infrastrukturą lotniskową, logistycznym zabezpieczeniem operacji, a także zagrożeniach wynikających z wykonywania zadań w terenie niesprzyjającym lub wrogim. Właśnie dlatego to piloci wojskowych transportowych statków powietrznych muszą posiadać, oprócz podstawowego pakietu wiedzy i umiejętności, właściwego dla każdego zawodowego pilota cywilnego, także pakiet dodatkowy, potocznie nazywany taktyką”, mówi oficer. Wskazuje jednocześnie na konieczność lądowania na wąskich lub krótkich pasach startowych, na nieutwardzonej nawierzchni, a także na zagrożenie ze strony przeciwnika uzbrojonego w broń przeciwlotniczą.

„Przykładów na taktyczne wykorzystanie lotnictwa transportowego jest wiele. Do najlepszych należy chociażby początek operacji »Unified Response«, po trzęsieniu ziemi na Haiti w 2010 roku. Pomimo całkowitego paraliżu lotniska w Port-au-Prince, ze względu na zniszczenia na pasie startowym, wojskowe samoloty transportowe wylądowały i dostarczyły zaopatrzenie oraz personel wojskowy, który przywrócił działalność portu lotniczego. Nasze doświadczenia z użytkowania samolotu C-295M w Afganistanie pokazują, że umiejętność lądowania na krótkich i wąskich pasach startowych jest niezbędna”, uzupełnia kpt. Żemojtel.

Już poprzedni dowódca 8 Bazy, płk pil. Krzysztof Cur, zapowiadał, że szkolenie taktyczne będzie priorytetowym zadaniem pilotów z Balic. Lotnicy po raz pierwszy w ubiegłym roku wzięli udział w zaawansowanym kursie taktycznym, zorganizowanym przez Europejską Agencję Obrony (European Defence Agency – EDA) i Europejskie Dowództwo Lotnictwa Transportowego (European Air Transport Command – EATC). Na europejski zaawansowany kurs taktyki lotnictwa transportowego (European Advanced Airlift Tactics Training Course) Polacy polecili w lutym i we wrześniu 2016 roku. Szkolili się wspólnie z załogami z Belgii, Hiszpanii, Francji, Rumunii, Czech i Niemiec.

„W Saragossie działaliśmy podczas symulowanego konfliktu zbrojnego. Operując we wrogim środowisku, musieliśmy przeprowadzić desantowanie ładunków i ludzi. Lataliśmy na średnich i małych wysokościach, ćwiczyliśmy symulowane operacje załadunku i rozładunku przy włączonych silnikach oraz taktyczne lądowania na krótkich pasach”, mówił wówczas kpt. pil. Michał Zychowicz, dowódca polskiej załogi C-295M.

W trakcie szkolenia załogi przećwiczyły każdy (oprócz lądowania na pasach nieutwardzonych) wariant działania, który może być stosowany przez lotnictwo transportowe w czasie realnego konfliktu. „Tego rodzaju kursy są bardzo potrzebne, a udział w nich daje wiele korzyści. I pozwala nie tylko doskonalić umiejętności

8 BAZA LOTNICTWA TRANSPORTOWEGO



**GŁÓWNĄ SIŁĄ
JEDNOSTKI SĄ
STATKI POWIETRZNE:
16 SAMOLOTÓW
C-295M CASA
I OSIEM M-28 B/PT
GLASS COCKPIT**

WYPOSAŻENIE



CASA C-295M powstała w hiszpańskich zakładach lotniczych Construcciones Aeronáuticas SA jako samolot transportowy na podstawie wcześniejszej konstrukcji tej wytwórni, czyli CASA CN-235. Przeznaczeniem samolotu jest transport żołnierzy, sprzętu bojowego, ładunków i ewakuacja rannych. Ładownia jest całkowicie hermetyzowana. C-295M pomieści 9250 kg ładunku lub 49 żołnierzy z pełnym wyposażeniem. Dzięki nowoczesnym systemom nawigacyjno-pilotażowym te maszyny są w stanie latać niemal we wszystkich warunkach pogodowych, w dzień i w nocy, praktycznie w dowolny rejon świata. C-295M są napędzane przez dwa turbośmigłowe silniki Pratt & Whitney PW127G. Piloci oceniają, że ten samolot jest zwrotny i wydajny. ■

HISTORIA

Tradycje jednostki lotniczej sięgają 1918 roku, kiedy to w podkrakowskich Balicach powstało prywatne lądowisko w majątku Radziwiłłów. Kraków był jednym z trzech ważnych ośrodków formowania się polskiego lotnictwa. 7 listopada 1918 roku utworzono tutaj Pierwszą Eskadrę Bojową,

którą przemianowano na 5 Eskadrę. W 1963 roku na lotnisku w Balicach powstał 55 Pułk Lotnictwa Transportowego, który wyposażono w samoloty An-2, Il-14, Li-2, a następnie An-12B i An-26. Cztery lata później jednostka zmieniła nazwę na 13 Pułk Lotnictwa Transportowego.

W 2000 roku został on rozformowany, powstały wówczas 8 Baza Lotnictwa Transportowego i 13 Eskadra Lotnictwa Transportowego. Połączenie obu struktur nastąpiło w 2010 roku. Patronem jednostki jest płk pil. Stanisław Jakub Skarżyński. Doroczne święto obchodzi ona 15 września. ■

Lotnictwo transportowe już dawno straciło czysto bagażowy charakter. Przełom nastąpił w chwili, gdy pierwsza CASA poleciała do Iraku

wykonywania lotów taktycznych, lecz także zweryfikować ich poziom na tle innych uczestników”, podkreśla kpt. Żemojtel. Pilot zaznacza, że wartością kursu jest również to, że cały wysiłek szkoleniowy jest skupiony na załogach transportowców. I to właśnie dla lotnictwa transportowego podczas ostatniej edycji takiego kursu zaangażowano kilka myśliwców F-18 Hornet oraz Eurofighter. Piloci myśliwców uczyli pilotów samolotów transportowych, w jaki sposób mogą radzić sobie z takim zagrożeniem jak myśliwiec przeciwnika.

„Szkolenia taktycznego moim ludziom na pewno nie brakuje”, wtrąca dowódca 8 Bazy. Zapowiada jednocześnie, że oprócz ćwiczeń taktycznych na arenie europejskiej, pojawią się nowe możliwości szkolenia załóg. „Stawiam na taktykę i współpracę z sojusznikami, głównie z siłami powietrznymi armii Stanów Zjednoczonych. Zalety polsko-amerykańskiego treningu obserwowałem do niedawna w Powidzu, gdzie

od lat piloci szkolą się w ramach Aviation Detachment. Teraz dołączą także załogi z Balic”, zapowiada płk Szymaniec. „Przed nami wspólne desantowania, lądowania na nieutwardzonych pasach, loty w dużych ugrupowaniach oraz nocne desantowania w noktowizji”.

Pierwszy wspólny trening załóg C-295M oraz polskich i amerykańskich C-130 ma się odbyć wiosną. „Nie ma tu znaczenia platforma, na której się lata. Oczywiście inne są możliwości techniczne casy i herculesa, ale rzecz w tym, by uczyć się wspólnego działania mimo różnic”, dopowiada dowódca 8 Bazy. Zaznacza również, że zadba także o szkolenie załóg mniejszych transportowców, czyli M-28 B/PT. „Od kilku lat w Powidzu odbywają się treningi taktyczne na M-28 z siłami specjalnymi ze Stanów Zjednoczonych”, przyznaje płk Szymaniec. „W tym roku, oprócz załóg z Powidza, w ćwiczeniach wezmą udział także piloci latający wersją glass cockpit z Balic”. ■

Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych. Zachęcamy do zadawania pytań: niezbednik@zbrojni.pl

POWRÓT DO WOJSKA

Jestem byłym żołnierzem zawodowym, służyłem w korpusie szeregowych zawodowych w latach 2010–2015, a później na rok wyjechałem za granicę. Teraz chciałem wrócić do wojska, ale niestety Departament Kadr MON się nie zgodził. Czy jego decyzja jest wiążąca tylko w wypadku jednostki, w której starałem się o przyjęcie, czy dotyczy też innych jednostek?

→ **Zgodnie z art. 9 ust. 2 ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych powołanie do zawodowej służby wojskowej może nastąpić, jeżeli przemawiają za tym potrzeby sił zbrojnych.** Użycie w tym przepisie wyrażenia „może nastąpić” wskazuje wprost, że decyzja dotycząca przyjęcia do zawodowej służby wojskowej jest uzależniona od uznania administracyjnego, które w tym wypadku jest podyktowane potrzebami sił zbrojnych. Przy czym, nawet gdy żołnierz pełni zawodową służbę wojskową (kontraktową), nie ma gwarancji na przedłużenie kontraktu, ponieważ ustawa z 11 września 2003 roku o służbie żołnierzy zawodowych nie przewiduje automatycznego przedłużenia umowy. Decyzja o zawarciu nowego kontraktu lub jego odmowie ma charakter uznaniowy i podejmuje ją organ danej służby zmilitaryzowanej. Podstawową przesłanką zawarcia kontraktu są, zgodnie z art. 9 ust. 2

wskazanej ustawy, potrzeby sił zbrojnych. Mianowanie w służbie kontraktowej ma charakter podobny do umowy o pracę na czas określony, więc żołnierz musi liczyć się z tym, że kontrakt może nie zostać przedłużony.

Zaznaczyć jednak należy, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby zainteresowany do skutku składał wnioski o przyjęcie do zawodowej służby wojskowej w innej jednostce wojskowej lub w późniejszym czasie. Modernizacja Sił Zbrojnych RP sprawia, że potrzeby co do przyjmowania nowej kadry zawodowej mogą ulegać zmianie nawet w ciągu danego roku kalendarzowego. Na marginesie wskazać jednak należy, że gdy mamy do czynienia z żołnierzem zawodowym w służbie kontraktowej, któremu organ odmówił podpisania kontraktu na pełnienie dalszej służby, może on kwestionować takie rozstrzygnięcie w toku postępowania administracyjnego oraz poddać je kontroli sądowej. W orzecznictwie sądowym utrwalili się poglądy, według którego uważa się, że co prawda organ ma prawo do decyzji uznaniowej w tej dziedzinie, lecz uznaniowość nie może prowadzić do dowolności w rozstrzygnięciu. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawy prawne: ustawa z 11 września 2003 roku (DzU 2010 nr 90 poz. 593 z późn. zm.) – art. 9 ust. 2; wyrok Naczelnego Sądu Administracyjnego w Warszawie z 1 września 2016 roku (sygn. akt I OSK 632/15).

UDZIAŁ W FILMIE

Dowódca postanowił nakręcić film pokazujący naszą jednostkę wojskową. Będzie on udostępniony na jej stronie internetowej. Kilku żołnierzy ma powiedzieć, czym się zajmuje. Zaznaczam, że nie są oni osobami funkcyjnymi jednostki (dowódca, oficer prasowy). Czy żołnierz zawodowy może odmówić udziału w filmie pokazowym kręconym na terenie jednostki wojskowej?

➔ Prawa i obowiązki żołnierza zawodowego określają ustawa o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych, delegacje ustawowe w formie rozporządzeń, decyzje MON oraz regulaminy.

W żadnym z obowiązujących w tej dziedzinie aktów prawnych nie ma przepisów, które wprowadzałyby obowiązek uczestnictwa żołnierza w realizacji filmu pokazowego do celów propagowania jednostki wojskowej, jej charakteru lub też o innym dopuszczalnym ustawowo celu.

Przypomnieć przy tym należy, że aktem o najwyższej randze jest „Konstytucja RP”, która w art. 47 mówi, że każdy ma prawo do ochrony prawnej życia prywatnego, rodzinnego, czci i dobrego imienia oraz do decydowania o swoim życiu osobistym. Przepis art. 51 ust. 1 „Konstytucji” stanowi, że nikt nie może być obowiązany inaczej niż na podstawie ustawy do ujawniania informacji dotyczących jego osoby. Przywołanie tych dwóch zasad konstytucyjnych ma znaczenie w kontekście przepisu art. 105 ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych (...), który gwarantuje żołnierzowi zawodowemu korzystanie z praw obywatelskich w zakresie udziału w życiu publicznym, z zastrzeżeniem wyjątków przewidzianych w ustawach.

To do decyzji żołnierza należy zatem, czy wyrazi zgodę na upublicznienie swojego wizerunku, a jej braku nie można utożsamiać z naruszeniem dyscypliny służbowej. Art. 3 pkt 1 ustawy o dyscyplinie wojskowej definiuje poję-

cie dyscypliny służbowej jako przestrzeganie przez żołnierza przepisów prawa dotyczących służby wojskowej i innych przepisów prawa przewidujących odpowiedzialność dyscyplinarną na zasadach i w trybie określonych w ustawie oraz wykonywanie rozkazów i decyzji wydanych w sprawach służbowych. Nie sposób jest zatem ukarać żołnierza za brak wyrażenia przez niego zgody na udział w filmie pokazowym, ponieważ obowiązek taki nie wynika z żadnego przepisu obowiązującego prawa.

Przypomnieć również należy, że za przepisy prawa w tym wypadku uznać można jedynie przepisy ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych (...) oraz rozporządzenia MON. Wszelkiego rodzaju decyzje, wytyczne czy też porozumienia nie stanowią prawa, jeśli nie mają wprost umocowania ustawowego. Zgodnie z przepisem art. 16 ust. 3 ustawy o dyscyplinie służbowej żołnierz nie popełnia przewinienia dyscyplinarnego, jeżeli nie można przypisać mu winy w czasie popełniania czynu. Dobra osobiste człowieka, w szczególności: zdrowie, wolność, cześć, swoboda sumienia, nazwisko lub pseudonim, wizerunek, tajemnica korespondencji, nietykalność mieszkania, twórczość naukowa, artystyczna, wynalazcza i racjonalizatorska, pozostają pod ochroną prawa cywilnego niezależnie od ochrony przewidzianej w innych przepisach – stanowi o tym wprost art. 23 „Kodeksu cywilnego”. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawy prawne: „Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej” z 2 kwietnia 1997 roku (DzU nr 78 poz. 483) – art. 47, art. 51; ustawa z 11 września 2003 roku (DzU 2010 nr 90 poz. 593 z późn. zm.) – art. 105; ustawa o dyscyplinie wojskowej z 9 października 2009 roku (DzU nr 190 poz. 1474), tekst jednolity z 13 maja 2016 roku (DzU 2016 poz. 772) – art. 3 pkt 1, art. 16 ust. 1 i 3; ustawa z 23 kwietnia 1964 roku „Kodeks cywilny”, tekst jednolity z 17 lutego 2016 roku (DzU 2016 poz. 380) – art. 23.

Porady zamieszczane na łamach „Polski Zbrojnej” mają charakter informacyjno-doradczy i nie stanowią wiążącej interpretacji i wykładni prawa.

/ SPRAWY ŻOŁNIERZY

Jak aplikować do WOT-u?

Powołania do WOT-u będą odbywać się raz w miesiącu, a w wypadku osób, które nie złożyły wojskowej przysięgi – raz na kwartał

Zgodnie z wymogami ustawowymi do terytorialnej służby wojskowej (TSW) może być powołana osoba, która ma polskie obywatelstwo, ukończona 18 lat i pod względem fizycznym i psychicznym jest zdolna do pełnienia czynnej służby wojskowej. Wymogiem jest też niekaralność za przestępstwa umyślne oraz odpowiednie wykształcenie. Osoby, które chcą służyć w korpusie oficerów, muszą mieć wyższe wykształcenie, w podoficerskim – średnie, a w szeregowych – co najmniej podstawowe. Powołanie może być też uzależnione od posiadania przez kandydata kwalifikacji wymaganych do zajmowania stanowiska służbowego.

MON przygotował projekt szczegółowych przepisów dotyczących procedur naboru do piątego rodzaju sił zbrojnych. Z dokumentu wynika, że osoba zainteresowana powołaniem do terytorialnej służby wojskowej musi złożyć wniosek do wojskowej komendy uzupełnień właściwej dla miejsca zamieszkania, dołączyć do niego kopię dowodu osobistego (po okazaniu oryginału), a także odpis (albo po okazaniu oryginału kopię) dokumentu potwierdzającego wykształcenie. Warto dołączyć również inne dokumenty dotyczące uzyskanych kwalifikacji: świadectwa ukończenia kursów, zaświadczenia o prawie wykonywania zawodu, certyfikaty językowe. W związku z zapisem ustawowym o pierwszeństwie w naborze do WOT-u członków organizacji poobronnych oraz absolwentów klas mundu-

rowych warto także dołączyć odpowiednie rekomendacje.

Rekrutacja o charakterze konkursowym będzie polegała na analizie złożonych dokumentów oraz rozmowie kwalifikacyjnej. U wszystkich kandydatów liczyć się będą m.in. wyniki nauczania, poziom kwalifikacji oraz predyspozycje do pełnienia służby. U ochotników, którzy nie pełnili czynnej służby wojskowej i nie złożyli przysięgi – zostanie również sprawdzona wiedza ogólnowojskowa. Ten etap rekrutacji kończyć się będzie wydaniem rekomendacji do powołania do służby. Jeśli kandydat nie ma orzeczonej zdolności do czynnej służby wojskowej, zostanie skierowany do wojskowych: komisji lekarskiej oraz pracowni psychologicznej. Pozostali trafią jedynie do wojskowej pracowni psychologicznej.

Pomyślne przejście etapu medycznego, otworzy przed ochotnikiem drzwi do służby w wojskach obrony terytorialnej. Proponowane przez MON rozwiązania zakładają, że powołanie kandydatów będzie odbywać się raz w miesiącu. To zawsze będzie pierwszy dzień, który w danej jednostce ustalony zostanie jako termin obowiązkowego pełnienia terytorialnej służby wojskowej rotacyjnie. Z kolei osoby, które nie składały przysięgi wojskowej będą musiały stawiać się w jednostce raz na kwartał, w poniedziałek będący dniem roboczym. Z dniem rozpoczęcia pełnienia służby żołnierze dostaną tytuł żołnierza OT. PG/PZ ■

/ WETERANI PYTAJA

STAWIENNICTWO PRZED KOMISJĄ

Uległem wypadkowi na misji w Afganistanie. Z tego powodu do dziś się leczę i czasami przebywam na długotrwałych zwolnieniach lekarskich. Czy mam obowiązek stawić się przed wojskową komisją lekarską w czasie, gdy jestem na zwolnieniu lekarskim?

→ **Każdy żołnierz, który został skierowany do wojskowej komisji lekarskiej, powinien zgłosić się bez względu na to, czy przebywa na zwolnieniu lekarskim.** Niewypełnienie tego obowiązku może się wiązać ze zwolnieniem z zawodowej służby wojskowej. Zgodnie bowiem z art. 111 pkt 4 ustawy z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych (ustawa pragmatyczna) żołnierza zwalnia się z zawodowej służby wojskowej wskutek nieusprawiedliwionego niezgłoszenia się do komisji lekarskiej w określonym terminie i miejscu albo niepoddania się badaniom, do których został zobowiązany przez komisję lekarską.

Zwolnienie lekarskie nie uwalnia od tego obowiązku, gdyż do komisji nie kieruje się żołnierzy zdrowych, lecz takich, których stan zdrowia wymaga zbadania pod kątem przydatności do służby. W orzeczeniach sądów wielokrotnie również podkreślano, że żołnierz korzystający ze zwolnienia lekarskiego jest zwolnio-

ny z zajęć służbowych, ale w ich zakres nie wchodzi obowiązek zgłoszenia się na badanie do wojskowej komisji lekarskiej.

Usprawiedliwieniem nie może być również adnotacja na papierowym lub w elektronicznym zwolnieniu lekarskim o tym, że chory nie może chodzić. Nieistotne jest również to, że żołnierz przebywa na zwolnieniu lekarskim, żeby leczyć schorzenia będące wynikiem wykonywania zadań poza granicami państwa.

Każdy przypadek niezgłoszenia się do wojskowej komisji lekarskiej będzie jednak podlegał indywidualnej ocenie. Jeśli faktycznie wystąpiły przyczyny uniemożliwiające zgłoszenie się do komisji lekarskiej, trzeba ją o tym poinformować przed upływem wyznaczonego terminu lub najpóźniej w dniu wskazanym jako dzień stawienia się na badanie. ■

IZABELA STELMACH

radca prawny Centrum Weterana Działań
poza Granicami Państwa

Podstawy prawne: art. 111 pkt 4 ustawy z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych; wyrok Naczelnego Sądu Administracyjnego z 1 czerwca 2010 roku, sygn. I OSK 1613/09; wyrok Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Warszawie z 17 września 2014 roku, sygn. II SA/Wa 1631/13; wyrok Naczelnego Sądu Administracyjnego z 25 lutego 2016 roku, sygn. I OSK 1580/14.

Drodzy Czytelnicy, jeśli macie pytania dotyczące przepisów prawnych dla weteranów, przysyłajcie je na adres: niezbednik@zbrojni.pl

ARSENAŁ

/ PRZEGLĄD

MARCIN GÓRKA

LEKKIE I SKUTEKZNE

MSBS-y, drony, nowoczesne granatniki przeciwpancerne, karabiny wyborowe i lekkie pojazdy. Takim sprzętem będzie dysponować wojsko obrony terytorialnej.



Żołnierze obrony terytorialnej muszą mieć prosty w obsłudze nowoczesny sprzęt, który można łatwo przetransportować.



W

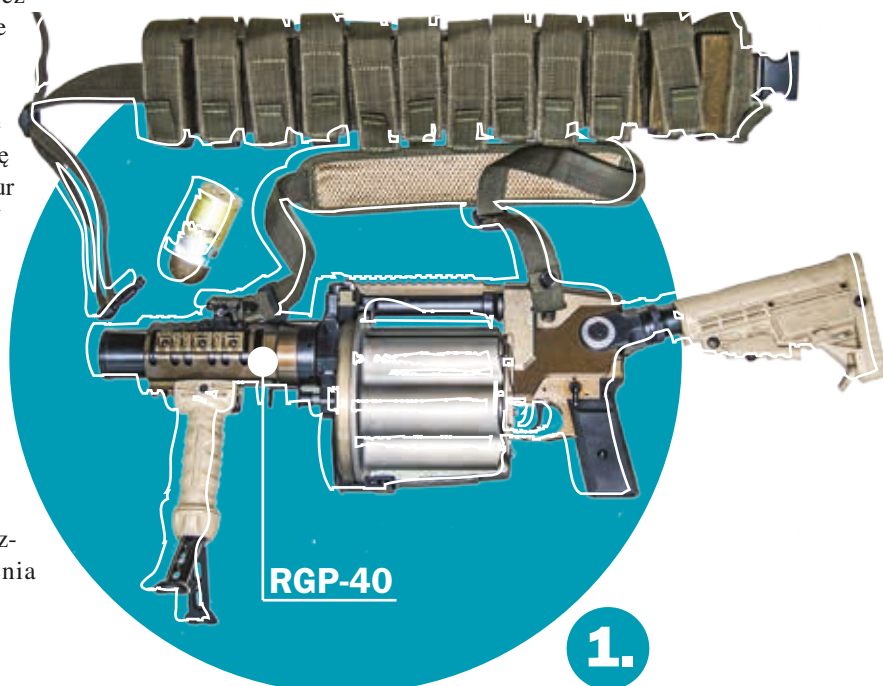
ojska obrony terytorialnej są piątym rodzajem sił zbrojnych. Powstał już szkielet struktury OT – trzy brygady, a w nich cztery bataliony. Rusza też nabór do tej formacji i pod koniec pierwszego kwartału 2017 roku brygady mają stanowić w pełni skomponowane struktury składające się z kadry i pozostałych żołnierzy. Z nich powstaną

dwie grupy: w jednej będą osoby z przeszkoleniem wojskowym, czyli byli żołnierze, a w drugiej te, które muszą je dopiero przejść. Wszyscy znajdą się potem w tzw. wspólnych dwunastkach, czyli sekcjach, stanowiących trzon OT. Ministerstwo Obrony Narodowej chce, by w 2019 roku w nowej formacji służyło ponad 50 tys. żołnierzy wyszkolonych i wyposażonych w nowoczesny sprzęt – prosty w obsłudze i skuteczny, a na dodatek nadający się do szybkiego przerzutu przez lekką piechotę, jaką jest de facto obrona terytorialna. Istotne przy wyborze wyposażenia jest także to, że kadra WOT-u wywodzi się przede wszystkim ze struktur wojsk specjalnych. MON zaś chce, by sprzęt dla tych żołnierzy w większości wyprodukowały polskie firmy zbrojeniowe. Jak zatem będą uzbrojeni terytorialsi?

STRZAŁ W DZIESIĄTKĘ

Już podczas ubiegłorocznego pokazu wyposażenia

WOT-u w podwarszawskiej Zielonce przyszli żołnierze tej formacji zaprezentowali się uzbrojeni w najnowocześniejszą broń produkowaną przez polski przemysł obronny, czyli karabinki MSBS 3 z Fabryki Broni „Łucznik” w Radomiu. Oficerowie WOT-u uważają, że beryl, używany przez wojska operacyjne, a będący wciąż tylko modyfikacją karabinu AK, to dziś broń już przestarzała, której „formuła już się wyczerpała”. Terytorialsi mają mieć dwa jej rodzaje: w wersji kalibru 5,56 mm i z zestawem konwersyjnym, czyli 7,62 mm dla dwóch strzelców wyborowych, którzy będą w każdej dwunastce, tzn. sekcji piechoty OT. MSBS umożliwia montaż wkładek FX/DASH/UTM, służących do konwersji broni do różnego rodzaju amunicji. Może być używany zarówno przez żołnierzy prawo-, jak i leworęcznych. Kolejny plus dla MSBS-ów to system magazynków kompatybilny z tym, którego używają specjaliści, bo wojska specjalne będą współpracować z terytorialsami. Dowództwo OT ma zapewnienie producenta, że w ciągu roku zakończy się badanie i dopuszcze-





nie do eksploatacji MSBS-ów w wersji 7,62 mm (wersja 5,56 mm została już dopuszczona). Dopóki terytorialsi nie dostaną karabinów MSBS, będą używać beryli.

Obrona terytorialna potrzebuje również broni precyzyjnego rażenia, bo w każdej kompanii znajdują się trzy pary snajperów, a w każdej „wspaniałej dwunastce” będzie strzelec wyborowy. I znowu, zgodnie z założeniami MON-u, by sprzęt pochodził z polskich zakładów, niemal na pewno zostaną oni wyposażeni w karabiny produkowane przez Zakłady Mechaniczne Tarnów, należące do Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Skoro zatem strzelcy wyborowi mają używać broni kalibru 7,62 mm, a snajperzy – kalibru 8,6 oraz 12,7 mm, Tarnów dostarczy terytorialsom wielkokalibrowe karabiny wyborowe Tor i Bor 4.

Tor jest przeznaczony do precyzyjnego niszczenia na dystansie 2000 m lub większym takich obiektów, jak specjalistyczny sprzęt techniczny, pojazdy terenowe, samoloty znajdujące się na lotniskach przeciwnika lub stanowiska dowodzenia i łączności czy stacje radiolokacyjne. Może być też używany w działaniach kontrsnajperskich do skutecznego eliminowania strzelców wyborowych przeciwnika. Tor ma samonośną lufę, siedmionabojowy magazynek i można na nim montować różnego rodzaju celowniki. Ten karabin odznacza się małą siłą odrzutu.

Karabin Bor ma uniwersalną szynę montażową do osadzania celownika optycznego i dodatkowy zestaw szyn do mocowania innych urządzeń, np. przystawki noktowizyjnej i różnych akcesoriów. Jest przeznaczony do prowadzenia precyzyjnego ognia na odległość do 1200 m, także do sprzętu wojskowego i lekko opancerzonego. Charakteryzuje go mała siła odrzutu i lekkość. Ma samonośną lufę

i zamek odporny na oddanie strzału „na sucho” – bez łuski w komorze nabojej. Jest produkowany w układzie bezkorbowym.

MOCNE UDERZENIE

Na poziomie sekcji OT mają się też znaleźć dwa ciężkie karabiny maszynowe. Na początku będą to UKM-y, ale dla lekkiej piechoty lepsze byłyby odpowiedniki karabinu Minimi w wersji Para Minimi z krótką lufą i składaną kolbą. Oficerowie WOT-u uważają, że na ich potrzeby karabin UKM jest za ciężki, za duży i podczas dynamicznej pracy 12-osobowego zespołu stwarza problemy taktyczne, np. nie pozwala na strzelanie z marszu, do czego nadaje się np. broń Para Minimi.

„Zastosowanie optoelektroniki na współczesnym polu walki znacząco zwiększa prawdopodobieństwo sukcesu operacji”, mówi Jacek Klimanek, dowódca projektu szkoleniowego „Lekka piechota OT” w stowarzyszeniu ObronaNarodowa.pl. „Uzbrojenie żołnierzy stosunkowo lekko wyposażonych w nowoczesne urządzenia obserwacji i rozpoznania pola walki będzie ich dodatkowym atutem w boju”. Dlatego w każdej 12-osobowej sekcji OT będą monokulary noktowizyjne – po jednym na dwóch żołnierzy. Dla kierowców przygotowano binokulary. Do tego przewidziano sprzęt termowizyjny – po jednym na każdą sekcję i dla każdego snajpera. ➔

Wiadomo już, że dostarczy go PCO, należące do Polskiej Grupy Zbrojeniowej.

Na uwagę zasługuje monokular noktowizyjny MU-3M Koliber. Waży zaledwie 250 g bez baterii i może współpracować z zamontowanym na broni celownikiem kolimatorowym CK-6, tak że powstaje noktowizyjny system celowniczy. Co ważne, można go zamontować na każdym typie hełmu. Jego największą zaletą jest zaś to, że używający go żołnierz w nocy widzi nawet... cienie. Dzięki temu jest w stanie wypatrzyć np. ukrywającego się za węglem przeciwnika.

WIEKSZY KALIBER

Polskie wojsko używa sprzętu, którego konstrukcja pochodzi z lat pięćdziesiątych XX wieku. Nie jest to jednak broń dla terytorialsów, m.in. ze względu na skomplikowaną obsługę, dlatego w każdej kompanii OT znajduje się wprawdzie moździerz 60-milimetrowy, ale powinien być nowocześniejszy. Jacek Klimanek twierdzi, że taki kaliber to standard: „Należy pamiętać o tym, że to lekka piechota, więc wyposażenie powinno być wagowo i gabarytowo przystosowane do szybkiego użycia”. Dowództwo OT uważa, że tego rodzaju sprzęt produkowany w Polsce nie spełnia oczekiwań, więc liczy na poszerzenie oferty o produkt bardziej przyjazny, który łatwiej będzie obsługiwać.

Nieoficjalnie wiadomo, że obiektem marzeń polskich żołnierzy jest czeski Antos. To bardzo lekki sprzęt, w większości wykonany ze stopów aluminium, tytanu i tworzyw sztucznych. Jest odpowiedni dla jednostek powietrznodesantowych czy specjalnych, a zatem również OT, bo ci żołnierze muszą szybko się poruszać i często na własnych plecach przenosić powierzony im sprzęt. Moździerz wyróżnia się krótkim czasem przygotowania do otwarcia ognia, dużą szybkostrzelnością i wysoką celnością. Co ważne, oddanie strzału jest znacznie cichsze niż z używanego przez polskie wojsko sprzętu, powoduje także dużo mniejszy błysk, dzięki czemu nie demaskuje stanowiska ogniowego. Moździerz strzela przy niskim ciśnieniu roboczym, co minimalizuje wpływ podmuchu z wylotu lufy na strzelca. „Antos to

dobra broń, choć nie jest to polska konstrukcja”, potwierdza Jacek Klimanek.

Żołnierze WOT-u zostaną także wyposażeni w sprzęt do prowadzenia walki z opancerzonym przeciwnikiem. Aby lekka piechota w takim starciu była skuteczna, każda „wspaniała dwunastka” będzie miała do dyspozycji ręczne granatniki przeciwpancerne. Tyle że polska armia, z wyjątkiem wojsk specjalnych, ma taki sprzęt radzieckiej konstrukcji – RPG-7. Żołnierze twierdzą, że trudno odmówić mu niezawodności, ale ze skutecznością strzału jest już znacznie gorzej. RPG jest bowiem bardzo wrażliwy na warunki atmosferyczne, szczególnie na wiatr. To granatnik wielokrotnego użytku. Po oddaniu strzału trzeba wziąć poprawkę z pierwszego strzału, załadować ponownie i znów strzelić. Co więcej, taki sam pocisk nie nadaje się do niszczenia np. celów pancernych i murów. Trzeba zatem mieć przy sobie amunicję różnego przeznaczenia.

Tymczasem obrona terytorialna potrzebuje nowoczesnego sprzętu, a Ministerstwo Obrony Narodowej chciałoby, żeby używała polskich produktów. Dowództwo OT czeka więc na propozycję naszego przemysłu obronnego w tej dziedzinie. Zastrzega jednak, że granatnik musi być skuteczny w walce z opancerzonym przeciwnikiem, niezawodny, celny i jednorazowego użytku. Kiedy żołnierz pozbędzie się zużytego granatnika, bez zbędnego balastu będzie mógł szybko zmieniać położenie. Do tego w pakiecie konieczny jest system symulacyjny, aby można było niedrogo szkolić terytorialsów.

Pojawiają się oferty spełniające te oczekiwania. „Polska Grupa Zbrojeniowa rozumie istotę wymagań dotyczących granatnika dla wojsk obrony terytorialnej, w tym kwe-





WIESŁAW KUKUŁA

Jest wiele rzeczy, których inne rodzaje sił zbrojnych mogą się nauczyć od wojsk specjalnych. Jedną z nich jest wybór wyposażenia i uzbrojenia. W WS opiera się on na dogmacie: ludzie są ważniejsi niż sprzęt. Przy takim podejściu jego skuteczność i możliwości przestają być jedynymi wyznacznikami wartości. Liczy się ergonomia obsługi. Dzięki temu osiąga się przewagę na polu walki i łagodzi trud służby. Taki musi być sprzęt nie tylko dla terytorialsów. Jeśli niemal 10% kandydatów na żołnierzy to osoby leworęczne, to jakie cechy ergonomiczne powinien mieć nasz karabinek? W jaki sposób można przekonstruować tak proste urządzenie jak moździerz sześćdziesiątka, by pozostał lekki, a zyskał odpowiednią celność? Żołnierze podobne pytania zadają od wielu lat. Wierzę, że dziś w ich głos wsłucha się również nasz przemysł. Jeśli tak się stanie, to wkrótce polskie produkty obronne zaczną konkurować z najlepszymi na świecie. ■

Gen. bryg. WIESŁAW KUKUŁA jest dowódcą wojsk obrony terytorialnej.

NOWE MUNDURY

Żołnierze obrony terytorialnej będą nosić mundury w nowym kamuflażu wojsk lądowych, który ma zastąpić wzór 93 pantera, wprowadzony do armii ćwierć wieku temu. Nowe umundurowanie opracowało konsorcjum, w którym liderem jest należące do Pol-

skiej Grupy Zbrojeniowej Przedsiębiorstwo Sprzętu Ochronnego Maskpol. Powstały dwa wzory – jeden, który można nazwać wiosenno-letnim, z przewagą zieleni, drugi, przystosowany do działań jesienią i zimą, jest z przewagą brązu. Jeśli chodzi o detale, to

w testowanym jeszcze mundurze rzepy i guziki zostały zastąpione tzw. guzikami kanadyjskimi na tasemce. Każdy żołnierz WOT-u dostanie takie dwa komplety munduru na trzy lub cztery lata oraz torbę transportową (jak w jednostkach specjalnych). ■

stię niewielkiego ciężaru i wymiarów, które mają uczynić go sprzętem łatwym do transportowania, co w przypadku pododdziałów lekkiej piechoty ma znaczenie zasadnicze”, mówi Łukasz Prus z Biura Komunikacji Społecznej PGZ. Należący do Polskiej Grupy Zbrojeniowej Dezamet razem z norweskimi firmami Nammo i SAAB chciałby sprzedać wojskom obrony terytorialnej jednorazowy M72 5 – takich używają np. amerykańscy marines. Ta konstrukcja pochodzi co prawda jeszcze z lat sześćdziesiątych XX wieku i była już używana w czasie wojny w Wietnamie, ale wielokrotnie ją modernizowano. Do tego granatnika można podłączyć celownik i komputer balistyczny, dzięki czemu celność na dystansie od 20 do 350 m jest wręcz gwarantowana, przy temperaturze otoczenia od –40 do +60°C. Kiedy żołnierz ustawia się do strzału, musi tylko sprawdzić, czy wybrał odpowiednią amunicję – żółtym kolorem są oznaczone granatniki burzące, a na czarno przeciwpancerne. „Oprócz wersji bojowych przygotowujemy również тренаżer wirtualny i wersję ćwiczebną granatnika”, mówi Łukasz Prus.

Należące także do PGZ Mesko razem z niemiecką firmą Dynamit Nobel Defence proponuje jednak sprzęt, w którego przypadku nie trzeba dobierać amunicji odpowiednio do celu. W RGW 90 2 ten sam pocisk może

niszczyć zarówno cele opancerzone, jak i bunkry. Odpowiednio nastawiony przełącznik multifunkcyjny powoduje, że pocisk wybucha od razu albo z opóźnieniem, czyli inaczej penetruje cel. Zasięg wynosi od 20 nawet do 500 m, wbija się w mur na głębokość 50 cm. Wiatr nie ma żadnego wpływu na celność, bo pocisk nie ma lotek, charakteryzuje się za to stałą prędkością lotu uzyskiwaną już w tubie. Tego sprzętu można używać w temperaturze od –46 do +71°C. W pakiecie z granatnikami bojowymi producent oferuje także sprzęt ćwiczebny wraz z systemami celowników dzieńno-nocnych oraz komputerowy symulator.

W 12-osobowej sekcji OT będzie też niezbędny rewolwerowy granatnik ręczny. Tu w potrzeby WOT-u wpisuje się sprzęt produkowany już przez Zakłady Mechaniczne w Tarnowie. RGP-40 1 ma inteligentny bęben nabojoyowy z sześcioma komorami o długości 140 mm, co pozwala na użycie szerokiej gamy amunicji, także specjalnej. Ma kolbę z regulacją długości i uniwersalną szynę montażową do mocowania celownika oraz trzy szyny do mocowania dodatkowych akcesoriów. Granatniki te mogą służyć do walki z przeciwnikiem, niszczenia urządzeń technicznych, budynków, także lekko opancerzonych, oraz stawiania zasłon dymnych. ➔

MINISTERSTWO OBRONY NARODOWEJ CHCE, BY SPRZĘT DLA **ŻOŁNIERZY OT** W WIĘKSZOŚCI WYPRODUKOWAŁY POLSKIE FIRMY ZBROJENIOWE

Żołnierze WOT-u zostaną również wyposażeni w przenośne przeciwlotnicze zestawy rakietowe Piorun, czyli zmodernizowaną raketę Grom (więcej na ten temat str. 76–78). Według zawartego z MON-em porozumienia, wchodząca w skład Polskiej Grupy Zbrojeniowej spółka Mesko wyprodukuje i dostarczy Siłom Zbrojnym RP 1300 rakiet oraz 420 mechanizmów startowych.

SIŁA W KOŁACH

Oficerowie z dowództwa wojsk obrony terytorialnej podkreślają, że żołnierze tej formacji potrzebują specjalnego pojazdu. Terytorialiści czekają teraz na ukończenie projektu „Mustang” dla Sił Zbrojnych RP, który ma zastąpić wysłużonego honkera. WOT wpisuje się więc w oczekiwania całych sił zbrojnych. Mustang ma być dla obrony terytorialnej podstawowym pojazdem transportowym, także w warunkach taktycznych. Takie samochody będą potrzebne przede wszystkim do szybkiego przetrzutu pododdziałów do stref działania bądź poruszania się w nich. Jacek Klimanek twierdzi, że powinny to być pojazdy transportowe wysokiej mobilności, pozbawione opancerzenia bądź mające je na takim poziomie, jak w skorpionie 3. Zwraca też uwagę na jeszcze jeden aspekt: „Jeśli chce się brać udział w działaniach nieregularnych lub partyzanckich oraz w operacjach na terenie czasowo utraconym, należy wziąć pod uwagę nie tylko niezawodność sprzętu, lecz także łatwość przeprowadzenia obsługi remontowej”.

Wersja nieopancerzona mustanga, a takiej potrzebują wojska obrony terytorialnej, ma przewozić osiem osób i kierowcę. Taki pojazd ma mieć dopuszczalną masę całkowitą nieprzekraczającą 3500 kg i ładowność nie mniejszą niż 1000 kg, napęd zaś 4x4. Do WOT-u i całych sił zbrojnych prawdopodobnie trafią dwie polskie propozycje. Pojazd produkowany przez spółkę Concept z Bielska-Białej powstaje na podwoziu samochodu Daimler-Benz przystosowanym do specjalnych potrzeb przez firmę Oberaigner. W nieopancerzonej wersji zostanie on wyposażony w silnik wysokoprężny o pojemności 3 l i mocy zapewniającej uzyskanie około 40 kWt. W Polsce będzie wykonane kompletne nadwozie. Concept przygotowuje także wersję opancerzoną. „Pierwszy raz podajemy informację na temat naszej propozycji do programu »Mustang«”, mówi Jarosław Wójcik, członek zarządu i dyrektor handlowy spółki Concept. „Ten pojazd idealnie wpisuje się w wymagania WOT-u i wstępne założenia taktyczno-techniczne określone przez Inspektorat Uzbro-

jenia. W wersji nieopancerzonej zostanie zaprezentowany w lutym 2017 roku, a w opancerzonej na przełomie marca i kwietnia.

Swoją propozycję mustanga przygotowuje także Polska Grupa Zbrojeniowa. „PGZ prowadzi z wojskiem rozmowy na temat pojazdów Mustang, ale w tej fazie nie możemy

ujawnić szczegółów”, informuje Łukasz Prus, z Biura Komunikacji Społecznej PGZ.

Już w czasie pokazów wyposażenia dla wojsk obrony terytorialnej zorganizowanego w Zielonce było widać, jak ważne będą dla nich aparaty bezzałogowe, czyli drony. Żołnierze OT będą używać zarówno tych uderzeniowych, jak i rozpoznawczych. Dowództwo podkreśla, że takie urządzenia sprawdziły się podczas konfliktu na Ukrainie. Drony uderzeniowe docelowo mają być stosowane zamiennie z ręcznymi granatnikami przeciwpancernymi, więc w każdym plutonie znajdzie się jedna sekcja pracująca na dronach i dwie na granatnikach przeciwpancernych.

„Dobrze, że obrona terytorialna będzie używała dronów, ale ostrzegam przed nadmierną fascynacją tym sprzętem. W trudnych warunkach atmosferycznych, np. kiedy jest silny wiatr, lub jeśli dojdzie do nagłego podmuchu powietrza wywołanego przez eksplozję, zdarzają się problemy”, mówi Jacek „Jaco” Pietrzak, były instruktor Jednostki Wojskowej Komandosów z Lublińca. Prowadzi on Szkołę Ognia, gdzie swoje kwalifikacje podnoszą żołnierze wojsk operacyjnych, przyszli terytorialiści i członkowie organizacji proobronnych. „Uważam, że lekka piechota powinna być wyposażona nie w drony, lecz we wszelkiego rodzaju granatniki, i to takie, które umożliwiają walkę zarówno w otwartym terenie, jak i w lesie czy terenie zurbanizowanym. Ten sprzęt musi umożliwiać walkę z przeciwnikiem używającym pojazdów opancerzonych i czołgów”.

Na poziomie każdej brygady będzie również sekcja dronów rozpoznawczych. Dowództwo WOT-u zapowiada, że maszyny bezzałogowe będą służyć nie tylko w walce. Wojska obrony terytorialnej, jako formacja wspomagająca społeczeństwo, będą ich używały w czasie pokoju, np. do poszukiwań zaginionych osób. W ten sposób pomogą policji, a jednocześnie będą się szkolić operatorzy dronów.

Nie ma wątpliwości, że wymagania dowództwa obrony terytorialnej spowodują, że producenci będą zmuszeni rozwijać ofertę, bo WOT mogą się okazać znakomitą partnerem dla zbrojeniówki, nie tylko na etapie kupna sprzętu, lecz także w pracach nad modyfikacją uzbrojenia. „Możemy wyposażyć OT w nasz sprzęt od stóp do głów”, zapowiada Arkadiusz Siwko, prezes PGZ. ■

RAFAŁ CIASTOŃ

Strategiczny wybór

Norwegia stoi dziś przed koniecznością wyboru następcy okrętów podwodnych typu Ula. Resortowe rekomendacje mają zostać przedstawione w najbliższych miesiącach.

Ule należą do niemieckiego typu 210 i trafiły do służby w latach 1989–1992, żeby zastąpić starzejące się kobbeny. Rozgrywka toczy się między francuską stocznia DCNS (Direction des Constructions Navales Services), oferującą okręty typu Scorpene, oraz niemiecką TKMS (ThyssenKrupp Marine Systems).

Przewidywany czas eksploatacji jednostek typu Ula wynosił 30 lat, co oznacza, iż decyzja o pozyskaniu ich następców powinna była zapadnąć mniej więcej w połowie bieżącej dekady. Norwegowie podeszli do sprawy niemal podręcznikowo. W latach 2007–2011 w ministerstwie obrony prowadzono prace mające na celu ocenę zasadności utrzymywania floty podwodnej po roku 2020. O tym, że nie jest to zagadnienie czysto teoretyczne, świadczy przykład innego z krajów nordyckich, tj. Danii, która zdecydowała o rezygnacji z tego rodzaju uzbrojenia w 2004 roku. Na marginesie warto dodać, iż ostatnim z duńskich okrętów podwodnych był KDM „Sølen”, czyli bliźniak polskich kobbenów, Dania bowiem również pozyskała cztery jednostki tej klasy (w tym jedną jako rezerwar części) w latach 1989–1991 i użytkowała je właśnie do 2004 roku.

Ostatecznie w Oslo podjęto decyzję o utrzymaniu zdolności podwodnych, dlatego należało dokonać wyboru, czy przedłużyć okres użytkowania okrętów typu Ula, pozyskać nowe jednostki, czy też zdecydować się na miks jednego i drugiego rozwiązania.

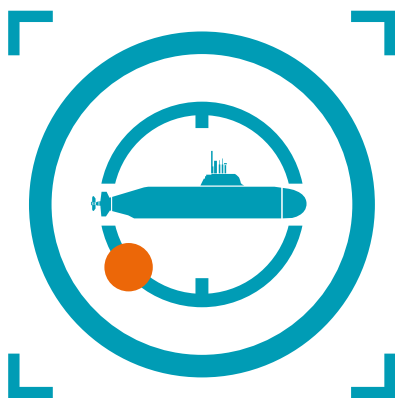
W 2012 roku strona norweska zwróciła się do pięciu potencjalnych dostawców z zapytaniem m.in. o koszt zakupu i eksploatacji produkowanych przez nich okrętów, czas dostawy itp. W tej piątce obok DCNS-u i TKMS-u znalazły się koreańska stocznia Daewoo Shipbuilding

& Marine Engineering, włoska Fincantieri oraz hiszpańska Navantia. Pod koniec 2014 roku norweskie ministerstwo obrony ogłosiło, że termin użytkowania okrętów typu Ula zostanie przedłużony o pięć lat (czyli łącznie do 35), a po tym czasie zostaną one wycofane, gdyż dalsze pozostawienie ich w służbie byłoby zbyt kosztowne. Decyzja ta oznaczała jednocześnie początek procesu pozyskania nowych jednostek. Przy czym Oslo skłaniało się do kooperacji z innym państwem (państwami), co pozwoliłoby na zmniejszenie kosztów zakupu.

CZAS DECYZJI

Niemale nadzieje z norweskim kontraktem wiązali Szwedzi, oferujący A-26 dostosowany do wymogów użytkownika. Jednak w kwietniu 2016 roku Norwegia postawiła na współpracę w ramach NATO, nie zaś Nordycką Współpracę Obronną (Nordic Defence Cooperation – NORDEF), zawężając grono potencjalnych oferentów do wskazanej na wstępie

dwójki. Na słabsze notowania oferty Sztokholmu miał wpływ również fakt, że A-26 nie pływa jeszcze nawet w szwedzkiej flocie, a zatem trzeba brać pod uwagę zwiększenie szacowanych kosztów produkcji i opóźnie-



OKRES EKSPLOATACJI OKRĘTU JEST SZACOWANY NA OKOŁO 30 LAT. O NASTĘPCY NALEŻY POMYŚLEĆ MNIEJ WIĘCEJ W POŁOWIE TEGO CZASU, BOWIEM TYLKO W TEN SPOSÓB MOŻNA ZAPEWNIĆ PŁYNNE PRZEJŚCIE MIĘDZY TYPAMI



nia we wdrożeniu. Wprawdzie stocznia Kockums ma doświadczenie w budowie okrętów podwodnych wcześniejszych klas, nie daje to jednak stuprocentowej gwarancji powodzenia, czego dobrym przykładem jest casus hiszpańskiej Navantii i S-80, których przed problemami nie uchroniła współpraca z DCNS-em.

Uzasadniając prowadzenie dalszego dialogu jedynie z dwoma oferentami, minister obrony Ine Eriksen Søreide mówiła m.in.: „Francja i Niemcy to jedne z największych państw Europy, a współpraca z którymkolwiek z nich w pozyskaniu okrętów podwodnych daje pewność, że Norwegia dostanie okręt, jakiego potrzebuje. Będzie to jednocześnie wkład w zdolności w zakresie smart defence i bardziej efektywną współpracę w dziedzinie pozyskiwania sprzętu wojskowego w ramach NATO”. Dla Norwegii, ze względu na to, że wzdłuż jej wybrzeży wiedzie szlak, który muszą przemierzyć okręty rosyjskiej Floty Północnej zmierzające w kierunku otwartych wód Północnego Atlantyku, pojęcia wiarygodności sojuszniczej i kolektywnej obrony są szczególnie bliskie.

KONKURENCI

Francuskie scorpene są produkowane tylko na eksport (marynarka używa wyłącznie okrętów z napędem nuklearnym). W 2005 roku pierwsza jednostka trafiła do służby w marynarce wojennej Chile, na zakup tej konstrukcji zdecydowały się także Malezja, Indie oraz Brazylia. Francuzi oferują okręt w kilku wersjach, dostosowanych do potrzeb użytkownika, zarówno z klasyczną siłownią diesel-elektryczną, jak i niezależną od powietrza siłownią (AIP) typu MESMA. Przy czym ta ostatnia wersja nie została jeszcze sprzedana żadnemu użytkownikowi, również strona norweska dotychczas nie wyrażała publicznie zainteresowania tym rozwiązaniem. W zależności od wersji okręt ma wyporność od około 1,5 tys. do 2 tys. t, długość zaś od 61 do 75 m. Uzbrojony jest w sześć wyrzutni torpedowych kalibru 533 mm, przystosowanych do odpalania pocisków przeciwookrętowych (i manewrujących).

Oferta TKMS-u nie została dotychczas ujawniona, a ponieważ stocznia może zaproponować więcej typów okrętów, a nie tylko jeden, nie da się jednoznacznie stwierdzić, którego z nich dotyczą rozmowy. Podobnie jak w wypadku rodzimego programu „Orka”, strona niemiecka ma do zaoferowania jednostki projektu zarówno 212A, jak i 214, które dostosuje do potrzeb użytkownika. Na zainteresowanie pierwszym typem wskazują m.in. wcześniejsze rozmowy ze stocznia Fincantieri, włoskim dostawcą okrętów. Cechą wspólną obydwu typów jest wykorzystanie ogniw paliwowych, jednego z trzech głównych rodzajów napędu niezależnego od powietrza. Do najważniejszych różnic z kolei należy zaliczyć: roz-



FORSVARETS MEDIEARKIV (3)

miary – mniejsze jednostki, typu 212A, mają długość 57 m, a typ 214 ma 65 m, wyporność – w zanurzeniu to odpowiednio 1830 i 1860 t, liczbę wyrzutni torpedowych – sześć i osiem, zastosowaną do budowy stal – w typie 212A jest to stal niemagnetyczna, w 214 ferromagnetyczna stal HY-100. Przyjmuje się, że te pierwsze okręty są lepiej przystosowane do operowania w płytkich wodach Bałtyku i strefie przybrzeżnej, drugie zaś to konstrukcja zmierzająca w kierunku okrętu przeznaczonego na wody otwarte, choć jeszcze nie w pełni oceanicznego (projektem takiego jest dopiero typ 216).

RZĄDOWE REKOMENDACJE

Jak już wspomniano, Oslo wyrażało, i wciąż wyraża, chęć współpracy z innymi państwami sojuszu i zainteresowanie wspólnym zakupem okrętów. Wśród potencjalnych partnerów wymieniano dotychczas Holandię, która jeszcze w 2014 roku brała pod uwagę takie rozwiązanie, oraz Polskę. Holandia ma obecnie cztery okręty podwodne typu Walrus, wcielone do służby w latach 1992–1994, które mają zostać zastąpione nowymi jednostkami około 2025 roku. Ramy czasowe są zatem zbieżne z potrzebami Norwegii, kwestią otwartą pozostaje ewentualne określenie typu, który spełniałby wymogi obu przyszłych użytkowników, a także (co nie mniej istotne) spełnienie satysfakcjonujących wszystkie strony warunków ekonomicznych. A ponieważ reko-



KRÓLEWSKA MARYNARKA WOJENNA MA OBECNIE SZEŚĆ OKRĘTÓW TYPU ULA, KTÓRE TRAFIŁY DO SŁUŻBY W LATACH 1989–1992

mendacje norweskiego resortu obrony mają zostać przedstawione na początku tego roku, czasu pozostało niewiele. W kontekście polskim należy odnotować, iż realizacja programu „Orka” została niedawno przesunięta na lata 2024–2026, jednak ze względu na to, że droga do wyboru dostawcy wciąż pozostaje daleka, wspólny zakup wydaje się na tym etapie mocno iluzoryczny. Warto jednak zwrócić uwagę na jeszcze jedno państwo, tj. Niemcy, które po ośmioletniej przerwie wcieliły do służby w ciągu ostatnich dwóch lat kolejne dwa okręty typu 212A i rozważają budowę dwóch następnych. Pamiętając, że zarówno kobbeny, jak i ule to konstrukcje niemieckie, 212 zaś są wyposażone w okrętowe systemy walki Kongsberga, szanse na wspólne pozyskanie tych ostatnich należy oceniać wysoko.

Według grudniowego oświadczenia ministerstwa obrony, Norwegia zakupi cztery okręty. Zostaną one wyprodukowane przez państwo-dostawcę, jednak będą wyposażone również w norweską technologię (w dokumencie wymienia się okrętowy system walki, sonary, sensory

podwodne, a także pojazdy bezzałogowe UUV). Wśród głównych grup kryteriów pozyskania nowych jednostek są wymieniane czynniki militarne, ale też ekonomiczne i przemysłowe. Rekomendacja resortu obrony trafi do rządu, który podejmie ostateczną decyzję i przedstawi ją do zatwierdzenia parlamentowi, a tu nie należy się spodziewać opóźnień w rozpoczęciu realizacji programu. Jednym z czterech priorytetów zatwierdzonego przez Storting w listopadzie 2016 roku długookresowego planu obronnego jest rozwój własnych zdolności obronnych, wśród nich zaś, oprócz wdrożenia F-35, morskich samolotów patrolowych i wzmocnienia obrony powietrznej, jest wymiana pokoleniowa floty podwodnej.

Norwegia podeszła do problemu pozyskania okrętów patrolowych nowego typu w sposób pragmatyczny – począwszy od oceny zasadności utrzymywania tego rodzaju uzbrojenia, poprzez rozważenie przedłużenia cyklu życia posiadanych jednostek, po rozpoznanie rynku i wybór oferentów, co zajęło łącznie dziewięć lat. Podjęcie decyzji zaś zajmie kolejny rok. Dostawy będą realizowane w połowie przyszłej dekady, co pozwoli na planowe wycofanie jednostek typu Ula po 35 latach służby (czyli pomiędzy 2024 a 2027 rokiem). Oznacza to także, że skoro okres eksploatacji okrętu jest szacowany na około 30 lat, to o następcy należy pomyśleć mniej więcej w połowie tego czasu, bowiem tylko w ten sposób można zapewnić płynne przejście między typami. ■

KRZYSZTOF WILEWSKI

Pioruny po gromach

Nowe przenośne zestawy przeciwlotnicze są lepsze od ich poprzedników pod każdym względem – wykrywania celów, ich śledzenia i niszczenia.

Obecnie podstawowym (i jedynym) przenośnym przeciwlotniczym zestawem rakietowym używanym przez polskich żołnierzy we wszystkich rodzajach wojsk są gromy. Mają zasięg około 5 km i mogą niszczyć statki powietrzne lecące na wysokości od 10 do maksymalnie 3,5 tys. m i poruszające się nie szybciej niż 400 m/s. Cały zestaw waży ponad 16 kg, z czego rakietka – około 10 kg (głowica bojowa 1,5 kg).

Używane od prawie dwóch dekad gromy są bardzo cenione przez żołnierzy, i to nie tylko naszych, gdyż jest to jeden z nielicznych polskich zbrojeniowych produktów eksportowych. Dwa lata temu partię tych rakiet kupiła Litwa, a w ubiegłej dekadzie trafiły one do wyposażenia armii gruzińskiej, w której z powodzeniem przeszły chrzest bojowy.

„Podczas konfliktu gruzińsko-osetyńskiego w pierwszej dobie działań wyłączone albo zniszczone zostały wszystkie radiolokatory dużych systemów przeciwlotniczych i gruzińskiej armii zostały właściwie tylko pociski Grom. Sprawdziły się. Dzięki nim wyeliminowano z pola walki wiele wrogich celów powietrznych”, opowiada Mirosław Iwaćkowski z Centrum Rozwojowo-Wdrożeniowego Telesystem-Mesko, współproducenta gromów.

Gruzińskie sukcesy gromów i bardzo dobre notowania u żołnierzy, którzy cenią sobie (oprócz skuteczności) przede wszystkim prostotę ich obsługi, nie zmieniają jednak tego, iż jest to konstrukcja sprzed dwóch dekad, co coraz mocniej odciska piętno na jej możliwościach bojowych. Gdy gromy powstawały, nikt specjalnie nie myślał o bojowym zastosowaniu dronów. Dziś to urządzenia tak powszechne, że ich niszczenie stało się sprawą priorytetową. A z tym gromy, mówiąc

delikatnie, nie radzą sobie najlepiej. Dlaczego? Bo nie są przystosowane do rażenia celów o niskim poziomie promieniowania podczerwonego. Co gorsza, rozwój najnowszych systemów samoobrony dla samolotów i śmigłowców – w tym pojawienie się nowych typów generatorów strug gazowych – sprawił, że również statki powietrzne stały się dla polskiej broni znacznie trudniejszym przeciwnikiem.

Prace badawczo-rozwojowe nad następcami gromów ruszyły już dekadę temu i ukierunkowano je na trzy zasadnicze obszary: modernizację układu celowniczego, zwiększenie skuteczności rażenia pocisku oraz wydłużenie jego zasięgu. Początkowo konsorcjum składające się z firmy Mesko i Centrum Rozwojowo-Wdrożeniowego Telesystem-Mesko oraz Wojskowej Akademii Technicznej prowadziło je za własne środki. Dopiero kiedy podjęte działania nabrały realnych kształtów w postaci pierwszych demonstratorów technologii, włączyło się do nich Ministerstwo Obrony Narodowej i w 2010 roku zleciło – za około 100 mln zł – realizację pracy rozwojowej pod nazwą „Modernizacja przenośnego zestawu

ADAM ROIK / COMBAT CAMERA DORSZ



**ZESTAW
GROM WAŻY
PONAD 16 KG,
Z CZEGO
RAKIETA –
OKOŁO 10 KG**



RAFAŁ MNIEDŁO / 11 LDK Pańc

NA MIĘDZYNARODOWYCH
TARGACH KIELECKICH
w 2016 roku przenośny
przeciwlotniczy zestaw
rakietowy (PPZR) Piorun
otrzymał Nagrodę Prezydenta
Rzeczypospolitej Polskiej dla
produktu najlepiej służącego
podniesieniu poziomu
bezpieczeństwa żołnierzy
Sił Zbrojnych RP.



ROBERT SIEMASZKO
/ CO MON

przeciwlotniczego Grom kryptonim Piorun". Termin wykonania kontraktu ustalono na koniec października 2014 roku.

WYMOGI POLSKIEJ ARMII

W taktyczno-technicznych wymaganiach dla gromów-M (bo taki kryptonim otrzymały początkowo nowe pociski), przygotowanych przez Departament Polityki Zbrojeniowej, który był sygnatariuszem wspomnianej umowy, zaznaczono, że ulepszone rakiety mają mieć

zwiększoną (w stosunku do poprzedników) odporność na zakłócenia naturalne i sztuczne; większą skuteczność niszczenia celu o niewielkich wymiarach; większy zasięg rażenia i wykrycia celów małych, o niskiej sygnaturze termicznej; możliwość pracy (działania) w dzień i w nocy, nawet w trudnych warunkach atmosferycznych, a także możliwość swobodnego podłączenia nie tylko do zautomatyzowanych systemów dowodzenia i kierowania ogniem, lecz także, gdyby zaszła taka →

GROMY NA RAZIE SĄ W POLSKIM WOJSKU JEDYNYM PRZENOŚNYM PRZECIWLOTNICZYM ZESTAWEM RAKIETO- WYM



RAFAL MNIEDŁO / 11 LD K P a n c

potrzeba, do dodatkowych systemów rozpoznawczych i optoelektronicznych (np. sojusznicy).

Co to oznaczało dla rodzimych inżynierów? Musieli oni podjąć się opracowania, oprócz zupełnie nowych układów optycznych dla celownika (który miał być i dzienny, i nocny), również nowej głowicy samonaprowadzającej (nie tylko z zapalnikiem zbliżeniowym, lecz także wyposażonej w dostosowany do specyfiki jej działania materiał wybuchowy), silnika marszowego, bloku sterów rakiety i naziemnego układu zasilania.

Efekt prac badawczo-rozwojowych, czyli pocisk Piorun, po raz pierwszy zaprezentowano publicznie jesienią 2014 roku na targach zbrojeniowych w Kielcach. Od tego momentu broń przechodziła najpierw zakładowe, a później wojskowe testy i badania. Gdy zakończyły się one pomyślnie, na początku 2016 roku, rozpoczęły się negocjacje w sprawie zakupu pocisków. Sfinalizowano je 20 grudnia podpisaniem wartego prawie miliard złotych kontraktu.

EWOLUCJA, NIE REWOLUCJA

Zasięg piorunów wynosi około 6,5 km (poziomo), a maksymalna wysokość celu – 4 km. Waldemar Skowron, prezes firmy Mesko, podkreśla, że zestawy Piorun (których gabaryty są podobne jak w przypadku gromów, czyli waga zestawu startowego wynosi około 16 kg) wyposażono w zdecydowanie bardziej efektywne systemy wykrywania statków powietrznych niż te, które były w ich poprzednikach.

„W piorunie nadlatujący cel widać o wiele wcześniej niż w gromie. Bardzo istotne jest, żeby żołnierz mógł się do tego zagrożenia odpowiednio przygotować”, podkreśla Skowron i dodaje, że w zależności od rodzaju wykrytego obiektu – samolot, śmigłowiec czy dron – operator może manualnie wprowadzić jego sygnaturę. „Gdy żołnierz naciska przycisk »śmigłowiec«, rakieta ustawia się pod taki cel. Zmienione są m.in. sygnatura cieplna, prędkość poruszania się obiektu, lot w zawisie”, opisuje. Prezes zakładów Mesko podkreśla też, że w gromach te wszystkie dane były uśrednione. Z nieoficjalnych informacji wynika (producent nie ujawnia konkretnych danych), że pioruny mogą mieć zaprogramowanych nawet kilkanaście różnych sygnatur celów.

Pioruny zostały wyposażone w nową głowicę bojową, która ma nie tylko nowy typ materiału wybuchowego,

lecz także – co najważniejsze – w odróżnieniu od swojego poprzednika zapalnik zarówno umożliwiający zaprogramowanie czasu wybuchu, jak i działający zbliżeniowo. Czym to skutkuje? Tym, że te rakiety doskonale nadają się do niszczenia bezzałogowców (które mają niewielką sygnaturę termiczną, co powoduje, że trudno je zlokalizować pociskom przeciwlotniczym starszej generacji), ponadto znacznie lepiej poradzą sobie z najnowszymi systemami obronnymi i zakłócającymi, stosowanymi w samolotach i śmigłowcach, a także

w wysokiej klasy dronach. Nie bez znaczenia jest też to, że głowica zbliżeniowa sprawia, iż rakieta nie musi bezpośrednio trafić w cel, aby go zniszczyć.

NIE NA EKSPORT

Niestety, zarówno MON, jak i producent broni, nie podają tak kluczowych z punktu widzenia skuteczności pocisków Piorun danych konstrukcyjnych, jak ich maksymalna prędkość. Ale nie należy się dziwić, gdyż pewnych parametrów broni zdecydowanie nie powinno się ujawniać nawet (na dziś) sojusznikom.

Co bardzo ciekawe, szef firmy produkującej pioruny podkreśla, że tej broni na razie nie należy sprzedawać za granicę. „Naturalnie, że teraz jest bardzo duże zainteresowanie piorunem, ale Polska nie powinna się od razu pozbywać najnowszych technologii. Tak robi cały świat. Sprzedajemy starszą technologię, a najnowszą trzymamy dla siebie”, wyjaśnia Waldemar Skowron. Dodaje też, że furka dla eksportu powinna zostać otwarta dopiero za jakiś czas. „Gdy po kilku latach zrobimy kolejny program raketowy, to wówczas możemy sprzedawać pioruny”.

Będą one trafiały do polskiej armii w transzach. W 2017 roku do jednostek zostanie przekazanych 150 rakiet, w przyszłym roku 250, po 300 sztuk w latach 2019, 2020 i 2021. Jak zapowiedział minister obrony narodowej Antoni Macierewicz, w pioruny zostaną uzbrojeni żołnierze nie tylko z jednostek operacyjnych, lecz także wojsk obrony terytorialnej. Prezes Polskiej Grupy Zbrojeniowej, której częścią jest firma Mesko, Arkadiusz Siwko jest przekonany, że to broń idealnie nadająca się dla tego typu formacji: „Jest prosta w obsłudze, więc nie potrzeba wiele czasu na wyszkolenie jej operatora. A jest to jedna z najnowocześniejszych tego typu broni na świecie”.



TADEUSZ WRÓBEL

Następca sto trzynastki

Ciężkie jednostki armii amerykańskiej dostaną nowe pojazdy opancerzone, które zastąpią leciwe transportery M113.

Z linii produkcyjnej zakładów BAE Systems w mieście York w stanie Pensylwania zjechał 16 grudnia 2016 roku pierwszy gąsienicowy opancerzony pojazd wielozadaniowy (Armored Multi-Purpose Vehicle – AMPV). Wozy te zastąpią w pancernych brygadowych zespołach bojowych (armored brigade combat team – ABCT) pojazdy specjalistyczne zbudowane na platformie gąsienicowego transportera opancerzonego M113, którego debiut bojowy miał miejsce podczas wojny wietnamskiej.

SZANSA NA SUKCES

Armia Stanów Zjednoczonych wybrała ofertę firmy BAE Systems Land and Armaments L.P., której partnerami w programie AMPV są Air Methods, DRS Technologies, Northrop Grumman i Red River Army Depot. Podpisana 23 grudnia 2014 roku umowa o wartości 383 mln

dolarów przewiduje, że fazy: badawczo-rozwojowa, testów i uruchomienia produkcji wstępnej zamkną się w 52 miesiącach. Na początek postanowiono, że zostanie wyprodukowanych 29 pojazdów na potrzeby testów.

W końcu 2014 roku podpisano też umowę na pierwszą partię produkcyjną, liczącą 289 sztuk AMPV, które będą kosztować 1,2 mld dolarów. Ich wytwarzanie rozpocznie się w 2020 roku. Dotychczas swoje potrzeby US Army oszacowała na 2907 wozów za ponad 10,2 mld dolarów. Ta liczba wystarczy, by zastąpić 2897 pojazdów z rodziny M113 – 2639 w brygadach pancernych oraz 258 w szkolnictwie (Training and Doctrine Command – TRADOC) i używanych do badań. Jednak oprócz nich w armii są jeszcze 1922 pojazdy na szczeblach dywizji i korpusu oraz w brygadach wsparcia, np. inżynieryjnych. Wojskowi podkreślają, że gdyby zastąpiono je przez AMPV, to musiałyby to być inne wersje niż te w brygadach →



bojowych. Tak więc potencjalne zapotrzebowanie armii amerykańskiej na nowe pancerne pojazdy gaśnicowe wynosi około 5 tys. egzemplarzy.

Okres badawczo-rozwojowy projektu AMPV był więc niezwykle krótki, bo trwał zaledwie 24 miesiące. Założeniem było stworzenie na jednej platformie całej rodziny pojazdów specjalistycznych, które będą zdolne skutecznie działać wraz z czołgami M1 Abrams i bojowymi wozami piechoty M2/M3 Bradley. W porównaniu z M113 AMPV odznacza się większą mobilnością, a także odpornością balistyczną i przeciwminową. Wpływ na powstanie tej konstrukcji miały doświadczenia z użycia sprzętu pancernego w ostatnich konfliktach zbrojnych oraz analizy dotyczące potrzeb na przyszłym polu walki.

Istnieje duży poziom unifikacji pomiędzy AMPV a bradylem, ponieważ nowy wóz powstał na bazie zmodyfikowanego kadłuba amerykańskiego bewupa. Po to, żeby obniżyć koszty, na AMPV zostanie przebudowanych około 2 tys. starszej wersji wozów M2. Nowy pojazd wielozadaniowy ma również wiele wspólnego z samobieżną haubicą M109A7 Paladin. Z jednej strony zostaną więc obniżo-

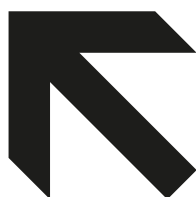
ne koszty produkcji, a z drugiej – eksploatacji. Uprości się też logistyka, bo mniejsza będzie m.in. różnorodność części zamiennych. Innym sposobem ograniczenia kosztów jest wykorzystanie w pojeździe podzespołów i układów dostępnych na rynku cywilnym.

US Army oczekuje, że powstaną pięć wersji AMPV o masie 34–36 t, czyli wozy: ewakuacji medycznej (790 sztuk), pomocy medycznej (216), dowodzenia (993), samobieżny moździerz kalibru 120 mm (386) i wóz wielozadaniowy (216).

W pojeździe ewakuacji medycznej z trzyosobową załogą zmieści się czterech rannych na noszach albo dwóch na noszach i trzech siedzących lub też sześciu siedzących. W razie potrzeby do ewakuacji rannych będzie można też przystosować wersję wielozadaniową, w której przewidziano miejsce dla dwuosobowej załogi i sześciu żołnierzy. W wozie pomocy medycznej będzie czteroosobowa załoga i miejsce dla jednego pacjenta na noszach. Pojazd będzie mógł pełnić funkcję m.in. wysuniętego punktu medycznego. W samobieżnym moździerzu zmieści się dwuosobowa załoga i dwóch żołnierzy obsługujących 120-milimetrowy



BAE SYSTEMS



US ARMY OCZEKUJE, że powstanie pięć wersji AMPV o masie 34–36 t, czyli wozy: ewakuacji medycznej (790 sztuk), pomocy medycznej (216), dowodzenia (993), samobieżny moździerz kalibru 120 mm (386) i wóz wielozadaniowy (216).

WERSJE M113, KTÓRE MAJĄ BYĆ ZASTĄPIONE PRZEZ AMPV

Wersja	ABCT	TRADOC, badania	Razem
M-1068A3	899	92	991
M-113A3 ME	736	52	788
M-113A3 GP	462	58	520
M-1064	348	36	384
M-577	194	20	214
Razem	2639	258	2897

(dane z 2013 roku)

moździerz, do którego będzie 69 naboju. W wozie dowodzenia przewidziano miejsce dla dwóch członków załogi i tyłu samo operatorów systemów. Oprócz wersji medycznych wszystkie inne AMPV będą uzbrojone. Pierwsze mają mieć otwartą, opancerzoną wieżyczkę z wielkokalibrowym karabinem maszynowym M2 kalibru 12,7 mm. W przyszłości są możliwe inne rozwiązania, w tym zdalnie sterowane moduły uzbrojenia.

Wykorzystanie kadłuba bradleya spowodowało, że AMPV jest znacznie większy niż transporter M113, co oznacza więcej przestrzeni w jego wnętrzu, a to z kolei przekłada się na komfort pracy załóg. Dodatkowo niektóre wersje AMPV będą miały podniesioną tylną część kadłuba. W medycznym AMPV będzie więc o 78% więcej przestrzeni niż w używanym obecnie do tych zadań M-577. Nowy pojazd zapewni wyższy poziom bezpieczeństwa znajdującym w jego wnętrzu żołnierzom niż sto trzynastka. Opancerzenie AMPV ma się składać z pancerza z walcowanego aluminium, na który będzie nałożony pancerz aktywny, chroniący przed pociskami z głowicami kumulacyjnymi. Wnętrze kabiny zostanie zabezpieczone tkaniną przeciwodłamkową. Przewidziano też siedzenia pochłaniające energię wybuchu. AMPV ma mieć taki sam poziom ochrony balistycznej i przeciwminowej jak wersja M2A3 Bradley.

Pierwsze AMPV czekają półroczne testy fabryczne, a później – próby państwowe. Jeśli ich wyniki będą pozytywne, rozpocznie się produkcja. Obecne plany przewidują, że rocznie będzie budowanych 160 wozów. Taka liczba wystarczy do przebrojenia półtorę brygady pancernej. Etat ABCT przewidywał w 2013 roku 114 takich pojazdów – 41 wo-

zów dowodzenia M-1068A3, 31 wozów ewakuacji medycznej M113A3 ME, 19 wielofunkcyjnych M113A3 GP, 15 samobieżnych moździerzy M-1064 i osiem pomocy medycznej M-577, co stanowić będzie 32% sprzętu pancernego tych pododdziałów. W US Army jest dziesięć pancernych brygadowych zespołów bojowych, a następnych pięć – w Gwardii Narodowej. Wstępną gotowość pierwsze z nich wyposażone w AMPV mają osiągnąć w 2022 roku.

WIECZNE ŻYWY

Transporter M113 jest w siłach zbrojnych od ponad półwiecza. Pojazd został skonstruowany w drugiej połowie lat pięćdziesiątych XX wieku z myślą o pododdziałach piechoty w jednostkach pancernych i zmechanizowanych. Jego produkcja rozpoczęła się w 1960 roku. Chrzest bojowy M113 przeszedł podczas wojny w Wietnamie. Jako transporter piechoty w jednostkach ciężkich US Army został zastąpiony w latach osiemdziesiątych przez bojowe wozy piechoty Bradley. Jednak w służbie zachowano opracowane na platformie sto trzynastki pojazdy specjalistyczne, takie jak samobieżny moździerz czy wozy dowodzenia. Warto mieć na uwadze, że podobnie jak inne pojazdy pancerne, wozy z rodziny M113 przeszły wielokrotne modernizacje.

M113 jest najpopularniejszym gąsienicowym pojazdem opancerzonym na świecie. Dotychczas wyprodukowano około 80 tys. wozów w różnych wersjach. Oprócz USA są one nadal używane przez siły zbrojne 50 państw, w tym Wojsko Polskie. Niewykluczone, że w przyszłości część z użytkowników M113 zainteresuje się jego następcą. ■

KRZYSZTOF WILEWSKI

Czołg przyszłości

Wojskowi eksperci spierają się, czy po prawie 40 latach dominacji maszyn III generacji już wkrótce wejdzie do służby pierwszy czołg IV generacji.

Obiektem sporu jest zaprezentowany publicznie po raz pierwszy 9 maja 2015 roku, podczas moskiewskiej defilady z okazji zwycięstwa nad hitlerowskimi Niemcami, najnowszy rosyjski tank T-14 Armata. Wśród specjalistów najczęściej wątpliwości budzi fakt, że maszyna nie trafiła jeszcze do seryjnej produkcji, a prototypy mają to do siebie – oprócz tego, że towarzyszą im niedomówienia i niejasności – że mogą nigdy do niej nie wejść. Istotne są również dywagacje na temat, czy aby na pewno jest to konstrukcja przełomowa na tyle, że zasłużyła na miano pierwszego wozu nowej generacji.

Do zakończenia II wojny światowej klasyfikacja używanych przez wojska na całym świecie czołgów była dość prosta. Te do 20 t określano jako lekkie (np. polski 7TP czy radziecki T-26), od 20 do 45 t – jako średnie (amerykański wóz Sherman czy niemiecki Panthera), a wszystkie ważące więcej niż 45 t nazywano ciężkimi (radziecki IS-2 czy niemiecki Tiger).

Po 1945 roku, wraz z dynamicznym rozwojem broni pancerniej, sytuacja zaczęła się komplikować, gdyż właściwie przestano produkować czołgi lekkie, a konstrukcje średnie gremialnie zbliżały się do granicy 45 t, oddzielającej je od klasy ciężkich. Definitywny bałagan trwał przez dobrych kilka lat. Porządek zaprowadzono dopiero wtedy, gdy na początku lat pięćdziesiątych XX wieku światowe mocarstwa – Związek Radziecki oraz Stany Zjednoczone – rozpoczęły wyścig zbrojeń, w tym także pancerny. Wówczas na deskach kreślarskich pojawiły się na tyle przełomowe projekty nowych czołgów, że postanowiono wprowadzić



WITALIJ W. KUŻMIN,
PK/DZIAŁ GRAFICZNY

odpowiednią dla nich klasyfikację. Konstrukcje powstałe zaraz po wojnie nazwano czołgami I generacji, a te dopiero co opracowywane – II generacji.

Czy klasyfikacja, w której na miano czołgu nowej generacji zasługuje maszyna nie tylko lepsza od poprzednika, lecz także stworzona od podstaw jako nowy produkt, daje pole do nadużyć i nadinterpretacji? Oczywiście, że tak. W niektórych przypadkach do dziś eksperci się spierają, czy dany czołg był na tyle rewolucyjny (względem dotychczas stosowanych rozwiązań), że można go zakwalifikować do kolejnej generacji. Dobrym tego przykładem jest rodzimy PT-91 Twardy. W zasadzie była to głęboka modernizacja T-72, jednak gdyby został zaprojektowany od A do Z przez polskich inżynierów, to zamiast być konstrukcją pomiędzy generacjami II i III, dostałby miano czołgu III generacji. Są także przykłady,

które nie budzą wątpliwości, chociażby radziecki T-62, uznany za pierwszą na świecie konstrukcję II generacji.

Co wyróżniało T-62 na tle poprzedników? Otóż gładkolufowa 115-milimetrowa armata. T-62 był pierwszym na świecie czołgiem wyposaż-

żonym w niegwintowane działo, stabilizowane w dwóch płaszczyznach (czego nie miał żaden wóz wcześniej), co umożliwiała strzelanie zupełnie nowym typem amunicji – pociskami podkalibrowymi stabilizowanymi brzechwowo z odrzucanym sabotem – APFSDS. Ta amunicja przebijała pancerze wszystkich ówczesnych (koniec lat pięćdziesiątych XX wieku) amerykańskich czołgów.

W KIERUNKU IV GENERACJI

Obecnie czołowe armie na świecie są wyposażone w czołgi III generacji: Leopard 2 (niemiecki), Abrams M1 (amerykański), Merkava (izraelski), Challenger II (brytyjski), T-90 (rosyjski), Typ-99 (chiński). I choć w zasadzie trudno uznać wymienione maszyny za przestarzałe, gdyż dzięki regularnym modernizacjom są naspikowane nowoczesnymi rozwiązaniami (głównie optoelektronicznymi i elektronicznymi), to jednak nie można nie zauważyć, że bazują na pomysłach z lat osiemdziesiątych. Słaba ochrona załogi przed wybuchem zapasów amunicji, armata kalibru 120 lub 125 mm, wywodząca się z rozwiązań z lat siedemdziesiątych, pancerze o maksymalnej ochronie 900–1000 RHA (czołowe), →



**T-14 ARMATA
NA PIERWSZY RZUT OKA MA TO
WSZYSTKO, CZYM POWINIEN
SIĘ CHARAKTERYZOWAĆ CZOŁG
IV GENERACJI**



URALWAGONZAWOD

ograniczona zdolność ochrony przed atakami z góry i zespoły napędowe umożliwiające poruszanie się jedynie z prędkością około 60–70 km/h – to tylko część spośród wskazywanych przez ekspertów słabych stron maszyn III generacji. Żeby mogły być zaliczone do IV generacji, w tych konstrukcjach trzeba wprowadzić zmiany.

Ktoś powie, że wymienione słabości nie powinny być trudne do skorygowania przez inżynierów, a wzięwszy pod uwagę potencjał, jakim dysponuje przemysł zbrojeniowy, szczególnie amerykański i zachodnioeuropejski, już dawno powinniśmy mieć natowski czołg przyszłości. To prawda. Do niedawna brakowało jednak jednej, drobnej kwestii – takiej potrzeby. Otóż bardzo długo szefostwo amerykańskiej armii nie widziało konieczności opracowania czołgu mającego zastąpić w linii Abramsy. Co więcej, był taki moment po I wojnie w rejonie Zatoki Perskiej, kiedy okazało się, że załogi transporterów opancerzonych mają na koncie więcej zniszczonych czołgów Saddama niż paliwożerne kolosy M1A2. Wówczas pojawiły się głosy, aby w ogóle zlikwidować jednostki pancerne (na rzecz zmechanizowanych). Podobnie było w Niemczech i we Francji. Każde z tych państw bardzo długo było zadowolone z pakietów modernizacyjnych opracowanych dla leopardów i leclerców, a brak zagrożenia dla pokoju w Europie tylko utwierdzało w nieuruchamianiu kosztownych programów zbrojeniowych. A takim, niestety, byłoby opracowanie nowego czołgu podstawowego.

Co więc się zmieniło, że Niemcy i Francja postanowiły jednak połączyć dwie swoje największe spółki pancerne: KMW (Krauss – Maffei Wegmann) i Nexter – w jedną firmę i opracować czołg IV generacji? Na marginesie – temu projektowi uważnie przyglądają się Amerykanie, którzy wahają się, czy wzorem Abramsa iść własną drogą, czy może nie powtórzyć próby z niemiecko-amerykańskim czołgiem MBT-70 i dołączyć do projektu KMW i Nextera. Odpowiedź na pytanie, co skłoniło Niemców i Francuzów do prac nad konstrukcją IV generacji, brzmi: T-14. A dokładniej T-14 Armata, czyli prototypowy rosyjski czołg.

Prace Rosjan nad nim nie były dla nikogo tajemnicą od jakichś 15 lat. Dopóki jednak badania nie wychodziły poza fazę demonstratorów technologii, nikt na Zachodzie, oprócz entuzjastów militariów, nie robił z tego sprawy priorytetowej. Sytuacja zmieniła się, kiedy nasz wschodni sąsiad zaczął „rozpychać się łokciami w rejonie”. Nagle jego pancerne plany wzbudziły niepokój. O tym, że

PO LATACH ZASTOJU W PANCERNYM WYŚCIGU ZBROJEŃ COŚ ZATEM ZDECYDOWANIE „DRGNĘŁO”. CZY JEDNAK NA TYLE, ŻEBYŚMY MÓWILI O PRZEŁOMIE?

Moskwa przeszła już od demonstratora technologii do prototypu, można było się przekonać dwa lata temu podczas defilady z okazji 70. rocznicy pokonania III Rzeszy. Owszem, czołg zepsuł się w trakcie próby generalnej, ale usterki „okresu dziecięcego” to rzecz normalna. A twierdzenia niektórych analityków, że wóz był makietą, dowodzą jedynie ich skrajnej naiwności.

T-14 Armata na pierwszy rzut oka ma w sobie to wszystko, czym powinien się charakteryzować czołg IV generacji. Bezzałogową wieżę, która znacząco zwiększa bezpieczeństwo załogi w razie trafienia wrogim pociskiem i nową armatę kalibru 125 mm typu 2A82-1M. Według Olega Sienki, dyrektora generalnego zakładów produkujących T-14, czyli firmy Uralwagonzawod, siłą ognia przewyższa on wszystkie natowskie konstrukcje kalibru 120 mm. Poza tym załoga rosyjskiego czołgu jest zabezpieczona przed skutkami niekontrolowanego wybuchu amunicji (fachowo nazywa się to izolowaniem amunicji), a także przed wrogimi pociskami – system ochrony aktywnej Afganit jest wyposażony nie tylko w głowicę optoelektroniczną do obserwacji okrojonej, lecz także w działający w paśmie Ka radar AESA (wprost z samolotów PAK-FA). Afganit ma niszczyć wrogie pociski i rakiety przeciwpancerne swoimi antyrakietami. Ważący około 50 t czołg jest napędzany nowym silnikiem – Diesel ChTZ 12H360 (A-85-3A) o mocy 1500 KM.

PROBLEM Z KLASYFIKACJĄ

Czy więc po prawie 40 latach dominacji maszyn III generacji doczekaliśmy się wreszcie czołgu IV generacji? Eksperci mają poważne wątpliwości. Przede wszystkim zastrzeżenia budzi fakt, że ciągle jest to prototyp, a nie produkt seryjny, który już trafił w ręce najlepszego testera – jego końcowego użytkownika, czyli zwykłego żołnierza. Kolejną sprawą jest czołgowe działo. Nie są dostępne żadne dowody potwierdzające jego rewolucyjność względem zachodnich odpowiedników. Słychać więc głosy, że dorównuje ono jedynie armatom z leopardów czy Abramsów. A to istotny argument przeciwko zaliczeniu go do IV generacji. Podobnie ma się sprawa z pancerzem T-14. Jeżeli jest tak dobry, jak głosi moskiewska propaganda, to drżycie narody. Ale sporo jest głosów wskazujących na problemy techniczne tego rozwiązania, które przekładają się na opóźnienia we wdrożeniu T-14 do służby. Po latach zastojów w pancernym wyścigu zbrojeń coś zatem zdecydowanie „drgnęło”. Czy jednak na tyle, żebyśmy mówili o przełomie? ■

BRAZYLIA

Guarani z modułami

Ares Aeroespacial e Defesa, brazylijska spółka izraelskiej firmy Elbit Systems, pod koniec 2016 roku podpisała wieloletnią umowę ramową o wartości 328 mln reali, czyli około 102 mln dolarów, na dostawę zdalnie sterowanych modułów uzbrojenia Remax dla wojsk lądowych Brazylii. Jednocześnie Ares dostała zamówienie na 215 modułów uzbrojonych w karabin maszynowy kalibru 7,62 mm

102 MLN DOLARÓW

lub 12,7 mm za kwotę około 249 mln reali, czyli 77,5 mln dolarów. Brazylijska armia zdecydowała się na zakup remaksów, gdy podpisała długą oczekiwaną wieloletnią umowę na dostawę kołowych pojazdów pancernych VBTP-MR Guarani, która dotyczy 1580 wozów za około 5,93 mld reali, czyli prawie 1,84 mld dolarów. WT ■

ARES AEROSPECIAL E DEFESA

INDIE

Kość niezgody

Rozpoczęto program budowy 12 nowoczesnych niszczycieli min dla marynarki wojennej, którego koszt szacuje się na około 5 mld dolarów.



GOA SHIPYARD LIM.

Przed rokiem indyjski resort obrony zgodził się, żeby partnerem kontrolowanej przez państwo stoczni Goa Shipyard Limited (na zdjęciu) była południowokoreańska firma Kangnam Corporation, która będzie odpowiedzialna za projekt okrętu. Na początku stycznia 2017 roku pojawiła się jednak informacja,

że są poważne problemy w negocjacjach kontraktu z Koreańczykami. Przedstawiciel indyjskiego resortu obrony stwierdził, że nie udało się uzgodnić szczegółów dotyczących transferu technologii, co powinno nastąpić przed podpisaniem umowy. Podobno Indie chcą uzyskać pełnię praw intelektualnych do projektu nowych okrętów przeciwminowych i to jest kością niezgody między partnerami. Marynarka wojenna celowo potrzebuje 24 jednostek, gdyby więc Hindusi mieli pełnię praw, nie musieliby ponosić żadnych opłat na rzecz Kangnam przy zakupie kolejnych niszczycieli min. Co więcej, mieliby możliwość eksportu tych okrętów. WR ■

LITWA

Czwórka z przeszłością

Za 6,5 mln euro Litwini odkupili od Duńczyków jednostkę typu Flyvefisker. W tamtejszej marynarce wojennej służył w latach 1990–2016 jako „Havkatten”. Okręt patrolowy o wyporności 450 t ma 54 m długości i 9 m szerokości. Został uzbrojony w armaty kalibru 76 mm i 40 mm. Jednostka zastąpiła patrolowiec z Norwegii, przejęła nazwę po nim – „Sélis” (P15) i dołączyła do trzech eksduńskich jednostek typu Flyvefisker, które weszły do służby w litewskiej marynarce w latach 2008–2010. „Zemaitis” (P 11), „Dzukas” (P 12) i „Aukstaitis” (P 14) oraz „Sélis” (P 15) tworzą Dywizjon Okrętów Patrolowych. WWR ■



J S D F

JAPONIA

Z obawy przed agresją

Ministerstwo obrony Japonii zaprezentowało prototyp kołowego transportera opancerzonego o modułowej konstrukcji.

Testy pojazdu przewiduje się przeprowadzać do 2019 roku. Nowe ośmiokołowe wozy mają być następcami transporterów typu 96 (na zdjęciu). Ta wymiana ma przynieść wzmocnienie potencjału bojowego jednostek przewidzianych do obrony japońskich wysp przed ewentualną inwazją. Tokio w ten sposób reaguje na zwiększającą się potęgę militarną Chin. Nowy pojazd o masie 20 t ma 8,4 m długości, 2,5 m

szerokości i 2,9 m wysokości. Zamontowano w nim silnik wysokoprężny o pojemności 10,8 l i mocy 372,8 kW, który zapewnia maksymalną prędkość 100 km/h na utwardzonej drodze. W wersji transportera piechoty oprócz trzyosobowej załogi będzie mógł przewozić ośmiu żołnierzy desantu. Konstrukcja pojazdu pozwoli na szybki montaż z tyłu wymiennych modułów misyjnych. WRT ■

HOLANDIA

Aktywny pancerz

Firma BAE Systems zmodernizuje bojowe wozy piechoty **CV9035** holenderskich wojsk lądowych. Pojazdy prawdopodobnie zostaną wyposażone w system obrony aktywnej. Do testów wybrano system Iron Fist izraelskiej firmy IMI Systems, który ostrzega załogę pojazdu przed groźącym jej niebezpieczeństwem, przechwytuje i eliminuje nadlatujące w kierunku wozu pociski. Za rok, po zakończeniu prób, zostanie podjęta decyzja o kupnie systemu. Jeśli ta transakcja dojdzie do skutku, holenderskie CV90 będą pierwszymi pojazdami bojowymi NATO z systemem obrony aktywnej. WRT ■

CHINY

Rozpoznanie na morzu

Do marynarki wojennej Chin trafił nowy okręt wywiadu elektronicznego „Kaiyangxing” (szósta jednostka typu 815A). Ma wyporność 6 tys. t, osiąga maksymalną prędkość 20 w. i został uzbrojony w trzy działa małego kalibru. „Kaiyangxing” przydzielono flotylli wsparcia bojowego Floty Morza Północnochińskiego. W ■

WŁOCHY

Ogniwo pośrednie

Koncern Leonardo podpisał kontrakt z włoskim ministerstwem obrony na dostawę pięciu przedseryjnych samolotów treningowych Alenia Aermacchi **M-345 HET** (High Efficiency

Trainer). Tamtejsze siły powietrzne oszacowały swoje potrzeby na około 45 maszyn.

Nowe samoloty dostaną wojskowe oznaczenia T-345. M-345 zastąpią MB-339A i będą ogniwo

pośrednim między maszynami do szkolenia wstępnego SIAI-Marchetti SF.260 i zaawansowanego M-346 Master. Pierwsze M-345 mają być dostarczone w 2019 roku. WW ■



ALENIA AERMACCHI



RAFAŁ
CIASTOŃ

Ogniem ciągłym...



Gdy w „Trzeciej fali” Heidi i Alvin Tofflerowie pisali o trzech typach społeczeństw, tj. preindustrialnym, industrialnym i postindustrialnym, do zobrazowania różnic między nimi posłużyli się trzema typami narzędzi czy też środków produkcji – motyką, taśmą produkcyjną i komputerem. W kategoriach militarnych nic chyba nie obrazuje lepiej „drugiej fali” niż karabin maszynowy.

Szybkostrzelność była jedną z głównych wad broni palnej od czasów jej wynalezienia. W XVI i XVII wieku lekarstwem na ten problem było m.in. opracowanie specyficznej taktyki: kontrmarszu piechoty i karakolu jazdy, gdzie kolejne szeregi naprzemiennie oddawały salwy i wycofywały się w celu powtórnego nabicia broni. Rewolucją było wynalezienie karabinu ładowanego odtylcowo i strzelającego nabojem zespolonym. Konstrukcja pruskiego inżyniera Johanna Dreysego trafiła do armii królestwa w 1848 roku. W tym samym okresie, za oceanem, niejaki Lewis Jennings opracował karabin powtarzalny z magazynkiem umiejscowionym pod lufą, choć ten rodzaj broni spopularyzował dopiero Tyler Henry ponad 20 lat później, a po nim Olivier Winchester. Obydwa karabiny, znane pod nazwiskami konstruktorów, stały się popularne na amerykańskim Dzikim Zachodzie.

Wojny są katalizatorem dla rozwoju coraz to doskonalszych systemów uzbrojenia. Tak też było z wojną secesyjną – w 1862 roku do wyposażenia wojsk Unii zaczęto wprowadzać kartaczownicę Gatlinga, broń wprawdzie nie automatyczną, bo napędzaną za pomocą korby, strzelającą jednak ogniem ciągłym z kilku (od sześciu do dziesięciu) obrotowych luf (na marginesie warto zauważyć, iż podobne rozwiązanie, choć z napędem elektrycznym, jest wykorzystywane dziś w karabinach maszynowych Minigun i działkach Vulcan). Używana w sześciu państwach i kilkunastu konfliktach zbrojnych, poddawana modyfikacjom, w arsenale US Army znajdowała się do 1911 roku. Kartaczownice zostały wyparte przez automatyczne karabiny maszynowe.

Hiram Maxim opracował swój ciężki karabin maszynowy w 1883 roku. Szybko stał się on najbardziej rozpowszechnionym i produkowanym w licznych odmianach cekaemem – dość wspomnieć brytyjskiego Vickersa, niemiecki wzór 1908 i rosyjski wzór 1910. I wojna światowa na froncie zachodnim stała się wojną pozycyjną w dużej, jeśli nie głównej, mierze właśnie z uwagi na masowe zastosowanie karabinów maszynowych. Ukryte w kolejnych liniach okopów armie nie były w stanie przełamać umocnień przeciwnika pod morderczym ogniem artylerii i cekaemów. Somma, Verdun – straty idące w dziesiątki, setki tysięcy zabitych i rannych świadczą o tym najdobitniej. Industrialne społeczeństwa spod znaku taśmy produkcyjnej zaczęły toczyć wojny za pomocą taśmy zasilającej karabinu maszynowego. Masowa produkcja szła w parze ze zdolnością do masowego unicestwienia...

Broń samoczynna, a następnie samoczynno-samopowtarzalna, była wciąż udoskonalana, obok ciężkich pojawiły się także lekkie i ręczne karabiny maszynowe, a w trakcie kolejnego konfliktu światowego – te najbardziej dziś rozpowszechnione, uniwersalne. Jeszcze w trakcie I wojny broń samoczynna trafiła do uzbrojenia żołnierzy – pojawiły się pierwsze pistolety maszynowe. Dziś, oprócz pistoletów, jedyną bronią samopowtarzalną lub powtarzalną w siłach zbrojnych są karabiny wyborowe. Wynalazek „drugiej fali” pozostaje niezastąpiony. ■



RAFAŁ CIASTOŃ jest doktorantem Akademii Sztuki Wojennej, ekspertem Fundacji im. Kazimierza Pułaskiego.



STRATEGIE

/ BAŁKANY

ROBERT SENDEK

INŻYNIERIA STRACHU

**Niektórzy politycy z państw bałkańskich
nie rozwiązują problemów, lecz sami wywołują
nowe punkty zapalne.**



Bośniaccy Serbowie słuchają
przemówienia prezydenta
Republiki Serbskiej Milorada
Dodika przed referendum mającym
zaaprobować dzień 9 stycznia jako
święto państwowe. Banja Luka,
wrzesień 2016 roku



Podobno człowiek lubi się bać. Doskonale o tym wiedzą miłośnicy thrillerów. Emocje wywołane strachem można jednak wykorzystać nie tylko w filmie, lecz także w polityce. Już w XVIII wieku zauważył to John Adams. W eseju z 1776 roku „Thoughts on Government” napisał, że władza często oparta jest właśnie na strachu. Dzisiaj, w epoce wszechobecnych mediów, myśl ta wcale nie utraciła swej wagi, jest może nawet bardziej aktualna niż w XVIII wieku.

ZARZĄDZANIE LĘKAMI

Dziś co prawda nie da się już rządzić, stosując jedynie przemoc, czyli tak, by ludzie podporządkowywali się władzy ze strachu. Doskonale jednak można wykorzystać w polityce obawy, lęki i fobie, prawdziwe bądź urojone. Nader liczne wypowiedzi polityków z Bałkanów pokazują, że w tym regionie straszenie stało się jedną ze skuteczniejszych metod wpływania na zachowania wyborców.

Pół biedy, jeśli mówieniu o zagrożeniach towarzyszą konkretne działania, służące zmniejszeniu niebezpieczeństwa czy rozwiązaniu określonych problemów. W takiej sytuacji bowiem strach może działać mobilizująco i stanowić motywację do konstruktywnego działania, mającego na celu wzmocnienie instytucji służących wspólnemu dobru, rozbudowę struktur obronnych albo zapewnienie bezpieczeństwa i dobrobytu. Problem pojawia się jednak wtedy, kiedy politycy próbują wywoływać w społeczeństwie lęki po to, by nim zarządzać, jednak nie z korzyścią dla całej wspólnoty, lecz dla siebie czy swojej partii.

Czym politycy na Bałkanach straszą swych wyborców? Właściwie wszystkim. Każdy pretekst jest bowiem dobry do politycznego wykorzystania. W zależności od kraju oraz barw par-

tyjnych straszyć można najogólniej ujmowanym Zachodem, czyli przede wszystkim sojuszem północnoatlantyckim oraz Unią Europejską, Rosją i Putinem, islamem, prawosławiem, katolicyzmem, uchodźcami, nieszczelnymi granicami, utratą tożsamości czy obcą dominacją. Można wreszcie sięgać po najgorszą chyba w tym regionie groźbę – wybuch wojny.

Każde z wymienionych wyżej przykładowych haseł (listę można dowolnie wydłużać, klipy wyborcze partii w poszczególnych krajach dostarczają naprawdę bogatego materiału) niesie ze sobą pewne wyzwania. Nie są one jednak tak jednoznacznie negatywne, jak mogłoby się wydawać niektórym politykom. Świat rzeczywisty, w odróżnieniu od tego wykreowanego na potrzeby publicystyki, nie jest przecież czarno-biały i to, co dla pewnej społeczności może być zagrożeniem, innej przyniesie szansę na zmianę. Może tylko z wyjątkiem wojny. Tymczasem w 2016 roku ten temat pojawił się w debacie publicznej co najmniej trzech państw: Bośni i Hercegowiny, Macedonii i Kosowa.

SPOKÓJ OD ŚWIĘTA

25 września 2016 roku na terenie Republiki Serbskiej (część Bośni i Hercegowiny) odbyło się referendum, w którym głosujący opowiedzieli się za uznaniem 9 stycznia za święto państwowe. Wydawać by się mogło, że taka kwestia nie niesie żadnych zagrożeń, ale w kraju tak podzielonym, jak Bośnia i Hercegowina nawet sprawa dotycząca święta może stać się zarzewiem konfliktu. Wrześniowe referendum, którego pomysłodawcą był prezydent Republiki Serbskiej, Milorad Dodik, zostało przez bośniacki Trybunał Konstytucyjny uznane za nielegalne, a przez zachodnich polityków za kontrowersyjne i niepotrzebne.

Dzień ten nie został bowiem wybrany przypadkowo. Na terenach zamieszkałych w więk-



RETORYKA WOJENNA POJAWIŁA SIĘ W DEBACIE PUBLICZNEJ W KOSOWIE. PODGRZEWANIE NASTROJÓW SPOŁECZNYCH PRZEZ TAMTEJSZYCH POLITYKÓW NIE SPRZYJA STABILIZACJI W REGIONIE DOTKLIWIE DOŚWIADCZONYM WOJNĄ

szości przez Serbów 9 stycznia 1992 roku proklamowano tzw. Serbską Republikę Bośni i Hercegowiny, przemianowaną wkrótce potem na Republikę Serbską. Przyczyną była niechęć bośniackich Serbów do występowania z Jugosławii, o co z kolei zabiegali zamieszkujący Bośnią muzułmanie i Chorwaci. Przeciwnie aspiracje narodów BiH doprowadziły do wybuchu wojny, zakończonej w 1995 roku układem w Dayton, który nadał kształt systemowi polityczno-administracyjnemu kraju. W myśl tego porozumienia Bośnia i Hercegowina jako państwo jest federacją, na którą składają się dwa podmioty: Republika Serbska, zdominowana przez Serbów, oraz Federacja Bośni i Hercegowiny, gdzie większość mieszkańców stanowią Boszniacy (bośniaccy muzułmanie) oraz Chorwaci. Dodatkowym elementem tej układanki stał się tzw. dystrykt Brčko, niewielki obszar znajdujący się pod międzynarodową kontrolą.

Do tarć między bośniackimi Serbami a pozostałymi narodowościami Bośni i Hercegowiny dochodziło praktycznie zawsze, a jedną z kwestii zapalnych stanowiły święta państwowe. Bośniaccy Serbowie nie świętowali

wraz z Boszniakami i Chorwatami Dnia Niepodległości, który w Bośni obchodzony jest 1 marca. Mieli natomiast własne święto, czyli przypadający na 9 stycznia Dzień Republiki. Rzadko brali w nim udział przedstawiciele najwyższych urzędów państwowych ze strony chorwackiej i boszniackiej, ale w tym święcie chętnie uczestniczyli także politycy z sąsiedniej Serbii.

W listopadzie 2015 roku bośniacki Sąd Konstytucyjny orzekł, że 9 stycznia nie jest dobrym terminem na obchody Dnia Republiki, bo na ten dzień przypada prawosławne święto Szczepana męczennika (w Serbii znanego pod imieniem Stefana; katolicy obchodzą je 26 grudnia), a święto państwowe nie powinno zbiegać się z religijnym, bo taka sytuacja może być elementem dyskryminacji osób innego wyznania. Republika Serbska ma zatem prawo obchodzić swoje święto, ale nie 9 stycznia; władze powinny więc w ciągu sześciu miesięcy wyznaczyć nowy termin.

Po takim orzeczeniu Serbowie zapowiedzieli, że zorganizują referendum, w którym o opinię poproszą obywateli Republiki Serbskiej. Głosowanie doszło do ➔

skutku, choć przeciwnicy polityczni Dodika mówili, że jest to działanie wbrew konstytucji, gdyż wyroki Sądu Konstytucyjnego są ostateczne i obowiązujące. On jednak tym się nie przejął, zignorował też opinie urzędników unijnych i amerykańskich, którzy przestrzegali przed wzrostem napięcia w kraju. Politycy sąsiedniej Serbii zachowali natomiast dyplomatyczny dystans. Wsparcie natomiast Dodik otrzymał ze strony rosyjskiej, sam zresztą przed referendum pojechał do Moskwy, gdzie spotkał się z Władimirem Putinem.

Trzeba jednak przyznać Dodikowi, że jest konsekwentny. Kłopot polega na tym, że w jego kraju panuje bardzo krucha równowaga między trzema głównymi narodami. Jej naruszenie może mieć poważne konsekwencje dla państwa. I rzeczywiście, pod adresem serbskiego polityka posypały się oskarżenia. Sefer Halilović, emerytowany generał bośniackiej armii, uczestnik wojny z lat dziewięćdziesiątych XX wieku, dziś spełniający się jako polityk, szef marginalnej Patriotycznej Partii Bośni i Hercegowiny, posunął się nawet do stwierdzenia, że konsekwencją referendum może być wybuch w kraju nowej wojny. Dodik podważa bowiem cały układ z Dayton, będący fundamentem istnienia Bośni i Hercegowiny jako państwa. Halilović twierdzi, że jeśli dojdzie do wojny, to sytuacja będzie wyglądała inaczej niż w latach dziewięćdziesiątych. I to będzie koniec Republiki Serbskiej, która bez pomocy Serbii utrzyma się zaledwie 10–15 dni.

Ten komentarz odbił się szerokim echem nie tylko w Bośni i Hercegowinie, lecz także w sąsiedniej Serbii. Wypowiedź Halilovicia potępił serbscy politycy z samego szczytu władzy, w tym premier Aleksandar Vučić, minister spraw zagranicznych Ivica Dačić, a także Milorad Dodik. Część polityków uznała jednak, że jest to zapowiedź planu zniszczenia Republiki Serbskiej.

NA KRAWĘDZI WOJNY DOMOWEJ

O wojnie zaczęto mówić także w Macedonii, w której 11 grudnia 2016 roku odbyły się przedterminowe wybory parlamentarne. Nie wielką przewagę zdobyła w nich partia od 2006 roku rządząca krajem, czyli VMRO-DPMNE Nikoli Gruevskiego. Same wybory



Sefer Halilović, emerytowany generał bośniackiej armii, twierdzi, że jeśli dojdzie do wojny, będzie to koniec Republiki Serbskiej, która bez pomocy Serbii utrzyma się zaledwie 10–15 dni.

ZAGROŻENIE WOJNĄ JEST ARGUMENTEM OSTATECZNYM, NAJSILNIEJSZYM I NAJBARDZIEJ PRZEKONUJĄCYM

były poprzedzone długą procedurą ustaloną między partiami rządzącą i opozycyjnymi w tzw. porozumieniu z Prżino z czerwca 2015 roku, co miało rozwiązać przedłużający się kryzys polityczny w kraju oraz zagwarantować przejrzystość procesu wyborczego. Kampania była niezwykle zacięta i ze względu na ogromną polaryzację społeczeństwa macedońskiego towarzyszyły jej niemałe emocje. Główna linia podziału Macedończyków, z grubsza rzecz biorąc, przebiega między zwolennikami i przeciwnikami Nikoli Gruevskiego. Za lidera opozycji uważany jest Zoran Zaev, stojący na czele Socjaldemokratycznego Związku Macedonii, który oskarżał Gruevskiego o zapędy

dyktatorskie, manipulację mediami, podsłuchiwanie przeciwników politycznych.

Podczas kampanii Zaev był bardzo aktywny. Żeby przyciągnąć wyborców albańskich (dotychczas największa partia albańska – Unia Demokratyczna na Rzecz Demokracji Ali Ahmetiego – była w koalicji z Gruevskim, a politycy tej partii wchodzili w skład rządu) zaproponował, by język albański wprowadzić jako urzędowy na terenie całego kraju, a nie tylko w jego zachodnich gminach. Na spotkaniu z albańską diasporą w Szwajcarii proponował też podział Macedonii na kantony według wzorców szwajcarskich. Kiedy się okazało, że podczas pobytu w Szwajcarii Zaev spotkał się z Musą Lamallarem, opowiadającym się za federalizacją Macedonii na wzór Belgii, konkurenci polityczni stwierdzili, że i Zaev pewnie chce też zamienić Macedonię w federację.

Kwestie ewentualnej „kantonizacji”, federalizacji kraju oraz dwujęzyczności mocno podniosły temperaturę debaty publicznej. Natychmiast pojawiły się oskarżenia pod adresem Zaeva. Mówiono o tym, że jego propozycje doprowadzą do radykalizacji żądań partii albańskich, a to z kolei może stać się przyczyną wojny domowej i rozpadu kraju. Publicysta Nenad Mirčevski stwierdził wprost, że Zoran Zaev spowodował, że Macedonia znalazła się na krawędzi wojny domowej. Takie oskarżenia podchwycili też inni. Toni Naunovski, przedstawiany jako profesor uniwersytecki, a w rzeczywistości publicysta i komentator polityczny, przewidywał nawet, że prezydent Gorge Ivanov (wywodzący się ze środowiska VMRO-DPMNE, czyli co najmniej sprzyjający politykom tej partii) będzie zmuszony ogłosić stan wyjątkowy po to, by ustrzec Macedonię przed wojną domową.

Prezydent o możliwym konflikcie wewnątrzmacedońskim wspominał już w czerwcu 2016 roku, kiedy w orędziu przestrzegał przed radykalizacją nastrojów. Zaev jednak takie oskarżenia odrzucał. Interesujące, że o możliwym konflikcie wewnętrznym w Macedonii wspominał także w swym komentarzu drukowanym w macedońskiej prasie Andrej Korybko, publicysta i komentator polityczny, pracujący dla rosyjskiej agencji Sputnik, którą wielu krytyków uważa raczej za instytucję propagandową niż informacyjną.

Wzmianki o wojnie domowej pojawiały się zatem w wypowiedziach polityków i publicystów prorządowych (względnie: antyopozycyjnych, czyli występujących z krytyką działań macedońskiej opozycji, przede wszystkim Zaeva). Można się w związku z tym zastanawiać, w jakim stopniu to straszenie wynika z rzeczywistych obaw poszczególnych polityków czy publicystów o bezpieczeństwo społeczeństwa, a w jakim jest cyniczną propagandową wrzutką, której celem ma być podgrzewanie nastrojów

i wywołanie strachu. W Macedonii, gdzie wspomnienia konfliktu zbrojnego są wciąż żywe (w 2001 roku doszło tu do trwającej kilka miesięcy albańskiej rebelii), straszenie wojną może wywołać panikę.

SPÓR O GRANICE

Retoryka wojenna pojawiła się także w debacie publicznej w Kosowie. Politycy, którzy w 2016 roku rozpętali spór graniczny między Kosowem a Czarnogórą, nie poczuwają się do odpowiedzialności za swoje państwo. Zresztą samo określenie „spór graniczny” to przesada, ponieważ nie istnieje problem na poziomie międzyrządowym. Granica czarnogórsko-kosowska została wytyczona według urzędowych procedur, trwających kilka dobrych lat. Demarkację według natowskich map przeprowadziła komisja, w której zasiadali przedstawiciele obu zainteresowanych stron, i w sierpniu 2015 roku podpisano kosowsko-czarnogórskie porozumienie. Wtedy właśnie wybuchł spór, ale nie między Kosowem i Czarnogórą, lecz między rządem Kosowa i kosowską opozycją, reprezentowaną głównie przez nacjonalistyczną partię Vetëvendosje.

Gdyby chodziło jedynie o sam przebieg granicy, ten spór dałoby się rozwiązać bez większych problemów, np. dzięki powołanej specjalnie do tego celu komisji, do której członków mogłaby mianować także kosowska opozycja. Wtedy jednak nie byłoby spektaklu, nie można byłoby w świetle kamer urządzać happeningów, takich jak przesuwanie znaków granicznych, zwoływać manifestacji i oskarżać rządu premiera Isy Mustafy o zdradę. W wypowiedziach polityków Vetëvendosje zaczęły się pojawiać groźby możliwej wojny z Czarnogórą, jeśli dojdzie do ratyfikacji w parlamencie przebiegu granicy. W odpowiedzi Czarnogórcy obstawili teren nadgraniczny własnym wojskiem.

Nie należy się jednak spodziewać wojny między Kosowem a Czarnogórą, ale też nie o nią tu chodzi. Raczej o to, że pojawili się politycy, którzy są gotowi w imię własnych interesów do takiego podgrzewania temperatury sporu, że biorą pod uwagę nawet rozpętanie wojny. Jest coś niepokojącego w tym, że ludzie którzy pochodzą z krajów mających w pamięci nieodległe doświadczenia wojenne, a jednocześnie potrzebujących stabilizacji i spokojnego rozwoju, tak chętnie przywołują groźbę konfliktu zbrojnego. Z drugiej jednak strony być może chodzi właśnie o to, że jest on argumentem ostatecznym, najsilniejszym, który przekona wyborców. Taki sposób myślenia ma jednak pewną wadę: rozpalone do czerwoności emocje polityczne trudno ostudzić, a tym bardziej kontrolować. Można to podsumować sentencją Samuela T. Coleridge’a, poety angielskiego: „To, co zaczyna się od strachu, kończy się szaleństwem”. ■

MEDIALNA DYWERSJA

Z Jolantą Darczewską

**o rosyjskiej wojnie dezinformacyjnej i kurniku
bez koguta rozmawia Małgorzata Schwarzgruber.**

Władimir Putin w grudniu 2016 roku za-
twierdził nową doktrynę bezpieczeństwa
informacyjnego Rosji. Dezinformacja ma
w tym kraju długą tradycję, sięgającą
jeszcze czasów carskich. Potem pałeczkę przejęli ko-
muniści, udoskonalając stosowane metody...

Manipulacja i dezinformacja to podstawowe narzędzia
rządzenia na Kremlu, używane od lat. Rosja odziedzyczy-
ła je po ZSRR. Ideologię komunistyczną z czasów zimnej
wojny teraz zastąpiła jednak geopolityka i Moskwa pro-
muje wizję świata wielobiegunowego – Rosja jest jądrem
nowego świata, który ma powstrzymać globalnego hege-
mona, Amerykę. Operacje informacyjne mają służyć po-
prawie wizerunku Federacji Rosyjskiej w świecie, wyko-
rzystuje się więc w nich obraz przywódcy państwa – silne-
go i zdecydowanego, takiego, który podniósł Rosjan
z kolan i skutecznie broni ich interesów. Pod koniec lat
dziewięćdziesiątych XX wieku, gdy w Rosji trwały prace
nad nową doktryną bezpieczeństwa, pojawił się rozpo-
wszechniony dziś termin „wojna informacyjna”. Rosyjscy
teoretycy dowodzą, że to Zachód wypowiedział taką woj-
nę Moskwie, a ona tylko się broni. Tyle że nie chroni wła-
snego terytorium i jego mieszkańców, lecz jakiegoś wy-
imaginowanego tworu, jak Noworosja czy swoich roda-
ków za granicą.

Kto prowadzi tę wojnę? Politycy, dziennikarze?

Do akcji dezinformacyjnych, które prowadzi się z wy-
korzystaniem nowoczesnych technologii i kanałów ko-
munikacji, jest potrzebne szerokie zaplecze. Za takimi
operacjami stoją zazwyczaj służby, które rozpoznają sy-
tuację i określają odbiorców, a potem opracowują kon-
cepcję działania. Wykonawcami są natomiast politycy,
dyplomaci, biznesmeni, eksperci oraz dziennikarze me-

diów krajowych i zagranicznych. W Rosji powstało wie-
le kontrolowanych przez państwo, fasadowych organiza-
cji, które inicjują różnego rodzaju wydarzenia propa-
gandowe, jak konferencje międzynarodowe, koncerty,
marsze pokoju. W 2013 roku na przykład utworzono
międzynarodową agencję informacyjną Rossija Siegod-
nia po połączeniu radia Głos Rosji [teraz Sputnik]
i agencji RIA Novosti.

Dezinformacja to szerokie pojęcie. Czym jest dzisiaj?

Różne są jej definicje. Najczęściej mówi się jednak, że
jest to zmanipulowana informacja, która ma wpływać na
opinię publiczną. To niebezpieczny oręż, bo jest łatwo do-
stępny, niewiele kosztuje i ma nieograniczony zasięg.
Dezinformacja, niezależnie od definicji, ma jeden cel:
podporządkowanie sobie elit i społeczeństw innych
państw w sposób niezauważalny, z wykorzystaniem taj-
nych i jawnych kanałów, m.in. świata dyplomacji, mediów
i służb specjalnych, przez oddziaływanie psychologiczne
oraz dywersję ideologiczną i polityczną.

W jakiej formie Moskwa prowadzi takie działania?

Dezinformację można wykorzystywać w działaniach
taktycznych – do wprowadzenia szumu informacyjnego,
żeby stworzyć zasłonę dymną dla rzeczywistych działań.
Takie kampanie najczęściej nie trwają długo. Elementem
strategii jest natomiast długofalowa dezinformacja, a jej
celem – narzucenie opinii publicznej określonej wizji
świata. Takie działania są podporządkowane z kolei ce-
lom polityki zagranicznej Federacji Rosyjskiej, które po-
zostają niezmiennie od lat: ograniczenie wpływów USA
w Europie, osłabienie relacji transatlantycznych w NATO
i Unii Europejskiej, podporządkowanie sobie krajów
Wspólnoty Niepodległych Państw.

Manipulacja i dezinformacja

to podstawowe narzędzia sprawowania władzy na Kremlu

W jaki sposób inne kraje odpowiadają na ataki Moskwy?

Chociaż Rosja od lat prowadzi zaczepne działania dezinformacyjne, to twierdzi, że nie jest agresorem i tylko odpowiada na zachodnie ataki, mające wpływ na wewnętrzne sprawy kraju. Tamtejsi politycy uważają także, że mają prawo – podobnie jak inne państwa – do PR. Nikt im nie odbiera takiego prawa, ale świat zachodni zwraca uwagę, że w Rosji tego rodzaju działania są zmonopolizowane przez państwo i prowadzą do podważania polityki innych państw. Kraje zachodnie coraz aktywniej reagują na rosyjskie ataki – powstało wiele społecznych i zinstytucjonalizowanych ośrodków badań rosyjskiej dezinformacji, które skutecznie nagłaśniają to zagrożenie.

Głośno było o rosyjskich działaniach dezinformacyjnych na Ukrainie. A inne przykłady?

Jest ich wiele – równie głośne ataki cybernetyczne na Estonię czy działania psychologiczno-informacyjne towarzyszące wojnie w Gruzji. Interwencję w tym kraju w 2008 roku Rosjanie tłumaczyli m.in. tym, że w ciągu jednej nocy zginęło 2 tys. ich rodaków. Później, kiedy za tę „małą wojenkę” obarczali winą prezydenta Gruzji, nie wspomnieli ani o tym pretekście, ani o tym, że w miesiącach poprzedzających interwencję wydali mieszkańcom Abchazji, wchodzącej w skład Gruzji, kilka tysięcy rosyjskich paszportów.

Kreml próbował też wpłynąć na prezydencką kampanię wyborczą w USA.

Rosjanie przeprowadzili cyberataki na sztaby wyborcze i think tanki analizujące rosyjską politykę. Wybory w USA potoczyły się zgodnie z oczekiwaniami Rosjan – wygrał Donald Trump, o którym mówią, że jest ich prezydentem. Nie zrezygnowali jednak z ataków na amerykańską demokrację. Kiedy rosyjska telewizja pokazywała protesty w Portland, opatrzyła je komentarzem: „Oto zaczął się amerykański Majdan”. Słowo „majdan” przez rosyjską propagandę jest używane jako synonim chaosu. Konkluzja tego materiału była natomiast była taka: Ameryka, która organizuje kolorowe rewolucje w wielu krajach na całym świecie, nagle sama stanęła przed taką rewolucją, zorganizowaną przez Hillary Clinton, która nie chciała dopuścić do zaprzysiężenia Trumpa.



Deinformacja ma jeden cel: podporządkowanie sobie społeczeństw innych państw w sposób niezauważalny

Czy teraz Europa znalazła się na celowniku Moskwy?

Po amerykańskich wyborach można się spodziewać pauzy w rosyjskiej akcji deinformacyjnej skierowanej przeciwko USA. Jednocześnie główna tuba propagandy, państwowa telewizja, ogłosiła koniec hegemonii Stanów Zjednoczonych – była to wiadomość skierowana do państw zachodnioeuropejskich. Cytowano m.in. niemieckiego rusofila Aleksandra Rahra, twierdzącego, że Europa jest kurnikiem bez koguta. Panuje tu chaos i jest potrzebny lider, który musi się dogadać z Rosją, bo Europa nie może się czuć bezpieczna bez Moskwy.

Niemiecka prasa ostrzega przed rosyjską kampanią deinformacyjną, mającą na celu zdyskredytowanie Angeli Merkel w roku wyborów parlamentarnych.

Od 2015 roku telewizja RT [Russia Today], komentująca wydarzenia po myśli polityków z Kremla, nadaje również w języku niemieckim. Głośnym echem na początku 2016 roku odbiła się akcja „Liza”, kiedy rosyjska telewizja wyemitowała program o zgwałceniu przez uchodźców rosyjskojęzycznej obywatelki Niemiec. Wykorzystując media społecznościowe, organizowano wówczas antyimigranckie protesty. Wskutek zdecydowanej reakcji niemieckich władz, potępiających takie działania, demonstracje się zakończyły. Moskwa nagle przerwała tę akcję, ale nadal wspiera w Niemczech prorosyjskie media, wykorzystuje czarny PR i kupuje przychylność tamtejszych elit.

To pewnie nie koniec ingerencji w kampanie wyborcze. Wkrótce Francuzi również będą wybierać prezydenta.

We Francji Putin ma ułatwione działanie, gdyż mieszka tam wielu rosyjskich emigrantów i panują antyamerykańskie nastroje. Moskwa stawia na Marine Le Pen, bo od dawna finansowo wspiera Front Narodowy. Szefowa tego ugrupowania prawdopodobnie zmierzy się z innym zwolennikiem zbliżenia z Rosją, kandydatem Partii Republikańskiej, François Fillonem. Efektem rosyjskiego oddziaływania na francuskich polityków było m.in. zacieśnianie współpracy wojskowej. Przypomnę sprzedaż Rosji okrętów desantowych Mistral, choć ta transakcja nie została ostatecznie zrealizowana z powodu nałożenia na Moskwę unijnych sankcji.

Co na temat walki informacyjnej mówi rosyjska doktryna wojenna?

W doktrynie wojennej z grudnia 2014 roku oraz w zatwierdzonej na początku grudnia 2016 roku przez prezydenta nowej doktrynie bezpieczeństwa informacyjnego [poprzednia pochodziła z 2000 roku] zapisano m.in., że celem Rosji jest przeciwdziałanie wpływom obcych państw na obszarze WNP. Armia ma natomiast bronić systemu informacyjnego przed agresywnymi działaniami przeciwnika. Jak głosi nowa doktryna, w zagranicznych mediach jest coraz więcej „materiałów zawierających tendencyjną ocenę polityki państwowej Federacji Rosyjskiej”. Według tego dokumentu, rośnie też oddziaływanie informacyjne na mieszkańców Rosji, przede wszystkim na młodzież, „w celu rozmywania tradycyjnych rosyjskich wartości duchowych i moralnych”. Media rosyjskie są natomiast dyskryminowane za granicą, a dziennikarze napotykać przeszkody w prowadzeniu swojej działalności. Moskwa musi też zmierzyć się z ingerencją Zachodu w sprawy wewnętrzne Rosji. Prezydent Putin m.in. zwrócił na to uwagę podczas pierwszej rozmowy telefonicznej z Donaldem Trumpem. Po wojnie w Gruzji w doktrynie wojennej dopisano prawo do zbrojnej obrony rodaków za granicą, przy czym „rodacy” są pojęciem raczej umownym. To nie tylko emigranci z Rosji, lecz także wszyscy, którzy mówią po rosyjsku i interesują się tym krajem. Moskwa twierdzi, że w ten sposób broni tradycyjnych wartości społeczeństwa przed „psychologiczną zagładą”, jaką mu gotuje Zachód. Rosyjska doktryna jest antynatowska i antyamerykańska, co ma także wymiar praktyczny – „przestępca ingerencja USA i NATO” stanowi wyjaśnienie przyczyn wszelkich współczesnych konfliktów zbrojnych, a zarazem jest dobrym argumentem uzasadniającym rosyjską interwencję zbrojną na Ukrainie czy w Syrii.

Czy armia włącza się do wojny informacyjnej?

Robi to za pośrednictwem własnych koncernów medialnych. Krasnaja Zwiezda podejmuje działania mające na celu deinformację, czyli wydaje własną gazetę, prowadzi portale, dociera do odbiorców przez Twittera i Facebooka. Sama armia prowadzi je także w realu – można tu przywołać chociażby słynne „zielone ludziki” na Krymie czy „konwoje humanitarne” dla Donbasu. ■

Dr JOLANTA DARCZEWSKA jest kierownikiem Zespołu ds. Bezpieczeństwa Wewnętrznego w Europie w Ośrodku Studiów Wschodnich.

POLSKA ZBROJNA
HISTORIA

**NOWY
MAGAZYN**

**JUŻ
WKRÓTCE**

1050
LAT HISTORII
I CHWAŁY
ORĘŻA
POLSKIEGO

KWARTALNIK
HISTORYCZNY

www.polska-zbrojna.pl

wiiw
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

SŁOWA JAK POCISKI

Z Elizabeth Wahl

**o rosyjskiej propagandzie i szukaniu prawdy
rozmawia Anna Dąbrowska.**

MICHAŁ NIWICZ

Właściwie w każdym kraju prowadzi się pewnego rodzaju działania propagandowe. Czym one się różnią od rosyjskiej kampanii dezinformacyjnej?

Rządy państw zachodnich czy instytucje w Europie lub USA tak naprawdę nie uprawiają propagandy, lecz PR, czyli starają się pokazać z jak najlepszej strony. Rosja natomiast nie tylko promuje działania swojego rządu, lecz także chce wpływać na inne kraje i ich politykę.

Kto jest odbiorcą tych kampanii – rodacy czy obywatele innych państw?

Obie grupy, ale w zależności od odbiorcy kampanie prowadzi się w różny sposób. W Rosji media są pod coraz większą kontrolą władz. Przez ostatnie lata obserwowaliśmy, jak zamykano i likwidowano niezależne gazety i stacje telewizyjne, więc dziś funkcjonują głównie media państwowe. Podaje się w nich zmyślane fakty, manipuluje informacjami, przekupuje rozmówców. Z takich właśnie gazet, telewizji czy radia większość Rosjan czerpie dziś informacje o kraju i świecie.

A jak wygląda propaganda skierowana do zachodnich społeczeństw?

Na Zachodzie ludzie mają dostęp do różnych źródeł informacji. Dlatego Kreml stara się tak manipulować swoimi przekazami, aby tworzyć chaos, z którego trudno wy-

łować prawdę. Rosyjski rząd wydaje setki milionów dolarów na wojnę propagandową – przeprowadza tysiące dezinformujących ataków za pomocą think tanków, wielojęzycznych stacji telewizyjnych, takich jak Russia Today, agencji informacyjnych oraz korzysta z usług trolli aktywnych w mediach społecznościowych. Często kieruje zmanipulowane przekazy do osób nieprzystosowanych, odrzuconych, zagubionych, które czują, że ich problemy są ignorowane przez władze i media. Ci ludzie najszybciej uwierzą w rozmaite teorie spiskowe i w populistyczne hasła antyzachodnie. Kreml wykorzystuje także ekstremistów i polityków ze skrajnych opozycji, którzy krytykują establishment. Tak długo przekonują ich do racji Kremla, aż zaczną się oni domagać od swoich rządów i władz respektowania rosyjskich interesów.

Jaki jest główny cel takich zabiegów?

Moskwa przede wszystkim chce doprowadzić do podziałów wewnątrz Unii Europejskiej, ale także między nią a Stanami Zjednoczonymi oraz między państwami należącymi do NATO. Jednocześnie Kreml stara się podważyć wiarygodność zachodnich instytucji. Rosjanom zależy też na wywołaniu w zachodnim społeczeństwie poczucia zagrożenia.

W zakłamywaniu prawdy Rosja ma ogromne doświadczenie jeszcze z czasów sowieckich. Czy

teraz używa się takich samych metod?

Zmienił się przede wszystkim sposób prowadzenia wojny informacyjnej. Teraz jednym z głównych narzędzi są media elektroniczne. Na Twitterze, Facebooku, blogach czy w komentarzach pod różnymi informacjami dziesiątki tysięcy prorosyjskich trolli zamieszczają fałszywe treści.

Podczas wojny na Ukrainie Rosjanie osiągnęli chyba szczyt możliwości w uprawianiu propagandy. Jak to wyglądało z perspektywy waszyngtońskiej redakcji Russia Today?

Przez dwa i pół roku byłam korespondentką angielskojęzycznej międzynarodowej telewizji finansowanej przez rosyjski rząd. Kiedy podejmowałam tam pracę, wierzyłam, że będziemy niezależnym źródłem informacji, pokazującym prawdziwe problemy USA, o których nie wspominają główne media krajowe. „Pytaj więcej” brzmiało hasło stacji. Okazało się jednak, że naszym zadaniem jest ukazywanie Ameryki w jak najgorszym świetle. To nie była krytyka bezpośrednia, lecz dyskredytowanie zachodnich instytucji, rządów i mediów. Takie nastawienie zmieniło się jednak po rosyjskiej inwazji na Krym.

W jaki sposób?

Dezinformacja od tamtej pory była bardziej agresywna i stała się elementem strategicznej walki. Nasza redakcja miała być bronią służącą do manipulowania opinią publiczną. W każdym konflikcie, szczególnie w czasie wojny, trudno jest osobom postronnym zorientować się, jakie są fakty – np. kto strzela i dlaczego. Rolą mediów jest to tłumaczyć. My jednak nie pokazywaliśmy prawdy. Naszym zadaniem było odpieranie jakichkolwiek zarzutów wobec Rosji. Zostaliśmy też poinstruowani, żeby przedstawiać Ukrainę jako stronę winną konfliktu.

Jak zatem wyglądały materiały Russia Today z Ukrainy?

Protesty na Majdanie pokazywano nie jako demonstracje osób niezadowolonych z rządu, korupcji, złej sytuacji politycznej i ekonomicznej w kraju, lecz jako wystąpienia bojówek faszystów i neonazistów. Trzeba też było sugerować widzom, że tymi wydarzeniami sterują zachodnie

*Najlepszą
bronią
przed
propagandą
jest prawda,
o którą trzeba
walczyć
i wydobyć ją
z zalewu
informacji*

rządy i organizacje, którym zależy na osłabieniu Ukrainy. Zaprzeczano też, że na Krym wkroczyły siły rosyjskie. Tłumaczono, że „zielone ludziki” to oddziały samoobrony, chroniące nękanych przez ukraińskie władze Rosjan.

Kłamstwa, omijanie faktów, przeinaczenia – takimi metodami posługiwała się ta telewizja?

Tak, ale też rozpowszechniała zmyślane informacje, zaprzeczała prawdzie, tworzyła teorie spiskowe, wymyślała półprawdy. Kiedy komentowano jakieś wydarzenie, to np. mówiono, że Stany Zjednoczone czy państwa NATO nie powinny nikogo krytykować, bo same robią dużo gorsze rzeczy, m.in. prowadzą wojnę w Iraku. Tak naprawdę dopiero po rosyjskiej inwazji na Krym zobaczyłam, jak niebezpiecznym narzędziem może być telewizja. Wtedy stwierdziłam, że nie mogę dłużej pracować dla tej rosyjskiej maszyny propagandowej i zrezygnowałam z pracy.

Wtedy stwierdziłam, że nie mogę dłużej pracować dla tej rosyjskiej maszyny propagandowej i zrezygnowałam z pracy.

Jak możemy bronić się przed taką propagandą?

Na pewno nie przez kontrpropagandę. Najlepszą bronią jest prawda – trzeba o nią walczyć, starać się ją wydobyć z zalewu różnych informacji. Pomocne jest tworzenie niezależnych ośrodków medialnych, wspieranie pluralizmu mediów, ważne są też wszelkie działania edukacyjne. Ludzie często nie wiedzą, że są manipulowani i nie odróżniają prawdziwych wiadomości od dezinformacji. Dlatego tak ważne jest uświadamianie odbiorcom, jak działa rosyjska propaganda i szkolenie pod tym kątem dziennikarzy. Poza tym osoby kreujące kłamliwe wiadomości i świadomie je rozpowszechniające powinny być pociągnięte do odpowiedzialności. ■

WIZYTÓWKA

ELIZABETH WAHL

jest amerykańską dziennikarką m.in. stacji CNN, MSNBC, Fox News. Od 2011 do 2014 roku była amerykańską korespondentką waszyngtońskiej redakcji Russia Today, angielskojęzycznej międzynarodowej telewizji finansowanej przez rosyjski rząd. W proteście przeciwko manipulowaniu przekazywanymi informacjami zrezygnowała z pracy w trakcie programu, który prowadziła. ■

TADEUSZ WRÓBEL

Przełomowy plan

Węgrzy zdecydowali się wzmocnić swoją armię. Dlatego w tym roku rusza dziesięcioletni program modernizacji sił zbrojnych Węgier.

Z powodu niekorzystnych zmian w środowisku bezpieczeństwa węgierskie władze, wzorem wielu innych państw europejskich, postanowiły zainwestować we wzmocnienie systemu obronnego państwa. W ostatnich dwóch dekadach tamtejsze siły zbrojne nie były bowiem rozpieszczane przez polityków – wydatki obronne po zakończeniu zimnej wojny wynosiły około 1% produktu krajowego brutto. Przy tak niskim budżecie inwestycje w sprzęt wojskowy były bardzo ograniczone, bo większość środków wydawano na bieżące utrzymanie armii.

István Simicskó, węgierski minister obrony, postanowił to zmienić i 20 grudnia 2016 roku ogłosił rozpoczęcie dziesięcioletniego programu modernizacji sił zbrojnych i systemu obronnego państwa. Zapowiedział, że każdego roku nakłady na obronę będą zwiększane o 0,1% PKB, tak by osiągnąć zalecany przez NATO poziom 2% PKB. Polityk nie ujawnił jednak, jaką kwotę planuje się przeznaczyć na realizację programu „Zrinyi 2026”.

LOTNICZE PRIORYTETY

Od połowy lat dziewięćdziesiątych XX wieku węgierskie lotnictwo wojskowe, oprócz 14 gripenów pozyskanych w trybie leasingu, nie dostało żadnego nowego samolotu. Dlatego za jeden z priorytetów modernizacji technicznej minister uznał zakup nowych maszyn transportowych, by zastąpić nimi ponadczterdziestoletnie



MO WĘGIER

An-26. W latach 1974–1976 do węgierskich sił powietrznych trafiło dziesięć antonowów. W 2004 roku natomiast na Ukrainie dokupiono jedenasty. Upływ czasu spowodował, że w linii pozostało zaledwie pięć maszyn, których używa eskadra samolotów transportowych stacjonująca w 59 Bazie Lotnictwa Taktycznego w Kecskemécie. Szef resortu obrony ujawnił, że bezpieczeństwo lotów antonowami jest zagrożone. Zapowiedź zakupu następcy An-26 jest bardzo ogólnikowa. Minister Simicskó nie wykluczył, że mogą to być maszyny używane. Nie wiadomo jednak, ile transportowców zostanie zamówionych.

Bardziej zaawansowany jest program wymiany samolotów do szkolenia podstawowego. Jaki-52 są ostatnimi nowymi maszynami szkolnymi, które dostali węgierscy piloci. W 1994 roku na Węgry trafiło 12 samolotów tego typu wyprodukowanych na rosyjskiej licencji w Rumunii, ale po ponad 20 latach eksploatacji w eskadrze szkolnej stacjonującej w Szolnoku pozostały zaledwie trzy maszyny. Pierwszą z nich stracono 13 listopada 2003 roku, kiedy w katastrofie zginęli dwaj piloci. Kolejny samolot



Minister obrony Węgier
István Simicskó

OGŁOSZENIE PLANU MODERNIZACJI „ZRINYI 2026” OZNACZA,

ŻE NA WĘGRZECH ZMIENIA SIĘ PODEJŚCIE DO SPRAW OBRONNOŚCI

25 czerwca 2015 roku zapalił się w czasie lotu szkoleniowego. Pilotom udało się awaryjnie wylądować na lotnisku, ale jeden z nich został dotkliwie poparzony. Inne maszyny natomiast wycofano ze służby.

Z samolotami szkolnymi jest mimo wszystko lepiej niż z transportowymi, bo wybrano już następcę jaka-52. Tyle że nowe maszyny mają być wykorzystywane do zadań zarówno szkoleniowych, jak i kurierskich. W sierpniu 2016 roku ministerstwo obrony potwierdziło, że



MICHAŁ ZIELIŃSKI

Węgierskie śmigłowce: na pierwszym planie Mi-17, a w tle AS 350

WZMACNIANIE REZERW

Minister obrony Węgier István Simicskó planuje rozbudowę rezerw osobowych. Podał, że teraz jest 5500 rezerwistów i w przyszłości może okazać się, że to za mało. Dlatego rozbudowana ochotnicza rezerwa ma być zorganizowana terytorialnie. Przewidziano też system motywacyjny (m.in. stypendia dla studentów), zachęcający do wstępowania w jej szeregi.

w Czechach kupiono po dwa samoloty Zlin Z-242 L i Z-143 LS. Nie pierwszy raz węgierscy piloci będą latali na czeskich maszynach, bo w latach 1976–2002 tamtejsze siły powietrzne miały cztery zliny Z-43.

ŚMIGŁOWCOWE ZAWIROWANIA

Ważne miejsce w planach modernizacyjnych parku lotniczego zajmują śmigłowce. Po wycofaniu ze służby desantowo-szturmowych Mi-24 węgierskie lotnictwo dysponuje tylko batalionem maszyn transportowych, wchodzącym w skład 86 Bazy Śmigłowców w Szolnok. Przy czym ta jednostka ma zaledwie około dziesięciu Mi-8 i Mi-17, które realnie stanowią tylko eskadrę.

Wielokrotnie w przeszłości pojawiały się zapowiedzi zakupu śmigłowców, ale najczęściej wszystko kończyło się na deklaracjach. Rok temu wydawało się co prawda, że wkrótce węgierscy piloci dostaną nowe maszyny. W styczniu 2016 roku agencja prasowa Sputnik, na podstawie informacji z Centrum Analiz Światowego Handlu Bronią, podała bowiem, że Węgry chcą kupić w Rosji około 30 egzemplarzy Mi-17. Wartość tej transakcji →

SPORT DLA OBRONNOŚCI

szacowano na 142 mld forintów, czyli około 490 mln dolarów. Szczegóły w sprawie śmigłowców Victor Orban miał ustalić bezpośrednio z Władimirem Putinem, ale w lutym 2016 roku, w czasie wizyty szefa węgierskiego rządu w Moskwie, ogłoszono, że Budapeszt nie kupi rosyjskich maszyn. Orban podjął taką decyzję pod presją przywódców Unii Europejskiej. Teraz znowu pojawiła się szansa na nowe śmigłowce, ale podobnie jak w przypadku samolotów transportowych, nie wiadomo, jakie maszyny zostaną zamówione i ile ich będzie.

Ze względu na wieloletni brak strategicznych decyzji w sprawie wymiany floty śmigłowców, dysponujące ograniczonymi środkami finansowymi węgierskie lotnictwo wojskowe uciekało się do prowizorycznych rozwiązań. Znaczącym wsparciem było przekazanie przez Finlandię dwóch używanych Mi-8T, które weszły do służby w grudniu 2011 roku. Inną transakcją był zakup w lutym 2014 roku w Rosji trzech zmodernizowanych Mi-8T za 3 mld forintów, czyli wówczas 9,7 mln euro. Maszyny postanowiono przeznaczyć na potrzeby reagowania kryzysowego i misji poszukiwawczo-ratowniczych. Podjęto również decyzję o remoncie czterech Mi-17. W lipcu 2016 roku węgierski resort obrony podpisał umowę w tej sprawie z rosyjskim holdingiem Wiertalioty Rossii.

Jednym z ostatnich posunięć mających poprawić sytuację w węgierskim lotnictwie śmigłowcowym było przejście w maju 2016 roku dwóch lekkich jednosilnikowych AS350 Écureuil, które zamierzano wykorzystać do zadań szkoleniowych. Po wycofaniu przed kilkunastu laty Mi-2 węgierskie lotnictwo zostało bowiem bez szkolnych śmigłowców. Tyle że te „nowe” maszyny mają po około 30 lat. Wcześniej służyły pilotom węgierskiego lotniczego pogotowia ratunkowego, ale jesienią 2014 roku trzeba było je wycofać ze względu na przepisy obowiązujące w Unii Europejskiej.

ENIGMATYCZNE ZAPOWIEDZI

Węgierski program modernizacyjny ma objąć również naziemną obronę powietrzną. W tym sektorze nie ma większych problemów z przeciwlotniczymi zestawami raketowymi bardzo krótkiego zasięgu, bo Węgrzy mają przenośne zestawy Strzała i Igła oraz podwójne wyrzutnie Mistral, zamontowane na terenowych ciężarówkach Mercedes Unimog. Przy czym, według

Pomysłem na proobronne zaktywizowanie społeczeństwa jest decyzja o utworzeniu pod auspicjami ministerstwa obrony Federacji Sportów Obronnych. Resort zamierza aktywnie wspierać dyscypliny sportowe przydatne dla obronności. Jednocześnie federacja ma pomóc w pogłębieniu kontaktów wojska ze społeczeństwem.



zapowiedzi ministra, mistrale, które posiada 2 Grupa Rakiet Przeciwlotniczych w 12 Pułku Rakietowym Obrony Powietrznej, mają zostać zmodernizowane.

Zdecydowanie gorzej jest z systemami obrony powietrznej średniego zasięgu. 1 Grupa Rakiet Przeciwlotniczych 12 Pułku ma sowieckie zestawy krótkiego zasięgu 2K12 Kub, których Węgrzy używają od lat siedemdziesiątych XX wieku.

Teraz mają do dyspozycji 12 samobieżnych wyrzutni, które zostały zmodernizowane we współpracy z Polską. Konieczne są zatem nowe systemy obrony powietrznej średniego zasięgu. Pojawiają się informacje, że plany zakupu tego sprzętu mają związek ze staraniami o organizację igrzysk olimpijskich w Budapeszcie w 2024 roku.

Niewiele też wiadomo o modernizacji technicznej wojsk lądowych. Jest to o tyle niepokojące, że ten rodzaj sił zbrojnych już dawno nie otrzymał nowego uzbrojenia. Ostatnim większym nabytkiem po zimnej wojnie były kołowe transportery opancerzone. Węgierskie wojska lądowe w latach 1996–1999 dostały z Rosji 437 wozów BTR-80 i 170 sztuk BTR-80A. W ten sposób Moskwa spłaciła długi wobec Węgier zaciągnięte jeszcze w czasach ZSRR.

Minister obrony przy okazji planów modernizacyjnych wspominał tylko o remontach i wymianie sprzętu sapersko-pontonowego. Prawdopodobnie chodzi m.in. o znalezienie następców dla kilkudziesięciu pływających transporterów PTSM-2. W kraju, przez który przepływają takie wielkie rzeki, jak Dunaj, Cisa czy Drawa, zdarzają się powodzie i wówczas sprzęt tego typu jest niezwykle przydatny. Węgierskiej armii potrzebne są też nowe parki pontonowe.

Ogłoszenie planu modernizacji „Zrinyi 2026” oznacza, że na Węgrzech zmienia się podejście do spraw obronności. Do niedawna panowało tam przekonanie, że jeśli kraj za sąsiadów ma w większości państwa należące do NATO i Unii Europejskiej, to jest bezpieczny. Konflikt na Ukrainie i kryzys z uchodźcami były jednak sygnałami ostrzegawczymi, które podważyły to założenie. Stwierdzono, że świat staje się coraz bardziej niestabilny, więc trzeba rozbudowywać potencjał obronny. ■

POLSKA ZBROJNA
POLSKA ZBROJNA HISTORIA
PRZEGLĄD SIŁ ZBROJNYCH
KWARTALNIK BELLONA
POLSKA-ZBROJNA.PL

REKLAMUJ SIĘ W NA- SZYCH CZASO- PISMACH



Oferta reklamowa dostępna na
www.polska-zbrojna.pl

WOJSKOWY
INSTYTUT WYDAWNICZY

wiw
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

TOMASZ OTŁOWSKI

Przedwczesne doniesienia o śmierci

Seria klęsk dotknęła Państwo Islamskie, zarówno w wymiarze militarnym, jak i ideologicznym. Czy ta zbrodnicza struktura ostatecznie przejdzie do historii?

Rok 2016, zwłaszcza jego ostatni kwartał, z pewnością nie zapisze się pozytywnie w dziejach samowznieszonego kalifatu, powołanego do życia przez Państwo Islamskie (IS) ponad dwa lata temu na części terytoriów Syrii i Iraku. Seria spektakularnych porażek militarnych, poniesionych przez islamistów zarówno w krajach Lewantu, jak i w innych regionach świata, gdzie kalifat ustanowił swe prowincje, znacznie podkopła polityczny wizerunek tej organizacji i osłabiła jej zdolności operacyjne. Myliłby się jednak ten, kto pochytywałby tę sytuację za oznakę zbliżającego się końca kalifatu. Wszystko bowiem wskazuje na to, że upłynie jeszcze dużo czasu, zanim ta zbrodnicza struktura ostatecznie przejdzie do historii.

SERIA KLĘSK

Zła passa kalifatu zaczęła się już u schyłku 2015 roku, gdy pod koniec grudnia padły ostatnie punkty oporu bojowników IS w Ar-Ramadi, stolicy irackiej prowincji Al-Anbar – tego owianego złą sławą matecznika sunnickiego ruchu oporu i ugrupowań dżihadystycznych, który po 2003 roku przysporzył wiele problemów Amerykanom. Ta porażka Państwa Islamskiego miała, jak się już wkrótce okazało, wymiar militarny, przede wszystkim jednak symboliczny. I to nie tylko ze względu na znaczenie samego miasta, jako głównego przed wojną ośrodka administracyjnego, politycznego i społeczno-ekonomicznego irackich sunnitów.

Upadek Ar-Ramadi, odbitego po długotrwałych i krwawych bojach przez zdominowane przez szyitów siły rządowe, stanowił również początek kolejnych klęsk militarnych kalifatu w Iraku i Syrii. O ile wcześniej, w 2015 roku, Państwo Islamskie traciło przede wszystkim mniej znaczące strategicznie ośrodki, położone z re-

gowały na terenach pustynnych, o tyle począwszy od utraty Ar-Ramadi, kalifat zaczął ponosić znacznie boleśniejsze porażki. Ostatecznie po serii klęsk IS kontrolowało już zaledwie połowę obszaru, należącego do władztwa kalifa w szczycie jego potęgi, czyli u schyłku 2014 roku.

Największe straty terytorialne dotknęły kalifat w ciągu minionych kilkunastu miesięcy w Iraku. Najpierw, w maju 2016 roku, siły rządowe odbiły miasteczko Ar-Rutbah, położone na dalekim zachodzie prowincji Al-Anbar. Ze strategicznego i politycznego punktu widzenia jest ono niezwykle ważnym ośrodkiem, znajduje się bowiem na jedynym lądowym szlaku transportowo-komunikacyjnym z Jordanią. Ponadto ma olbrzymie znaczenie w polityce klanowej irackiej społeczności sunnickiej. Przy czym to właśnie miejscowe klany sunnickie walczyły o odzyskanie Ar-Rutbah, kiedy wiosną 2016 roku wywołały bunt przeciwko represyjnej polityce lokalnych struktur IS.

Kolejną bolesną stratą dla Państwa Islamskiego w Iraku było – i to już zaledwie miesiąc później – odbicie przez siły rządowe Al-Falludży. Miasto – słynne z buntowniczej postawy mieszkańców w okresie obecności w Iraku sił amerykańskich (2003–2011) i wsparcia dla ruchów odwołujących się do radykalnego islamu – 26 czerwca 2016 roku zostało ostatecznie opanowane przez armię iracką i sunnickie formacje, wchodzące w skład milicji ludowych Al-Hashd al-Shaabi. Dzisiaj wiele wskazuje na to, że Al-Falludża ostatecznie przestanie być ośrodkiem sunnickiego buntu, bo nie ma tam jego dawnych mieszkańców. Wygnani podczas odbijania miasta sunnici wciąż nie mogą





wrócić do domów, znajdujących się obecnie w strefie wojennej. Tak naprawdę nie mają jednak do czego wracać: miasto zostało zrównane z ziemią w niemal 90%, a szumnie zapowiadane rządowe programy odbudowy wciąż istnieją jedynie na papierze.

W październiku 2016 roku ruszyła też dawno wyczekiwana ofensywa na Mosul – przed wojną drugie co do wielkości miasto Iraku, a obecnie główny ośrodek wojskowo-polityczny w irackiej części kalifatu. Już kilkanaście tygodni od rozpoczęcia tej operacji irackim siłom rządowym, wspieranym przez formacje kurdyjskie, udało się odbić wiele miasteczek i miejscowości wokół Mosulu, od ponad dwóch lat okupowanych przez IS. Symboliczny wymiar miał przy tym fakt, że większość z tych osad to historyczne ośrodki kultu bliskowschodnich rytów chrześcijańskich (znacznie starszych od islamu, bo istniejących tam nieprzerwanie od niemal 2 tys. lat), które tak zażarcie zwalcza kalifat.

Choć tempo działań w ramach ofensywy na Mosul pod koniec 2016 roku znacznie spadło, to nie ulega wątpliwości, że jest tylko kwestią czasu, kiedy całe miasto z jego rozległymi przedmieściami ostatecznie znajdzie się w rękach sił rządowych. Dla islamistów utrata Mosulu będzie oznaczać faktyczny koniec irackiej części kalifatu – pozostaną im już tylko skrawki irackiego terytorium, gdzieś na obrzeżach obszarów o żywotnym znaczeniu. Będzie to w istocie także koniec marzeń o budowie prawdziwego państwa islamskiego, które nie może przecież istnieć bez terenów będących kiedyś częścią Kalifatu Bagdadzkiego dynastii Abbasydów.

IDEOLOGICZNE BASTIONY

Z całą pewnością nie będzie to jednak koniec obecnego kalifatu jako takiego, również w wymiarze terytorialnym. W Syrii na razie los jest bowiem znacznie łaskawszy dla IS, choć i tu ugrupowanie to ponosi dotkliwe straty terytorialne. Największą porażką okazała się niespodziewana utrata, niemal bez walki, miasteczka Dabik w północnej Syrii, położonego tuż przy granicy z Turcją. Pozornie niczym niewyróżniające się spośród tysięcy innych zajętych przez IS w Syrii czy Iraku i niemające żadnego bezpośredniego znaczenia militarnego – było ono miejscem, z którego płynęła esencja ideologii Państwa Islamskiego, służącym do teologicznego uzasadnienia powołania i istnienia kalifatu. To tu, według niektórych eschatologicznych pro- roctw muzułmańskich, „u końca czasów” dojdzie do ostatecznej bitwy muzułmanów ➔

PK / DZIAŁ GRAFICZNY, WALDEMARUS / FOTOLIA

z niewiernymi. Odbicie jesienią 2016 roku tego miasta przez syryjskich rebeliantów wspieranych przez Turcję było zatem dla Państwa Islamskiego ciosem znacznie boleśniejszym niż strata głównych bastionów w Iraku.

Koniec 2016 roku przyniósł kalifatowi również utratę ostatnich terenów łączących jego dominium w Syrii z Turcją. To połączenie – u samego zarania kalifatu rozciągające się niemal na połowę długości granicy syryjsko-tureckiej – miało dla niego niezwykle duże znaczenie strategiczne. Z jednej strony umożliwiało transport z zagranicy, na tereny kontrolowane przez islamistów, wojskowego zaopatrzenia, broni, rekrutów (ochotnicy dżihadu z Zachodu), funduszy czy różnego rodzaju dóbr (od luksusowej żywności czy sprzętu AGD po nowe pick-upy znanych marek japońskich, przerabiane później na osławione „technicalsy”). Z drugiej zaś dostęp do zadziwiająco nieszczelnej granicy z Turcją dawał np. sposobność codziennego „eksportu” tysięcy baryłek ropy naftowej, wydobywanej chałupniczymi metodami na terenach Syrii i Iraku, co bardzo długo przynosiło kalifatowi krociowe zyski. Tą samą drogą odbywał się też transport skradzionych w tych krajach artefaktów archeologicznych i dóbr zrabowanych np. chrześcijanom. Zdobycie przez rebeliantów z Wolnej Armii Syryjskiej (przy znacznej pomocy tureckiego kontyngentu interwencyjnego) ostatniego kontrolowanego jeszcze przez IS odcinka pogranicza, pomiędzy miastami Azaz na zachodzie a Dżarabulus na wschodzie (ok. 100 km długości), musiało być dla kalifatu niezwykle bolesne.

Islamistów spod czarnych sztandarów kalifa równie mocno zabolęła utrata miasta Manbidż w północnej Syrii. Latem 2016 roku oddziały Syryjskich Sił Demokratycznych (Syrian Democratic Forces – SDF) – złożone z członków lokalnych społeczności arabskich, chrześcijańskich i kurdyjskich – bez większych walk przejęły kontrolę nad całym regionem wokół tego kluczowego miasta rozciągającym się na zachodnim brzegu Eufratu. Szybko zresztą stało się to kością niezgody w relacjach między tymi lokalnymi społecznościami etnicznymi i wyznaniowymi – opozycyjnymi zarówno wobec Damaszku, jak i kalifatu – a Turcją, coraz mocniej angażującą się w sprawy syryjskie. Dziś nie ulega już wątpliwości, że to właśnie zajęcie przez



UN OCHA

TERYTORIUM PAŃSTWA ISLAMSKIEGO SZYBKO SIĘ KURCZY, PODOBNIEM JAK LICZBA LUDNOŚCI PODDANEJ JEGO WŁADZY I PRAWODAWSTWU

siły SDF regionu Manbidż wczesnym latem 2016 roku pchnęło Turcję do podjęcia bezpośredniej interwencji lądowej w Syrii. Był to krok, przed którym Ankara się wzbraniała, przynajmniej tak długo, jak długo w jej sztabie generalnym dominowali doświadczeni generałowie, niechętni radykalnej linii politycznej rządu Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (Adalet ve Kalkınma Partisi – AKP) prezydenta Recep Tayyipa Erdoğan. To jednak zmieniło się po nieudanym puczu, w wyniku którego turecka armia została poddana czystkom o skali niespotykanej w jej nowożytnej historii. Nowi oficerowie nie widzieli natomiast już nic złego w tym, aby podjąć próbę bezpośredniego „pomieszczenia w syryjskim kotle”. Tym samym operacja „Tarcza Eufratu” w ciągu kilku miesięcy doprowadziła do wspomnianych wcześniej porażek IS pod Dabik oraz na granicy z Turcją, a pod koniec 2016 roku siły tureckie i syryjskich rebeliantów obległy ostatni już duży bastion kalifatu w północnej Syrii – miasto Al-Bab.

Równolegle do tych niekorzystnych dla Państwa Islamskiego wydarzeń na północnosyryjskim teatrze działań wczesną jesienią 2016 roku ruszyła ofensywa połączonych formacji SDF i Oddziałów Ludowej Samoobrony syryjskich Kurdów (Yekîneyên Parastina Gel – YPG), wymierzona bezpośrednio w samowznaczącą stolicę kalifatu – Ar-Rakkę. I choć już po kilku tygodniach operacja ta utknęła w miejscu ze względu na fanatyczny wręcz

opór islamistów, to jej propagandowe i psychologiczne znaczenie w wojnie z IS było niebagatelne. Walki na tym froncie trwają nadal, z intensywnym wsparciem lotnictwa USA i innych państw wchodzących w skład koalicji zwalczającej kalifat.

PODUPADŁE PROWINCJE

Dla uzyskania pełnego obrazu trudnej sytuacji strategicznej Państwa Islamskiego należy też wspomnieć o problemach militarnych w innych częściach świata, np. w Afryce. Jeszcze rok temu prężnie rozwijająca się kolonia kalifatu w Libii, uważana nawet za potencjalnie alternatywą dla Lewantu lokalizację głównej siedziby IS, dziś ma poważne kłopoty: pod koniec 2016 roku padła Syrta, czyli główny bastion libijskich islamistów spod znaków kalifa, a inne ośrodki Państwa Islamskiego w Afryce Północnej poddawane są coraz większej presji militarnej i ich ostateczny upadek wydaje się jedynie kwestią czasu.

Także najbardziej radykalne z afrykańskich odgałęzień kalifatu – nigeryjska organizacja Boko Haram – jest coraz skuteczniej zwalczane przez siły zbrojne Nigerii, wspierane przez Amerykanów, Brytyjczyków i Francuzów.

W ostatnich miesiącach nie wiedzie się również bojownikom w innych ośrodkach kalifatu, w prowincjach (wilajetach) w Jemenie, Afganistanie czy na Filipinach. Muszą tam mierzyć się z coraz większymi trudnościami operacyjnymi, skazującymi je na ciągłe trwanie w defensywie.

Wojna z kalifatem bez wątpienia byłaby łatwiejsza i o wiele krótsza, gdyby wszystkie zaangażowane w nią podmioty – zarówno państwa, jak i organizacje międzynarodowe lub subnarodowe – podchodziły do zwalczania IS w pełni poważnie. Niestety, wyraźnie widać, że dla wielu regionalnych rozgrywających (lub stojących za nimi patronów i sponsorów) istnienie kalifatu jest czymś wręcz pozytywnym, bo angażuje siły ich ideologicznych lub religijnych przeciwników. Mało kto jest więc szczerze zainteresowany całkowitą, ostateczną likwidacją Państwa Islamskiego. Wiele pozornie niezrozumiałych działań Arabii Saudyjskiej, Kataru, Turcji, USA czy Rosji, ale także Iranu, reżimu w Damaszku, a nawet Izraela czy samych Kurdów (głównie irackich) można wyjaśnić, jeśli spojrzeć się właśnie z takiej perspektywy. Okazuje się przy tym, że IS – choć stanowi ogromne zagrożenie dla wszystkich w regionie – coraz częściej jest jednocześnie wykorzystywane jako nieformalne narzędzie pośredniej konfrontacji lub strategicznego nacisku w regionalnych, lokalnych rozgrywkach geopolitycznych.

Jak widać, po niemal trzech latach od powstania Państwa Islamskiego nadeszły dla niego trudne czasy. Jego terytoria szybko się kurczą, podobnie jak liczba ludności

poddanej jego władzy i prawodawstwu. Nie oznacza to jednak, że koniec rządów kalifa Ibrahima lub któregośkolwiek z jego ewentualnych następców jest bliski. Państwo Islamskie to wciąż przede wszystkim organizacja terrorystyczna i jako taka jest zdolna do zadawania potężnych asymetrycznych uderzeń w dowolnym miejscu Bliskiego Wschodu, zwłaszcza w Iraku. Dowodem niech będą akcje IS w Kirkuku (tuż po rozpoczęciu ofensywy na Mosul) czy ciągłe ataki terrorystyczne w sercu szyickich regionów Iraku (Samarra, Karbała, Bagdad). Przy czym w stricte militarnym wymiarze kalifat też wciąż bywa zaskakująco efektywny, czego przykładem jest, dokonany w starym stylu IS (zagonami „technicalsów”), atak na Palmirę i jej ponowne odbicie z rąk rządowych sił syryjskich oraz rosyjskich i irańskich w połowie grudnia 2016 roku. To niewielkie w sensie militarnym, ale olbrzymie pod względem symbolicznym i propagandowym, zwycięstwo sił kalifa pokazuje, że Państwo Islamskie wciąż jest w stanie – pomimo nominalnych i realnych klęsk, ponoszonych na wielu frontach – zadawać swoim nieprzyjaciółom poważne straty i lokalnie odnosić sukcesy, które nie odwrócą toku całej wojny, ale mogą znacznie opóźnić jej ostateczny koniec.

SIŁA W WYZNAWCACH

Warto również w tym kontekście pamiętać, że kalifat w wydaniu Państwa Islamskiego to przede wszystkim koncepcja ideologiczno-polityczna. Ponadterytorialna, ponadczasowa i tym samym nieśmiertelna – przynajmniej tak długo, jak długo znajdują się ludzie, wyznawcy Allaha, chcący ją akceptować i współtworzyć. A tacy żyją głównie wśród coraz liczniejszych muzułmańskich społeczności osiadłych na Zachodzie. To osoby doświadczające bolesnego rozdarcia między otaczającą je na co dzień rzeczywistością wolnych, liberalnych obyczajowo demokratycznych państw zachodnich a doktryną społeczno-polityczną tradycyjnego islamu. Wokół siebie widzą oni zdemoralizowanych i bezbożnych ludzi zachodniego świata, więc przemawiają do nich hasła o konieczności niesienia wśród niewiernych oczyszczającego ognia islamskiej świętej wojny.

Przykładem takich muzułmańskich bożych bojowników nowej generacji był Anis Amri, zamachowiec z Berlina i zabójca polskiego kierowcy – człowiek o nieprzeciętnej inteligencji i uzdolnieniach, świetnie rozumiejący mentalność i sposób funkcjonowania współczesnych społeczeństw Zachodu oraz obeznany z nowinkami technicznymi współczesnej cywilizacji. To tacy jak on poniosą w przyszłość ideę kalifatu Państwa Islamskiego, także wtedy gdy struktura ta straci już swój ostatni terytorialny wymiar gdziekolwiek na świecie. ■



TADEUSZ WRÓBEL

SPÓR O LAKOTY

Rywalizacja między dwoma europejskimi producentami śmigłowców utrudnia wymianę szkolnych maszyn w armii amerykańskiej.

U.S. ARMY

Siłły lądowe Stanów Zjednoczonych (US Army) złożyły apelację do Sądu Odszkodowań Federalnych (US Court of Federal Claims), zajmującego się roszczeniami finansowymi wobec rządu USA, w sprawie wyroku sądu niższej instancji z 15 sierpnia 2016 roku, który nakazał wstrzymać zakup 16 lekkich śmigłowców wielozadaniowych UH-72A Lakota. Wyrok był reakcją na pozew złożony do wymiaru sprawiedliwości przez włoskiego producenta śmigłowców AgustaWestland (obecnie Leonardo Helicopters Division). Włosi nie zgadzają się na kontynuację zakupów bez przetargu maszyn produkowanych przez konkurenta, czyli Airbus Helicopters.

SPEKTRUM ZADAŃ

Dwusilnikowy śmigłowiec UH-72A Lakota, który zaprojektowano według wymagań amerykańskich wojsk lądowych, jest wersją maszyny H145 (w momencie wyboru mającej oznaczenie EC 145). Przed ponad dziesięciu laty Airbus Helicopters, działający wówczas w USA pod nazwą EADS North America, wygrał przetarg na lekki śmigłowiec wielozadaniowy dla wojsk lądowych i Gwardii Narodowej Armii (Army National Guard). Miał zastąpić UH-1H/V Iroquois i OH-58A/C Kiowa. W lądówce uznano, że do zadań logistycznych i związanych ze wsparciem misji na terenie kraju wystarczy mniejsza, a zarazem o wiele tańsza konstrukcja niż UH-60 Black Hawk. Gwardia Narodowa potrzebowała z kolei nowego sprzętu w misjach związanych z bezpieczeństwem wewnętrznym – do użycia w razie katastrof oraz do ewakuacji medycznej.

30 czerwca 2006 roku US Army ogłosiła, że przetarg wygrał EADS North America. Wojskowi zamierzali zakupić 322 lekkie śmigłowce, ale szybko zwiększono tę liczbę do 345. Koszty transakcji szacowano wtedy na 2 mld dolarów. Wstępny kontrakt dotyczył ośmiu maszyn za 43,1 mln dolarów. Pierwszą przekazano US Army w grudniu 2006 roku, a pozostałe siedem do lipca 2007.

Do producenta zaczęły trafiać kolejne zamówienia i w grudniu 2009 roku miał już dostarczyć 178 maszyn, a 19 maja 2014 roku US Army postanowiła zwiększyć docelowy zakup UH-72A do 427 egzemplarzy. Do 21 marca 2016 roku otrzymała 352 z dotychczas zamówionych 412 lakot. Wartość zamówień wyniosła już około 3,2 mld dolarów.

Tymczasem amerykańska marynarka wojenna zainteresowała się śmigłowcami europejskimi. W październi-

ku 2008 roku US Navy kupiła pięć maszyn do szkolenia dla Naval Test Pilot School w Patuxent River w stanie Maryland. Kilka lat później również US Army postanowiła wykorzystać lakoty do takich zadań. Tyle że w 2013 roku po wielkich cięciach w wydatkach na obronę lądówka musiała przeprowadzić przegląd swoich zasobów lotniczych. W 2013 roku powstała inicjatywa restrukturyzacji lotnictwa (aviation restructure initiative – ARI), zgodnie z którą zdecydowano o wycofaniu z amerykańskiej armii śmigłowców wszystkich wersji, dla których platformą był Bell 206 JetRanger, czyli OH-58A/C Kiowa, OH-58D Kiowa Warrior i TH-67 Creek.

US ARMY LICZY NA KORZYSTNY WYROK SĄDU ODSZKODOWAŃ FEDERALNYCH, KTÓRY POZWOLI WZNOWIĆ ZAKUPY SZKOLNYCH LAKOT

Kwestia następców OH-58A/C i UH-1 była już przesądzona. Rozpoznawcze OH-58D postanowiono zastąpić szturmowymi AH-64 Apache, które mają współdziałać z dronami. Producenci liczyli na to, że na maszyny mające zastąpić używane od 1993 roku szkolne TH-67, będące wersją śmigłowca Bell 206B JetRanger III, zostanie rozpisany przetarg. Szybko jednak się rozczarowali, bo początkowo US Army chciała przystosować do celów szkoleniowych sto własnych

maszyn i kolejnych sto odebranych Gwardii Narodowej. Gwardziści nie zgodzili się jednak na taki pomysł, ponieważ w wyniku tej restrukturyzacji musieli oddać część śmigłowców AH-64.

RYWALE PROTESTUJĄ

W lipcu 2014 roku pojawiły się informacje o planach zakupu setki nowych maszyn za 800 mln dolarów, ale dwa miesiące później US Army poinformowała, że zamierza nabyć do 155 sztuk UH-72A (wielkość floty szkolnej była jeszcze weryfikowana). Przeciwno bezprzetargowej procedurze zakupu następcy TH-67 od Airbusa zaprotestowały inne firmy lotnicze – amerykański Bell Helicopter i włoska AgustaWestland. Obie uczestniczyły wcześniej w przetargu, który wygrał UH-72A – Włosi zgłosili wówczas AW 139, a Bell dwa typy – 210 i 412. Czwartym konkurentem w tej rywalizacji był McDonnell Douglas Helicopters, proponujący MD Explorer.

Po prawie dziesięciu latach od rozstrzygnięcia tego przetargu dwie firmy zapewniały, że mają w swej ofercie śmigłowce spełniające wymagania US Army, a jednocześnie tańsze od UH-72A. Według US Army, bardziej opłacalne jest wykorzystanie śmigłowców jednego typu do różnorodnych zadań.





U S A R M Y

DWUSILNIKOWY ŚMIGŁOWIEC UH-72A LAKOTA ZAPROJEKTOWANO NA PODSTAWIE WYMAGAŃ AMERYKAŃSKICH WOJSK LĄDOWYCH

19 września 2014 roku AgustaWestland wystąpiła do sądu federalnego o zablokowanie transakcji z Airbusem. Sędzia nie wydał wtedy wyroku, tylko zażądał od włoskiej firmy uzupełnienia dokumentacji. Równoległe do sądu trafił rządowy dokument informujący, że w kontrakcie z 2006 roku był uwzględniony wariant umożliwiający armii zakup od 352 do 500 lakot w ciągu dziesięciu lat.

Tymczasem US Army kontynuowała zamówienia szkolnych maszyn. Pierwszą nową lakotę armia dostała w marcu 2015 roku, ale kiedy ogłosiła, że chce zamówić 16 kolejnych, Włosi złożyli do sądu skargę uzupełnioną o nowe zarzuty. Twierdzili, że umowy z 2006 roku nie można odnieść do zakupu kolejnych UH-72A, US Army nie przygotowała odpowiedniego planu kupna nowego śmigłowca szkolnego, a tryb, w jakim dokonano zakupu, ograniczył wolną konkurencję. Po kilku miesiącach w sądzie pierwszej instancji zapadł wyrok korzystny dla włoskiej firmy.

PRAWNE KRUCZKI

US Army znalazła się wtedy w kłopotliwej sytuacji. Sędzia wskazał bowiem wojskowym kilka rozwiązań, m.in. zalecił zaprzestanie zakupu nowych maszyn, ogłoszenie przetargu na szkolne śmigłowce lub poprawienie dokumentu uzasadniającego zawarcie umowy przez podmiot federalny, niezbędnego podczas zawieraniu transakcji niebędącej efektem otwartego przetargu.

Prawnicy armii przygotowali apelację, w której zarzucili sędziemu, że przekroczył swoje kompetencje. Jedną z podniesionych przez nich kwestii jest zawężenie

definicji sformułowania „kolejny kontrakt”, co stoi w sprzeczności z wieloletnimi ramami regulacyjnymi federalnego prawa o zamówieniach (Federal Acquisition Regulation). Taka interpretacja utrudniałaby, według nich, wykonanie długoterminowych zamówień wielu rządowym agencjom. Sąd nie powinien też oceniać sposobu użycia śmigłowców przez US Army, bo taki precedens – według prawników – otworzyłby drogę do oceny każdej decyzji dotyczącej zamówień. Nie powinien też poddawać ocenie wyboru do szkolenia śmigłowca dwusilnikowego zamiast jednosilnikowego. Sprawą sporną jest również zakwestionowanie przez sąd wskazanego przez wojskowych czasu potrzebnego do wprowadzenia do służby zupełnie nowej maszyny, innego dostawcy. Ponadto wojskowi prawnicy zarzucili sądowi, że nadmierną aktywnością (żądania dodatkowych materiałów i ich analizowanie) wszedł w rolę prokuratora, co jest niedopuszczalne w amerykańskim prawie.

US Army liczy na korzystny wyrok Sądu Odszkodowań Federalnych, który pozwoli wznowić zakupy szkolnych lakot. W połowie 2016 roku w ośrodku szkolenia lotniczego armii – US Army Aviation Center of Excellence w Fort Rucker w Alabamie – było 91 egzemplarzy UH-72A. W materiale sądowym z sierpnia 2016 roku pojawiła się informacja, że US Army oprócz wspomnianej szesnastki lakot chciałaby zamówić jeszcze 97 tych maszyn. Najwięcej, 62 sztuki, miałyby zastąpić taką samą liczbę UH-60A. Kolejnych 18 wprowadzono by zamiast leciwych OH-58A/C, a 17 pozostałych trafiłoby do Fort Rucker. ■



TADEUSZ WRÓBEL

Wyeksmitowany dyktator



Niekiedy władza leży na ulicy. Tak przynajmniej się zdarzało w uzyskujących niepodległość koloniach afrykańskich. Sięgali po nią wówczas na Czarnym Lądzie wojskowi. I nie było w tym nic niezwykłego, ponieważ odziedziczone zwykle po rządach kolonialnych siły zbrojne czy paramilitarne były najlepiej zorganizowaną strukturą państwową. Jednak trzeba pamiętać, że w Afryce ciągoty do autorytaryzmu nie były obce również cywilnym przywódcom, często dawnym bohaterom walk z kolonizatorami.

Zamachy wojskowe zdarzają się coraz rzadziej, gdyż nie ma na nie przyzwolenia politycznego ze strony społeczności międzynarodowej. Niemniej jednak u władzy nadal są politycy, którzy zdobyli ją w ten sposób. Niektórzy po kilkudziesięciu latach czują się na tyle mocni, że próbują legitymizować swe dalsze rządy, zwłaszcza na arenie międzynarodowej, poprzez demokratyczne wybory. Jak przekonał się niedawno prezydent Jahii Jammeh, rządzący zachodnioafrykańską Gambią od zamachu wojskowego w 1994 roku, taka próba bywa obciążona sporym ryzykiem. Otóż przekonanie otoczonego pochlebcami dyktatora, że jest niezwykle popularny wśród społeczeństwa, rozmija się ze skrywanymi głęboko odczuciami rodaków. Nie od dziś wiadomo, że żyjący pod dyktaturą ludzie nie ujawniają swych poglądów politycznych, gdyż mogłoby to być dla nich niebezpieczne. Dlatego wyniki wyborów w takich państwach mają się zwykle nijak do przedwyborczych sondaży. Grudniową elekcję w Gambii wygrał kandydat opozycji Adama Barrow. Zaskoczony Jammeh nie chciał oddać władzy i zaczął grać na czas. Gambijski dyktator domagał się powtórzenia wyborów, twierdząc, że w ich trakcie doszło do nieprawidłowości.

Jednak dalszych rządów Jammeha nie zamierzały tolerować władze innych państw Afryki Zachodniej. Po uzyskaniu mandatu Unii Afrykańskiej i Rady Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych do Gambii wkroczyły zachodnioafrykańskie siły interwencyjne. Gambijscy mundurowi, wcześniej lojalni wobec Jammeha, w obliczu otwartej konfrontacji nie wykazali większego zapału do tego, by ginąć w obronie prezydenckiego fotela Jammeha. Afrykańscy politycy podjęli się mediacji, by ostatecznie przekonać dyktatora do oddania władzy. Jammeh, który nie uzyskał formalnej amnestii za czyny popełnione w czasie ponaddwudziestoletnich rządów, tylko obietnicę nietykalności od Barrowa, wyjechał na emigrację.

Trudno ocenić, jakie będą skutki tej międzynarodowej operacji. Być może inni dyktatorzy nie zaryzykują rozpisania demokratycznych wyborów. Niewykluczone, że niektórzy, z obawy, że przeciwko nim może być użyta siła, zdecydują się negocjować oddanie władzy za spokojne i dostatnie życie. Wszak po wyjeździe Jammeha odkryto, że z państwowego skarbcza zniknęły miliony dolarów. Dyktator „zadbał” również o to, by zabrać luksusowe samochody i inne cenne przedmioty. Należy też mieć na uwadze, że operacja militarna w Gambii nie była trudna, bo jest to małe państwo, o powierzchni 10,7 tys. km², a zatem mniejsze niż województwo świętokrzyskie, z około 2 mln mieszkańców. Gambijskie siły zbrojne zaś liczą około 1,6 tys. ludzi.



HISTORIA

/ II WOJNA ŚWIATOWA

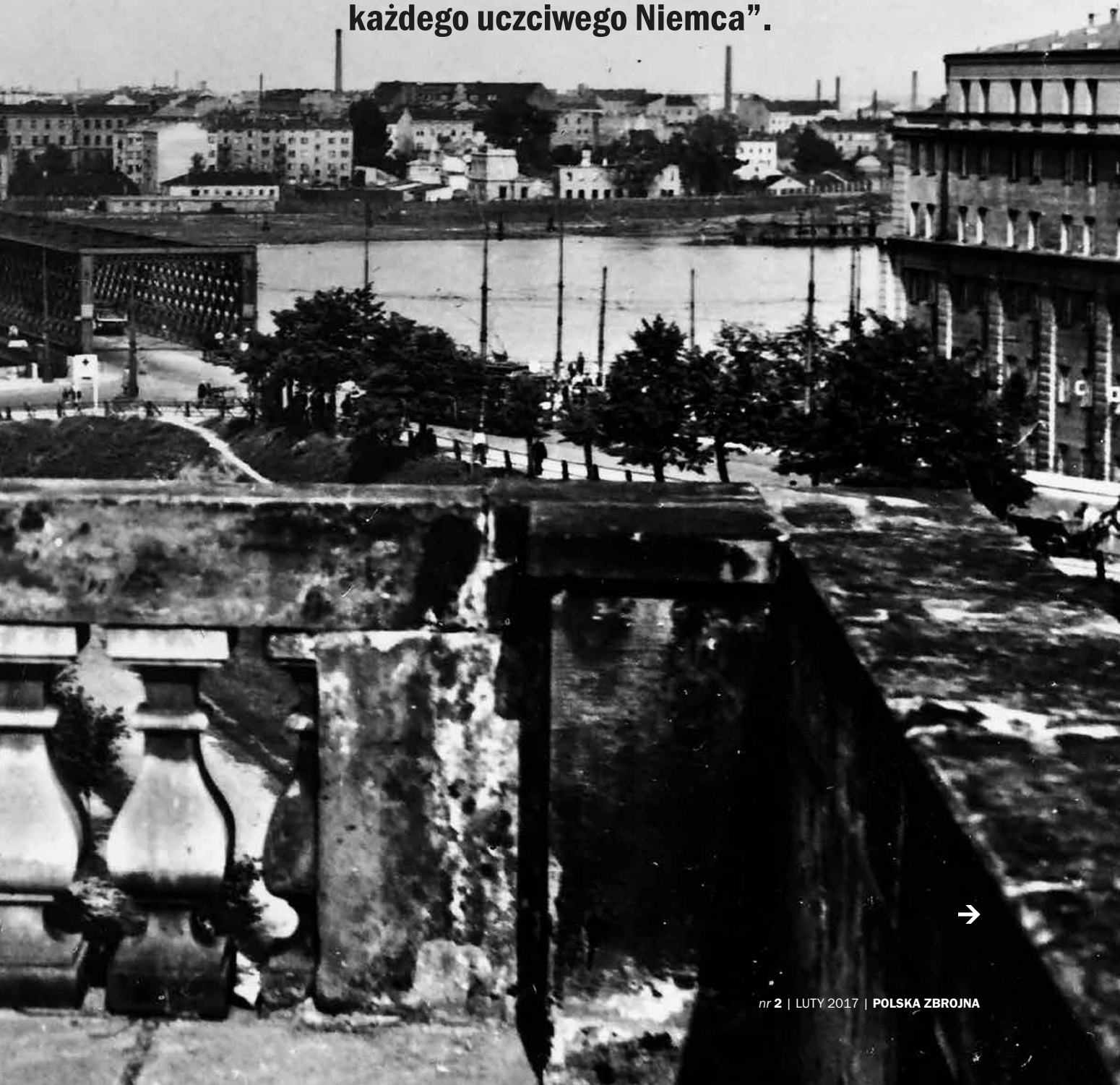


Niemiecki żołnierz
patrzy na most
Kierbedzia i praski
brzeg Wisły, War-
szawa, 1942 rok

PIOTR KORCZYŃSKI

SWÓJ CZY OBCY?

**Dlaczego walczyli w szeregach wroga?
Z nienawiści do nazizmu, który „hańbił honor
każdego uczciwego Niemca”.**



A

Armia Krajowa, zbrojne ramię Polskiego Państwa Podziemnego, oraz inne formacje partyzanckie, m.in. Bataliony Chłopskie, Narodowe Siły Zbrojne czy Armia Ludowa, skupiały tysiące Polaków, którzy po wrześniu 1939 roku podjęli walkę z okupantami. W polskim ruchu oporu znalazło się też wielu obcokrajowców: Francuzów, Anglików, Rosjan, Jugosłowian, Węgrów, Włochów, zbiegłych jeńców wojennych lub dezert-rów z nieprzyjacielskich armii. Nie zabrakło wśród nich Niemców i Austriaków. Wielu zostało zapamiętanych jako świetni wywiadowcy i partyzanci, którzy z bronią w ręku udowodniali, jak bardzo nienawidzą hitlerizmu.

Niemieccy antyfaszyści od początku II wojny światowej kontaktowali się z polskim wojskiem. Już w połowie września 1939 roku dwaj kapitanowie Rittmayer i Herrmann informowali Polaków o planach hitlerowców dotyczących obszarów okupowanych. Ostrzegali, że w ślad za Wehrmachtem podążają oddziały SS-Verfügungstruppe (późniejsze Waffen-SS). Uprzedzali, że województwo łódzkie zostanie bezpośrednio wcielone do Rzeszy, a Polacy będą masowo wysiedlani, wydziedziczani i wywożeni na roboty do Niemiec. Wspominali też o planach budowy obozów koncentracyjnych i wydzielania gett dla ludności żydowskiej.

Ostrzeżenia dwóch Niemców przyjmowano z niedowierzaniem, jednak ich informacje szybko się potwierdziły. Oficerowie nie ograni-

czyli się do przekazywania Polakom wiadomości i rozpoczęli bardziej aktywną działalność, m.in. pomagali ludziom ściganym przez gestapo. Niestety, dalsze losy Rittmayera i Herrmanna są nieznane. Wiadomo tylko, że w 1942 roku pierwszy z nich został aresztowany przez gestapo w Otwocku.

WSPARCIE AUSTRIAKÓW

Adolf Karl Landl od 1936 roku służył w austriackiej żandarmerii w stopniu aspiranta. W 1938 roku, po Anschlussie Austrii do Rzeszy, wystąpił z tej formacji, ale już wkrótce został zmobilizowany przez Niemców. Wraz z 80 innymi żandarmami pochodzenia austriackiego został wysłany do Częstochowy, a następnie pełnił służbę na posterunkach w Piotrkowie, Opatowie, Staszowie, Kruszynie koło Radomia i Łopusznie koło Kielc.

Jesienią 1941 roku złożył w Związku Walki Zbrojnej przysięgę, którą odebrał Mieczysław Stemplewski „Sergiusz”, komendant placówki ZWZ w Łopusznie. Od tej pory „Felek” (pseudonim Landla) przekazywał dowódcy informacje o rozkazach wewnętrznych, planowanych obławach, aresztowaniach, pacyfikacjach i akcjach skierowanych przeciwko partyzantom. Wkrótce okazało się, że nie jest jedynym antyhitlerowcem na posterunku żandarmerii w Łopusznie – wspierał go rodak, Sepp Rotwein. Razem opracowali nawet specjalny szyfr wykorzystywany w rozmowach telefonicznych. Szacuje się, że ich informacje ocaliły życie blisko 300 mieszkańców powiatu kieleckiego.

W lipcu 1944 roku na ślad Landla wpadło gestapo, musiał więc uciekać z posterunku



ZAPORA I ELEKTROWNIA W ROŻNOWIE OCALAŁY DZIĘKI INFORMACJOM AUSTRIAC- KIEGO INŻYNIERA **JOHANN HOSCHTALKA**

w Łopusznie. Razem z Mieczysławem Stemplewskim wstąpił do 4 Pułku Piechoty AK, mjr. Józefa Włodarczyka „Wyrwy”, i brał udział we wszystkich walkach tej formacji w akcji „Burza”. Jesienią, po rozwiązaniu oddziału i demobilizacji, ukrywał się pod Kielcami. Z tego okresu zachowało się zaświadczenie, wydane Austriakowi przez dowódcę partyzantów sowieckich kpt. Borysa: „Wydaje się prawomocne zaświadczenie Adolfowi Landlowi z prośbą do wszystkich sowieckich towarzyszy, aby nie strzelali do Landla, ponieważ pracował on razem z sowieckimi partyzantami w wywiadzie przeciw Niemcom”.

W listopadzie 1945 roku Landl wrócił do Austrii. Po wojnie opublikował wspomnienia „Mein polnisches Tagebuch” („Mój polski dziennik”).

Wielkie zasługi dla polskiej konspiracji miał również inny rodak Landla – Johann Hoschtalek, który w okupowanej Polsce pełnił funkcję naczelnego inżyniera i kierownika urzędu wodno-melioracyjnego przy rządzie Generalnego Gubernatorstwa w Krakowie. Hoschtalek ochronił wielu Polaków i Żydów przed wywiezieniem na roboty do Niemiec lub zesłaniem do obozów koncentracyjnych. Tłumaczył swoim zwierzchnikom, że potrzebuje tych ludzi do prac melioracyjnych. To jednak nie wszystko. Dzięki informacjom austriackiego inżyniera oddział AK por. Józefa Toczki „Topora” w styczniu 1945 roku nie dopuścił do wysadzenia zapory i elektrowni w Rożnowie oraz pobliskiego mostu w Kurowie (akcja „Mosty”).

W 1966 roku Johann Hoschtalek został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

PODSTĘP SOPLICY

W połowie sierpnia 1944 roku jedna z komórek wywiadu AK dostała zadanie rozpoznania oddziałów niemieckich przesuwających się w kierunku przyczółka sandomiersko-baranowskiego. Akcją, którą kierował Józef Wójcik „Soplica”, szef placówki AK w gminie Cisów-Ociesęki koło Kielc, okazała się bardzo trudna. Ruch wojska obsadzającego przyczółek był wyjątkowo intensywny, a niemiecka żandarmeria otoczyła je szczelnym kordonem.

Żeby przeprowadzić odpowiednie rozpoznanie tego miejsca, „Soplica” postanowił wykorzystać znajomość z niemieckim oficerem kwaterującym w domu jego rodziców w Cisowie. Oberleutnant Bruno Gurmman, Austriak rodem z Wiednia, z zawodu skrzypek, na tym odcinku frontu pełnił funkcję oficera uzbrojenia. Interesujący się muzyką Wójcik zaprzyjaźnił się z nim, żeby zdobyć informacje o dyslokacji wojsk niemieckich. Gurmman szybko się zorientował, że ma do czynienia z wywiadowcą. Wtedy „Soplica” zagrał w otwarte karty – przekonywał Austriaka, że przez doprowadzenie hitlerowców do klęski należy jak najszybciej zakończyć wyniszczającą wojnę. Te argumenty musiały trafić na podatny grunt, gdyż oficer zgodził się na współpracę.



NIEMCY I AU- STRIACY SŁUŻY- LI NIE TYLKO W KOMÓRKACH WYWIADU, LE CZ TAKŻE W ODDZIAŁACH BOJOWYCH POLSKIEGO PODZIEMIA

Od połowy września Bruno Gurmanna przekazywał „Soplicy” dane o pozycjach niemieckich. Za pośrednictwem sztabu AK informacje te trafiały nie tylko do Londynu, lecz także do dowództwa wojsk sowieckich. Jak wspomina Józef Wójcik, Niemiec często zostawiał mapy sztabowe w swoim pokoju, a gdy z niego wychodził, mówił: „Idę na dwugodzinną inspekcję placówek, wejdź do izby i zrób porządek na moim stole”. W ten sposób Polak poznał m.in. pozycje frontowe 16 Dywizji Pancernej na odcinku Kurozwęki – Łagów, 17 Dywizji Pancernej w rejonie Kurozwęki – Stopnica i 291 Dywizji Piechoty w ugrupowaniu obronnym od góry Szczytniak do Łagowa. Przed rozpoczęciem ofensywy 1 Frontu Ukraińskiego w styczniu 1945 roku odcinek między Kurozwękami a Szydłowem był, jak podkreślali sztabowcy sowieccy, najdokładniej opracowany pod względem rozpoznawczym. Wójcik ostatni raz widział się z Gurmennem 9 stycznia 1945 roku. Kiedy oficer się z nim pożegnał, powiedział, że został oddelegowany do Ostrowca Świętokrzyskiego. Dalsze jego losy nie są znane.

HANSOWIE W PARTYZANTCE

Niemieckich czy austriackich antynazistów można było spotkać nie tylko w komórkach wywiadu, lecz także w oddziałach bojowych polskiego podziemia. Jesienią 1942 roku do dowódcy akowskiego oddziału partyzanckiego por. Stanisława Gaczolę „Nawary” zgłosił się młynarz ze wsi Kalina z okolic Miechowa i zameldował, że ukrywa się u niego niemiecki podoficer. Sierż. Erwin Felsen, Niemiec z Lotaryngii, technik rusznikarski i specjalista od broni maszynowej, uciekł z transportu wojskowego jadącego na front wschodni. Kiedy podoficer wstąpił do polskiego oddziału, okazał się nie tylko znakomitym rusznikarzem, lecz także dzielnym żołnierzem. 20 listopada 1944 roku w bitwie pod Porębą, kiedy batalion SS uderzył na akowców, Erwin pokrzyżował plany esesmanami. Puścił serię z cekaemu w kierunku Niemców blokujących jeden z pododdziałów partyzanckich, który utknął w parowie. Jako cekaemista odznaczył się też w potyczce 28 listopada 1944 roku w rejonie góry Kotoń koło Myślenic. Po tych bojach Niemiec został wymieniony w rozkazie oddziału jako wyróżniający się odwagą, nadano mu stopień sierżanta i wręczono polskie

dystynkcje, z których był niezwykle dumny. W polskiej partyzantce walczył również Willy Schulze, były student medycyny z Berlina, który służył w jednostce Wehrmachtu w Sandomierzu. W kwietniu 1944 roku zdezerterował i wstąpił do oddziału AK dowodzonego przez Jana Saniawę „Zawiszę”. Również Schulze dał się poznać jako wzorowy partyzant. W rozmowach z polskimi współtowarzyszami często roztaczał wizję przyszłych Niemiec jako państwa pokojowego i demokratycznego. Zginął w Szalasach niedaleko Kielc.

Kilku niemieckich antyfaszystów znalazło się także w ugrupowaniach Armii Ludowej operujących na ziemi krakowskiej. W oddziale Tadeusza Grochała „Tadka Białego”, działającego w okolicach Miechowa, służył dezert z Wehrmachtu o pseudonimie „Maks”. Nie zapamiętano ani jego imienia, ani nazwiska, ale zachowała się relacja dotycząca bohaterskiej śmierci Niemca w czasie walk z SS w lasach chroberskich jesienią 1944 roku. Został trafiony kulą i zginął z okrzykiem na ustach: „Es lebe Polen!” (Niech żyje Polska!). W tym samym oddziale partyzanckim walczyło jeszcze kilku innych Niemców – dezert z Wehrmachtu, których partyzanci nazywali Hansami. Wśród nich byli Erwin, Fritz i Johann, którzy dołączyli do oddziału w okresie ciężkich walk na kielecku jesienią 1944 roku. Wszyscy trzej zginęli w boju pod Gruszką. Erwin rzucił się pod niemiecki czołg z granatem w rękę, gdy zabrakło mu amunicji.

W 1 Brygadzie AL im. Ziemi Kieleckiej służył Bruno Lehman, z zawodu cieśla, zadeklarowany antyfaszysta z Prus Wschodnich. Jak podkreślał, cała jego rodzina była wrogo ustosunkowana do Führera, a jego ojca przez dwa lata więziono w obozie koncentracyjnym. Bruno, został zmobilizowany do Wehrmachtu, ale przy pierwszej okazji zbiegł. Przez wiele dni ukrywał się na wsi u polskiego chłopca, a następnie trafił do oddziału alowców. We wspomnieniach weteranów Lehman pojawia się jako żołnierz wyróżniający się w walce zimną krwią i odwagą.

Czym się kierowali żołnierze przechodzący na stronę wroga? Głównym motywem ich postępowania była nienawiść do nazizmu, który, jak podkreślał Willy Schulze, „hańbił godność i honor każdego uczciwego Niemca”. Dla zdeklarowanych hitlerowców, ale pewnie też dla niektórych zwykłych niemieckich żołnierzy, byli jednak zdrajcami. ■

WŁODZIMIERZ
KALETA

Nie te czasy

Pod koniec lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy emerytowany mjr Ryszard S. był podporucznikiem, armia z poboru była uboga w symulatory. Do najbardziej zaawansowanych wówczas technicznych pomocy naukowych należały tzw. bujanki, montowane na placach ogniowych części jednostek, przeznaczone do symulowania strzelań z transporterów w ruchu, podczas jazdy w terenie.

W szkoleniu ogniowym żołnierzy królowały muszka uniwersalna i diafragma, w taktyce pododdziałów zaś tzw. szkolenie taktyczne w polu na sucho, czyli bieganie od krzaka do krzaka, najczęściej z aplikacyjnym jedynie współdziałaniem z innymi środkami ogniowymi oraz wozami wsparcia.

Nic dziwnego, że dowódcy nie przepadali za szkoleniem symulowanym. Zwłaszcza ci młodzi, ambitni, chcieli zaistnieć podczas ćwiczeń w polu, aby wykazać się umiejętnościami dowódczymi. Pokazać przełożonym, że to w ich plecaku tkwi buława marszałkowska.

Choć z reguły aspiracje dowódców podczas zajęć w polu ograniczał konspekt do zajęć, to wielu z nich, zwłaszcza młodych, nie mogło się z tym pogodzić. Rozgrywali po swojemu ćwiczenia taktyczne, nawet w trakcie strzelań.

Niedawno mjr Ryszard S. obejrzał nowoczesne symulatory, pozwalające w sali przeprowadzić dosyć realne szkolenie ogniowe pododdziału. Opowiedział przy okazji o historii, której przez lata nie może zapomnieć, a nie wydarzyłaby się, gdyby takie „cuda” miał do dyspozycji wówczas, kiedy zaczynał swoją karierę wojskową. I na pewno nie byłaby taka skromna.

W czasie sierpniowego poligonu, pod nadzorem komisji z Inspektoratu Szkolenia odbywały się zajęcia taktyczne batalionu w obronie ze strzelaniem. Strzelała tylko jedna kompania. Zgodnie z założeniem pluton, którym dowodził ppor. Ryszard S., miał pilnować lewej flanki ćwiczących przed ewentualnym obejściem przez przeciwnika.

Okopali się przy skrzyżowaniu polnych dróg, kilkaset metrów od niewielkiego lasu. Oficer wpadł na pomysł, by przesunąć pluton za las i kiedy główne uderzenie przeciwnika ruszy na środkową kompanię, zaatakować ich z flanki.

W scenariuszu przełożonych atak symulowały tarcze, które mieli zniszczyć żołnierze zdający ogniowy sprawdzian. Kiedy jedna z drużyn plutonu przeciwnika wyszła z lasu na niewielkie wzniesienie terenu, spodziewający się natarcia żołnierze otworzyli ogień. Wzięli ich za tarcze?

Zanim podporucznik wystrzelił z pistoletu sygnałowego czerwoną racę, przerywającą ćwiczenia, jeden z żołnierzy został ranny w nogę. O szczegółach tego, co działo się później, nie chce opowiadać. Szybko się przekwalifikował, zmienił jednostkę. Trafił do zaopatrzenia, a to dla oficera, przynajmniej wówczas, była boczna ścieżka wojskowej kariery. Odszedł do cywila, kiedy jednostce groziło rozwiązanie.



Płk w st. spocz. WŁODZIMIERZ KALETA służył
w 7 Łużyckiej Dywizji Desantowej.

DŁUGI POWRÓT

Z Agnieszką Bogucką

**o ostatnim liście „Gryfa”, jego pracy w wywiadzie
i entuzjazmie młodych rozmawia Małgorzata Schwarzgruber.**

Jak to się stało, że gen. Janusz Brochwicz-Lewiński „Gryf” wrócił do Polski?

Po przejściu na emeryturę w 1985 roku „Gryf” pracował dorywczo jako tłumacz w ambasadzie brytyjskiej w Bonn i brytyjskim konsulacie w Kolonii. Nie miał wówczas kontaktów z naszą ambasadą. Jego pierwsze spotkanie z polską placówką dyplomatyczną miało miejsce w 1993 roku w Kolonii. Odebrał wówczas przysłane z Polski odznaczenie – Warszawski Krzyż Powstańczy. Od tego czasu rozpoczęły się intensywne kontakty „Gryfa” ze środowiskiem polonijnym. W 2000 roku otrzymał kolejne odznaczenie – krzyż Polonia Restituta. Konsul generalny Elżbieta Sobótka zorganizowała na jego cześć duże przyjęcie i zaprosiła go do Warszawy na obchody rocznicy powstania warszawskiego. Nie chciał jednak jechać.

Dlaczego?

Trzeba pamiętać, że w okresie powojennym w Polsce Ludowej był uznany za persona non grata, tym bardziej że już w 1939 roku został aresztowany przez NKWD i dostał wyrok śmierci. Śledził dochodzące z kraju wiadomości o procesach i prześladowaniach jego kolegów oraz o wydawanych wyrokach śmierci, z których wiele wykonano.

Przez lata pracował w wywiadzie. Niewiele mówił na ten temat, twierdził, że obowiązuje go tajemnica wojskowa, ale miałam okazję zobaczyć, w jaki sposób traktują go Brytyjczycy i Amerykanie – jak wybitną postać, zasłużoną w walce wywiadów.

Bał się o życie?

Komunistyczne służby kilka razy organizowały na „Gryfa” zamachy, na szczęście nieudane. W Wiedniu

ostrzelano samochód, którym jechał. W Berlinie Zachodnim próbowano go wciągnąć do jadącego auta oraz zastrzelić z przejeżdżającego.

Jak udało się go przekonać do przyjazdu do Polski?

W 2002 roku napisałam do „Gryfa” list, w którym przekonywałam go do przyjazdu. Pisałam, że jest jednym ze strażników pamięci o powstaniu warszawskim, która zaginie, jeśli nam jej nie przekaze. List musiał go poruszyć, bo zadzwonił do mnie zaskoczony, że kogoś w Polsce interesuje jego postać. Zdecydował się przyjechać. Pod koniec lipca roku 2002 roku wylądował na Okęciu. Spędził w Warszawie cztery dni, wziął udział w obchodach 58. rocznicy wybuchu powstania warszawskiego. Prosił, żeby go zawieźć na ulicę Marszałkowską 113, gdzie mieszkał przed wojną. Wspominał, że kamienica jeszcze stała, gdy wychodził z powstania. Okazało się, że zmieniono numerację, a dom został zburzony, gdy budowano Pałac Kultury i Nauki. Rozczarował go wygląd miasta. Zapamiętał Warszawę przedwojenną, mówił, że nie odzyskała już dawnej piękności. Podczas tego pobytu spotkał się także z harcerzami z drużyny Parasol. Był zaskoczony tym, jak entuzjastycznie go przyjęli. Myślę, że to spotkanie miało wpływ na jego decyzję o powrocie do kraju. Miał wówczas 82 lata.

Dwa lata później zamieszkał w Polsce na stałe. Od czasu gdy 5 października 1944 roku, po kapitulacji powstania warszawskiego, opuścił Warszawę bydlęcym wagonem z napisem „8 koni lub krów”, minęło 58 lat. Jak się odnalazł?

Zobaczył, że wielu ludzi interesują jego przeżycia. Zapraszano go na spotkania z harcerzami, studentami, żołnierzami. Był wspaiałym mówcą, gawędziarzem. Poczul się jak w domu. „36 razy zmieniałem mieszkania, ale to



MICHAŁ NIWICZ

Gryf był człowiekiem bezkompromisowym, miał ugruntowane poglądy. Słuchał i szanował swoich rozmówców, nawet jeśli się z nimi nie zgadzał

w Warszawie będzie już ostatnie”, powiedział. W sercu został Polakiem i tęsknił za Polską.

Dużo problemów było ze sformalizowaniem pobytu „Gryfa” w ojczyźnie. Nie miał dokumentów. Żeby mógł otrzymać mieszkanie od prezydenta Warszawy, którym był wówczas Lech Kaczyński, musiałam zameldować go u siebie w domu.

Bogaty jest życiorys „Gryfa”: udział w wojnie obronnej 1939 roku, ucieczka z sowieckiej niewoli po 17 września, obrona Pałacyku Michła w powstaniu

warszawskim, a potem obóz niemiecki. Najmniej wiemy o jego powojennej działalności.

Miał duże zasługi w walce z komunizmem po II wojnie światowej. Nie o wszystkim mógł opowiedzieć, wiele mówi już sama obecność przedstawicieli ambasady brytyjskiej na uroczystościach z jego udziałem. Przez 30 lat pracował w wojskowym wywiadzie, na kierunku rosyjskim. Tropił komunistów w Niemczech, wykonywał zadania na Bliskim Wschodzie, w Jerozolimie, Sudanie, Egipcie, Iraku. Za służbę w armii brytyjskiej królowa Elżbieta II odznaczyła go w styczniu 1969 roku jednym z najwyższych angielskich odznaczeń – Orderem Imperium Brytyjskiego (The Most Excellent Order of the British Empire).

Do jakich wspomnień najczęściej sięgał generał? O co go Pani pytała?

Interesowała mnie jego działalność wywiadowcza, o czym nie zawsze chciał i mógł mówić. Wiem, że w wywiadzie brytyjskim zajmował się także wewnętrzną kontrolą agentów. W ich szeregach było sporo sowieckich szpiegów. Jednym z nich był płk George Black, który kontrolował agenturalną pracę w NRD, Polsce i Związku Sowieckim. Do 1957 roku kilkadziesiąt brytyjskich agentów wpadło w sowieckie ręce. Kiedyś po przyjęciu dla brytyjskich i amerykańskich oficerów „Gryf” źle się poczuł i po powrocie do domu dostał niemal paraliżu ciała. Badania toksykologiczne wykazały, że otrzymał silną dawkę trucizny. Uważał, że była to robota Blacka. W 1961 roku wyszło na jaw, że płk George Black od dziesięciu lat pracował dla KGB. Przez jego działania zginęło 250 brytyjskich agentów na terenie Związku Sowieckiego. „Gryf” go rozpracował.

Generał miał bliskie kontakty z młodzieżą, jeszcze zanim wrócił do kraju.

Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych „Gryf” służył w Wydzielonym Szwadronie Pancernym w Hamm w Niemczech jako oficer techniczny i kwatermistrz, a potem, w latach 1971–1985, pracował jako oficer do spraw bezpieczeństwa i administracyjnych oraz kwatermistrz w Windsor Boys’ School. W tym gimnazjum uczyło się 1,2 tys. uczniów, były to dzieci Anglików służących w Armii Renu. „Gryf” szkolił tam również kadetów. W 1985 roku przeszedł na emeryturę, a dwa lata później szkołę rozwiązano, gdyż większość jednostek wojskowych wchodzących w skład Armii Renu przeniesiono do Wielkiej Brytanii. Z brytyjskimi kadetami spędził 15 lat. Żartowałam, że gdyby wrócił wcześniej, pracowałby z naszymi dziećmi.



MICHAŁ NIWICZ

„Gryf” często spotykał się z komandosami z Lublińca, którzy dziedziczą tradycje Batalionu „Parasol”.

Młodzi byli obecni w jego życiu także w Warszawie.

Jako jeden z ostatnich żołnierzy pierwszej linii w powstaniu warszawskim, dowódca kompanii szturmowej Batalionu „Parasol” oraz walk w Pałacyku Michła na Woli był dla młodych wyjątkowym autorytetem. Spotykał się z nimi do końca. Komandosi z Lublińca, którzy dziedziczą tradycje Batalionu „Parasol”, cały czas utrzymywali z nim kontakt. „Gryf” uwielbiał te spotkania. Miał ogromną wiedzę na temat polskiej historii i tradycji. Dla tych młodych ludzi był kopalnią takich wiadomości. Bywał także na uroczystościach, które oni organizowali. Mówił, że widział w nich taki sam zapał do walki i szacunek do munduru, jaki on miał w młodości. Bardzo chciał, aby komandosi mogli dostawać za misję w Afganistanie krzyż *Virtuti Militari*, napisał w tej sprawie list do prezydenta Andrzeja Dudy. Dom „Gryfa” był zawsze otwarty dla harcerzy i strzelców. Zależało mu, aby podzielać oni wartości, którym on był wierny przez całe życie – Bóg, honor i ojczyzna. W młodym pokoleniu upatrywał największej siły Polski.

Generał był także obecny na Facebooku.

Odpowiadał na wszystkie listy, uważał, że brak odpowiedzi jest przejawem zwykłego prostactwa. Bardzo zwracał uwagę na formę. Na święta Bożego Narodzenia wysłał kilkadziesiąt odręcznie napisanych kartek z życzeniami. Podczas Wigilii, gdy składaliśmy sobie życzenia, „Gryf” się rozczuł i przyznał, że najpiękniejsze lata swego życia spędził w Polsce, porównał ten czas do swojego dzieciństwa, gdy opiekowała się nim matka. Powiedział, że człowiek nie może być szczęśliwy na emigracji.

Jakim był człowiekiem?

O wielkiej kulturze i wrażliwości, a jednocześnie niesamowicie ciepłym. Bardzo zwracał uwagę na swój wygląd, zawsze był nienagannie ubrany. Przez 14 lat nie widziałam, żeby kogoś obraził czy zaatakował. Niektórzy odbierali to jako słabość, a to był dystans. Twierdził, że nie wolno okazywać emocji. Był człowiekiem bezkompromisowym, miał ugruntowane poglądy. Słuchał i szanował swoich rozmówców, nawet

jeśli się z nimi nie zgadzał. Był świetnie zorientowany w sytuacji politycznej. Wiedział, co dzieje się w kraju i poza jego granicami. Powiedziałabym, że był człowiekiem niepodległym.

Partyzanci, którymi dowodził podczas okupacji na Lubelszczyźnie, twierdzili, że dbał o każdego żołnierza. Po II wojnie w Niemczech pozostało wielu polskich dipisów, z których potem Brytyjczycy utworzyli tzw. kompanie wartownicze, współpracujące z Armią Renu. „Gryf” opiekował się tymi ludźmi, pomagał im w znalezieniu pracy, w latach późniejszych niektórych zatrudniał w szkole w Hamm – do obsługi technicznej i w ogrodach. W podziękowaniu za taką pomoc jeden z górali ofiarował mu wyrzeźbioną przez ludowego artystę figurkę Madonny. „Gryf” bardzo lubił tę rzeźbę. Było wiele podobnych objawów wdzięczności od ludzi, którym pomógł.

Na ścianie w warszawskim mieszkaniu generała wśród wielu zdjęć i innych pamiątek wisi szczególnie obrazek.

Generał był człowiekiem głębokiej wiary. Gdy w 1939 roku wyruszał na front, matka dała mu obrazek „Jezu, ufam Tobie”. Wrócił z tym obrazkiem z emigracji. Uważał, że kilka razy ocalił mu życie, m.in. gdy uciekł z niewoli sowieckiej po 17 września i podczas powstania warszawskiego, gdy został ranny w szczękę, ale kula niemieckiego snajpera nie przeszła przez potylicę.

Przez kilkanaście lat towarzyszyła mu Pani na co dzień.

Codziennie pisał dla mnie kartkę. Ostatnią napisał w środę 4 stycznia. „Moja kochana Gugusiu, sprawy do załatwienia: listy, poczta, skrzynka. Zakupy: jarzyny, papryka, kalafior, owoce, pieczywo – razowy chleb bez ziaren, dobrego gatunku. Apteka – leki z recepty. Rachunki do zapłacenia. Proszę wyślij listy. Życzę dobrego zdrowia i humoru. Janusz”. W nocy z 4 na 5 stycznia zmarł. ■

AGNIESZKA BOGUCA jest przewodniczącą oddziału warszawskiego Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, przez 14 lat opiekowała się „Gryfem”.

Chociaż Japonia leży wiele tysięcy kilometrów od Polski, oba kraje od dawna mają dobre relacje. Zanim po latach zaborów odrodziła się nasza państwowość, japoński wywiad współpracował z polskimi organizacjami niepodległościowymi. Roman Dmowski rozmawiał z przedstawicielami władz cesarskich na temat wspólnej polityki wobec rosyjskiego imperium. Józef Piłsudski poszedł jeszcze dalej i w 1904 roku w Wiedniu spotkał się z płk. Tarem Utsonomią. Wtedy na Dalekim Wschodzie i Oceanie Spokojnym Japonia była zaangażowana w wojnę z Rosją. Piłsudski zaproponował zatem, że Organizacja Bojowa PPS będzie prowadziła zmasowaną dywersję na tyłach imperium, na ziemiach polskich, jeżeli Japończycy dostarczą jej broń. Pomyśl co prawda nie wypalił, ale spotkanie zaowocowało wzajemną wymianą informacji o Rosji.

CICHY SOJUSZNIK

Dwudziestolecie międzywojenne to czas niezwykle ożywionych kontaktów polsko-japońskich. Tokio oficjalne stosunki dyplomatyczne z Warszawą nawiązało w marcu 1919 roku i po kilku tygodniach do Rzeczypospolitej trafili cesarscy dyplomaci oraz wojskowi. Mało kto wie, że polscy oficerowie byli twórcami japońskiego radiowywiadu. Kryptolodzy cesarscy nie potrafili złamać sowieckich szyfrów, więc zwrócili się o pomoc do wywiadu polskiego. Kiedy Polakom w ciągu kilku dni udało się rozszyfrować rosyjskie kody, na prośbę cesarza mjr Jan Kowalewski pojechał do Japonii, żeby prowadzić szkolenie radiowywiadu. Później regularnie słuchacze z Azji przyjeżdżali do Polski uczyć się dekryptażu i wymieniać informacjami wywiadowczymi dotyczącymi Sowietów.

Gdy w 1939 roku Hitler zaatakował Polskę, w Japonii przyjęto tę informację z rozgoryczeniem. Chociaż formalnie Japonia należała do państw Osi i w 1940 roku była jednym z sygnatariuszy paktu trzech, nie zaprzestała współpracy z władzami polskimi. Kiedy wyżsi rangą oficerowie Oddziału II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego ewakuowali się przez rumuńską granicę, w Bukareszcie czekali na nich oficerowie japońskiego wywiadu. Ppłk Maseo Ueda, attaché wojskowy z Warszawy, zorganizował polskim wywiadowcom paszporty i dokumenty dyplomatyczne, dzięki którym mogli oni pojechać do Francji i Wielkiej Brytanii.

Japońskie placówki na terenie Europy często udzielały pomocy też innym oficerom Wojska Polskiego. Mjr Michał Rybikowski, jeden z najlepszych polskich szpiegów, dzięki attaché japońskiemu w Szwecji zdobywał dla aliantów informacje na temat III Rzeszy. Płk Toshio Nishimura, a następnie płk Makato Onodera zaopiekowali się Polakiem, który objął posadę osobistego tłumacza attaché. Dzięki temu podróżował on po terenach zajętych przez III Rzeszę, uczestniczył w spotkaniach z hitlerowskimi

prominentami i zdobywał informacje, które przekazywał do Londynu. Rybikowski działał z cichym przyzwoleniem Japończyków, którzy na wiadomość o pakcie Ribbentrop-Mołotow stracili zaufanie do Niemców.

Rybikowski nie był jedynym szpiegiem legitymującym się dokumentami dyplomatycznymi Japonii lub marionetkowego japońskiego państwa Mandżukuo. Dzięki wsparciu Japończyków polski wywiad

JAKUB NAWROCKI

Dziwna gra

W XX wieku formalnie wypowiedzieliśmy wojnę tylko jednemu państwu – Japonii. Polacy i Japończycy jednak nie walczyli ze sobą, lecz współpracowali.



Marszałek Edward Rydz-Śmigły wita się z attaché wojskowym Japonii

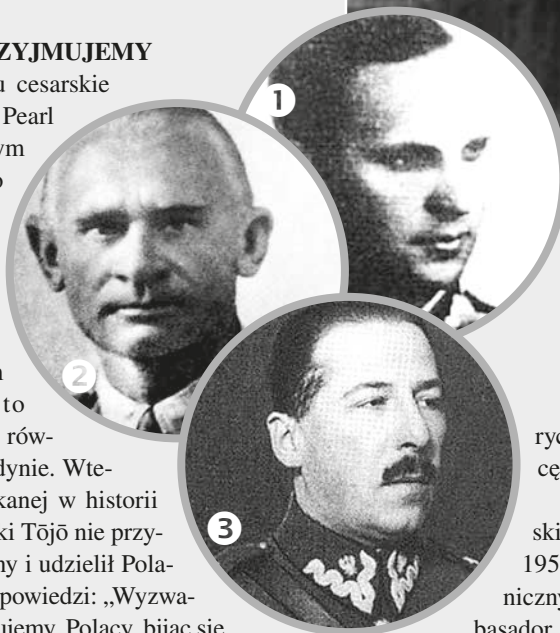


z dokładnością do paru dni poinformował Zachód o planowanym przez Hitlera w 1941 roku ataku na Jugosławię i ZSRR. Cesarstwo z kolei w zamian dostawało informacje dotyczące polityki Niemiec i sytuacji militarnej Sowietów na Dalekim Wschodzie. Choć oba kraje znajdowały się w dwóch wrogich obozach, dopiero w październiku 1941 roku, po kilkunastu nocy protestacyjnych III Rzeszy, w Tokio została zamknięta polska ambasada.

Dzięki współpracy polsko-japońskiej ocalono też życie setkom ludzi. W konsulacie w Kownie, którym kierował Chiune Sugihara, pracownikami było dwóch oficerów polskiego wywiadu – kpt. Alfons Jakubianiec i por. Leszek Daszkiewicz. Na początku 1940 roku konsul we współpracy z Polakami wystawił prawie 3,5 tys. japońskich wiz wyjazdowych polskim Żydom, którzy uciekli na Litwę. Przerzut ludzi odbywał się nawet wtedy, gdy zajęła ją Armia Czerwona. Dopiero gdy 4 września 1940 roku zlikwidowano konsulat, a polskiemu oficerowi groziła dekonspiracja, rząd japoński skierował Polaków do pracy... w Berlinie, gdzie kontynuowali działalność wywiadowczą.

WYZWANIA NIE PRZYJMUJEMY

7 grudnia 1941 roku cesarskie lotnictwo zaatakowało Pearl Harbor na Hawajach i tym samym wypowiedziało wojnę USA. Wielka Brytania i rządy emigracyjne, jako sojusznicy Amerykanów, wypowiedzieli wojnę Japonii. Pod naciskiem Anglików zrobił to 11 grudnia 1941 roku również polski rząd w Londynie. Wtedy doszło do niespotykanej w historii sytuacji – premier Hideki Tōjō nie przyjął wypowiedzenia wojny i udzielił Polakom dyplomatycznej odpowiedzi: „Wyzwania Polaków nie przyjmujemy. Polacy, bijąc się o swoją wolność, wypowiedzieli nam wojnę pod presją Wielkiej Brytanii”. Co jeszcze dziwniejsze, oficjalnie Polska była w stanie wojny z cesarstwem, a wywiady obu państw współpracowały na terenie Europy, zamiast się zwalczać. Szpiegowski sojusz trwał nieprzerwanie do 1944 roku, kiedy Abwehra wpadła na trop siatki i wkrótce nastąpiły aresztowania. Japończycy starali się wtedy pomagać polskim oficerom i ich informatorom, którzy wpadli w ręce gestapo, a tych, któ-



1. KPT. ALFONS JAKUBIANIEC
2. MJR MICHAŁ RYBIKOWSKI
3. MJR JAN KOWALEWSKI

rych nie złapano, wywozili za granicę do neutralnych państw.

Formalnie konflikt polsko-japoński trwał aż 16 lat. Dopiero 8 lutego 1957 roku wiceminister spraw zagranicznych PRL-u Józef Winiewicz i ambasador Japonii przy Organizacji Narodów Zjednoczonych Kase Toshikazu podpisali „Układ o przywróceniu normalnych stosunków między Polską Rzeczpospolitą Ludową a Japonią”. Przy czym w tej wojnie polskie wojsko ani razu nie starło się z imperialnymi żołnierzami. Royal Navy w 1943 roku chciała co prawda wysłać na Pacyfik ORP „Burza”, ale zrezygnowano z tego pomysłu. Wiceadmirał Jerzy Świrski proponował też prezydentowi RP wysłanie ORP „Orkan” „na wody Oceanu Spokojnego w celach prestiżo-



Biuro Szyfrów. Od lewej: Jakub Plezia, Jerzy Suryn, Yamawaki Masataka, Paweł Misiurewicz, Jan Kowalewski, Maksymilian Cieżki

wych”. Plany pokrzyżowało jednak zatopienie 8 października 1943 roku okrętu przez niemiecki U-Boot. Symbolicznie polska bandera pojawiła się na wodach Dalekiego Wschodu na dwóch statkach żeglugi handlowej – „Sobieski” i „Pułaski”, które wykorzystywano do transportu wojsk indyjskich.

SZACHOWNICA NAD PACYFIKIEM

Zdarzały się też jednostkowe przypadki, że z Japończykami walczyli polscy żołnierze, tak jak as lotnictwa mjr Witold Urbanowicz. Ten weteran bitwy powietrznej o Anglię z 1940 roku, skonfliktowany z polskim dowództwem, jesienią 1941 roku został skierowany do Stanów

Zjednoczonych, by jako reprezentant lotnictwa polskiego promował wśród Po-

lonii nabór do Polskich

Sił Zbrojnych na Za-

chodzie. Nie odpow-

wiadła mu jednak

rola „chodzącej rekla-

my” i na własną prośbę,

którą uzasadniał chęcią zapo-

znania się z odmienną taktyką

walki powietrznej, trafił do 14 Floty

Lotniczej. W 1943 roku został przydzie-

lony do grupy Latających Tygrysów słyn-

nego 75 Dywizjonu i na samolocie P-40

brał udział w akcjach bojowych nad Hima-

lajami, Chinami, Birmą, Wietnamem

i Morzem Chińskim. Latał w konwojach

lotniczych jako eskorta bombowców

i transportowców. Na kadłubie jego my-

śliwca, przy kabinie pilota była wymalowa-

na białą-czerwoną szachownica.

Urbanowicz po wojnie opowiadał, że tam-

tej aktywności nie można porównać z walka-

mi z Luftwaffe. Wynikało to z wychowania

Japończyków w tradycji samurajów: „Marzyli

o zwycięstwie w powietrzu za wszelką cenę albo

śmierci w walce i staniu się bohaterami narodowymi,

byli nieludzko fanatyczni”. Stracił jednak w tych wal-

kach sześć japońskich maszyn, za co US Army udeko-

rowała go orderem War Medal. W połowie 1944 roku

Urbanowicz wrócił do Wielkiej Brytanii i wkrótce zo-

stał attaché lotniczym w Waszyngtonie.

W 1945 roku w dwóch brytyjskich dywizjach wal-

czących w Birmie z Japończykami było też 65 polskich

oficerów kontraktowych. Na koniec należy wspomnieć

o licznej Polonii amerykańskiej we wszystkich rodza-

jach sił zbrojnych USA na Pacyfiku. ■

CURTISS P-40
WARHAWK

MJR WITOLD URBANOWICZ STRĄCIŁ W WALKACH NA DALEKIM WSCHODZIE SZEŚĆ JAPÓŃSKICH SAMOLOTÓW, ZA CO OTRZYMAŁ WAR MEDAL



TADEUSZ WRÓBEL

GRANT KONTRA LEE

Pierwszym amerykańskim czołgiem średnim użytym bojowo podczas II wojny światowej był M3, uzbrojony w dwie armaty różnych kalibrów.

Amerkanie przez znaczną część okresu międzywojennego wykorzystywali w swych wojskach lądowych – US Army – czołgi opracowane jeszcze podczas wielkiej wojny. Prace nad nowymi konstrukcjami rozpoczęto dopiero w drugiej połowie lat trzydziestych XX wieku. Była to reakcja na szybki postęp w dziedzinie broni pancernej, jaki się wówczas dokonał w Europie, gdzie pełną parą ruszyły przygotowania do nieuchronnego nowego konfliktu zbrojnego. Oprócz lekkich konstrukcji powstały też większe i silniej uzbrojone czołgi średnie, jak chociażby niemiecki Panzer III, francuski S-35 Somua czy sowiecki T-28.

WOJENNE DOŚWIADCZENIA

Rząd Stanów Zjednoczonych zamówił początkowo, w 1939 roku, 18 czołgów średnich

M2, a 15 sierpnia 1940 roku – tysiąc M2A1, które miały być dostarczone do sierpnia 1942 roku. W porównaniu z M2 nowa wersja M2A1 miała większą wieżę, taką samą, jaka była w lekkim czołgu M3. Poza tym pogrubiono pancerz, poszerzono gasienice oraz zamontowano silnik ze sprężarką o mocy 400 KM.

Jednak analizy walk w maju i czerwcu 1940 roku we Francji, które przeprowadzili amerykańscy wojskowi, doprowadziły ich do konkluzji, że M2 jest przestarzały. Czołg miał zbyt słabą armatę kal. 37 mm i za dużo karabi-



Do zakończenia produkcji w grudniu 1942 roku powstało 6258 czołgów M3.

NARA

nów maszynowych (7–9 M1919A2). Innymi jego mankamentami były zaledwie 32-milimetrowy pancerz przedni i wysokość – 2820 mm. Dlatego już na przełomie sierpnia i września 1940 roku rząd USA zmodyfikował kontrakt. Zamówienie zredukowano do 128 czołgów. Ostatecznie do sierpnia 1941 roku powstały 94 wozy M2A1, których nigdy nie użyto bojowo.

Zgodnie z nowymi wymaganiami czołg średni miał być uzbrojony w armatę kalibru 75 mm zamontowaną w wieży. Jednak w tym czasie Amerykanie takim nie dysponowali. Dlatego postanowiono stworzyć wersję przejściową, na zmodyfikowanym podwoziu wozu M2, nad którym prace rozpoczęto w połowie 1940 roku. Konstruktorzy postanowili zachować wieżę z armatą przeciwpancerną kalibru 37 mm. Z kolei 75-milimetrowa krótkolufowa armata M2 była zamontowana w sponsonie po prawej stronie przodu kadłuba. Nie było to najlepsze rozwiązanie, bo ograniczało kąt prowadzenia ognia. W porównaniu z M2 liczbę karabinów maszynowych zredukowano do dwóch – czterech M1919A4.

Choć M3 nie zachwylił, zainteresowali się nim Brytyjczycy, gdyż ich rodzime zakłady zbrojeniowe miały ograniczone moce produkcyjne, a Amerykanie odmówili wytwarzania brytyjskich konstrukcji, takich jak czołg piechoty Matylda II i Crusader, w swych zakładach. Jednak armia brytyjska zażądała kilku zmian w projekcie M3. Najbardziej była widoczna zupełnie inna wieża, niższa niż amerykańska, ale wydłużona, by mogła zmieścić się w niej radiostacja. Inną zmianą był montaż armat o dłuższych lufach M3 kalibru 75 mm, co poprawiło ich parametry bojowe. Także w przypadku tych 37-milimetrowych montowano w M3 ich dwie wersje – M5 (z krótszą lufą) i M6. Dla rozróżnienia Brytyjczycy nazwali swoją wersję czołgu M3 Grant, a amerykańską M3 Lee. Początkowo dla wozu średniego przewidywano siedmioosobową załogę, ale potem ta liczba została zmniejszona do sześciu. Zarówno Amerykanie, jak i Brytyjczycy zrezygnowali z radiooperatora.

W trakcie produkcji wprowadzano kolejne modyfikacje, np. różne rodzaje pancerza: nitowany (M3, M3A4, M3A5), odlewany (M3A1) i spawany (M3A2 i M3A3). Najgrubszy, 51 mm, był z przodu kadłuba i na wieży. Boki i tył kadłuba chronił pancerz 36-milimetrowy.

Niektóre wersje czołgu M3, zamiast lotniczego silnika Wright Continental R 975 EC2 o mocy 400 KM, miały układ General Motors 6046 (dwa samochodowe silniki wysokoprężne Model 6-71) o mocy 410 KM (M3A3, M3A5) lub jeden Chrysler A57 Multibank (układ pięciu sześciocylindrowych samochodowych silników benzynowych) o mocy 425 KM (M3A4). Czołg M3, zależnie od wersji, miał masę bojową od 27 272 kg do 29 000 kg.

Ze względu na zamontowanie armaty w kadłubie i wieży nad nim był bardzo wysoki – miał 3020 mm. Jego następcą zaś, M4 Sherman – 2740 mm.

Do zakończenia produkcji w grudniu 1942 roku powstało 6258 czołgów, z których 2621 było dostarczonych do Wielkiej Brytanii. Następne 1386, w ramach pomocy wojсковej, przeznaczono dla Związku Sowieckiego, gdzie dotarło 976 sztuk. Pozostałe utracono na zatopionych statkach. Oprócz wozów bojowych powstały też czołg dowodzenia (z atrapą armaty) i pojazdy inżynieryjne M31B1 i M31B2, a także Grant Scorpion III i Grant Scorpion IV z trałem minowym. Podwozie M3 wykorzystano również do stworzenia dział samobieżnych – M7 Priest z haubicą kalibru 105 mm i M12 z armatą kalibru 155 mm. Niezwykle interesująca była wersja Grant CDL (Canal Defence Light) opracowana przez Brytyjczyków. W wieży zamiast armaty zamontowany był potężny reflektor z lampą łukową, który wysyłał bardzo mocny strumień. Stworzono go z myślą o nocnych atakach, podczas których snop światła miał oświetlać pozycje wroga, jednocześnie go oślepiając, by nie był zdolny do celnego prowadzenia ognia. Na bazie M3 powstał także kanadyjski czołg Ram.

DEBIUT W AFRYCE

Zamówione przez Wielką Brytanię czołgi M3 Grant i M3 Lee zostały dostarczone wojskom walczącym przeciwko siłom niemiecko-włoskim w Afryce Północnej. Na polu bitwy nowe wozy zadebiutowały 26 maja 1942 roku pod Gazalą. Na początku starcia Brytyjska 8 Armia miała ich 167, rozdzielonych pomiędzy 2 i 22 Brygadę Pancerną 1 Dywizji Pancerniej oraz 4 Brygadę Pancerną 7 Dywizji Pancerniej.

Początkowo, ze względu na efekt zaskoczenia, sprawdziły się w boju. Okazało się, że amerykański czołg może zwalczać za pomocą 75-milimetrowej armaty niemieckie przeciwpancerne PaK 38 kalibru 50 mm i uzbrojone w tego samego kalibru działa wozy Panzer III, a przy tym same pozostają poza zasięgiem ich ognia. Bez szans w starciu z M3 były też włoskie czołgi Fiat M13/40 i M14/41, które miały słabe opancerzenie i mało skuteczną armatę kalibru 47 mm. Pewne zagrożenie dla amerykańskiego pojazdu stanowiło włoskie działo samobieżne Semovente da 75/18, z armatą kalibru 75 mm. Niemniej jednak dowodzący siłami państw Osi w Afryce Północnej szybko znaleźli zabójczo skuteczną broń do zwalczania brytyjskich czołgów – strzelającą na wprost armatę przeciwlotniczą kalibru 88 mm. Jednak brytyjskie wojska mogły liczyć na regularne uzupełnienia. Do 23 października 1942 roku, kiedy to rozpoczęła się druga bitwa pod El Alamein, otrzymali około 600 sztuk M3. W samej bitwie użyto 174 spośród nich.



Uzbrojenie główne

1 x armata M2 lub M3
kal. 75 mm w kadłubie
z zapasem 65 pocisków

1 x armata M5 lub M6
kal. 37 mm w wieży
z zapasem
128 pocisków

Silnik

9-cylindrowy gwiazdowy silnik
gaźnikowy chłodzony powietrzem
Continental R 975 EC2 lub
2 dwurzędowe 6-cylindrowe
dwusuwowe silniki wysokoprężne
chłodzone płynem General Motors
6-71 o mocy 340 KM / 375 KM

M3

Prędkość

38,5 km/h

Pancerz

nitowany,
odlewany
lub spawany

Załoga

6 żołnierzy

Po lądowaniu aliantów 8 listopada 1942 roku we Francuskiej Afryce Północnej do walki weszły czołgi M3 w składzie 1 Dywizji Pancerniej armii amerykańskiej. Jedyną ich jednostką, 2 Batalion 13 Pułku Pancernego, w grudniu 1942 roku wzięła udział w krwawych starciach z Niemcami w Tunezji. Jednak podczas walk w rejonie przełęczy Kasserina w lutym 1943 roku batalion miał już wozy M4A1 Sherman. W tym czasie jedyną jednostką US Army walczącą w Tunezji i mającą M3 był 751 Batalion Czołgów, wspierający 34 Dywizję Piechoty. Batalion ten przybył do algierskiego Oranu w styczniu 1943 roku. Duże straty shermanów podczas lutowych bitew spowodowały, że czasowo M3 trafił do innych jednostek, m.in. 3 Batalionu 13 Pułku Pancernego.

Atutami M3 okazały się niezawodność mechaniczna, siła ognia i dość dobre opancerzenie. Jednak wyszły na jaw ich wady – wysoka sylwetka i ulokowanie głównego uzbrojenia w kadłubie. To ostatnie rozwiązanie nie tylko ograniczało kąt ostrzału, lecz także praktycznie uniemożliwiało użycie okopanych M3. Co więcej, gdy podstawowymi czołgami niemieckimi stały się wozy: Panzer IV z armatą KwK 40 L/48 kalibru 75 mm i Panter z mającą znacznie lepsze parametry KwK 42 L/70 kalibru 75 mm, M3 nie miał w konfrontacji z nimi żadnych szans i nie był używany, oprócz wersji Grant CDL, w Europie. M3 nie zdobył sympatii wśród czołgistów Armii Czerwonej. Zy-

skął tam mało chwalebne określenie „bratnia mogiła dla sześciu”. Mimo to wozy te były używane na froncie wschodnim do końca wojny.

DALEKOWSCHODNIA SZANSA

Brytyjczycy, którzy ciągle odczuwali niedobór czołgów, nie zrezygnowali całkowicie z M3. Otóż około 900 z nich wysłano na Daleki Wschód, gdzie trafiły do jednostek pancernych armii Indii. M3 należące do 50 i 254 Indyjskiej Brygady Pancerniej, wchodzących w skład 14 Armii, zostały użyte w walkach z Japończykami na pograniczu Indii i w Birmie. Ten teatr działań był idealny dla amerykańskiej konstrukcji, gdyż mogła pełnić funkcję, do której ją zaprojektowano – wozu wsparcia piechoty.

Amerykanie użyli czołgów średnich M3 na Pacyfiku tylko raz, podczas walk o wysepkę Butaritari w atolu Makin, należącym do Wysp Gilberta, 20–23 listopada 1943 roku. Żołnierzy 23 Dywizji Piechoty wsparł pluton ze 193 Batalionu Czołgów US Army.

Dużym użytkownikiem M3 w czasie wojny na Pacyfiku była Australia. Korpusowi pancernemu jej armii przekazano od kwietnia do grudnia 1942 roku 757 z 777 planowanych czołgów. Dwadzieścia utracono podczas transportu. Jednak wyposażone w te wozy jednostki stacjonowały tylko na terenie Australii. Przed rozpoczęciem walk z Japończykami otrzymały inne czołgi. ■

KRZYSZTOF
KUBIAK

Mgła wojny



Wybitny pruski teoretyk wojskowości Carl von Clausewitz w swej pracy „O wojnie” napisał: „Wielka wreszcie niepewność wszelkich danych na wojnie tworzy specjalną trudność, gdyż każde działanie odbywa się w mroku, który przy tym nie raz podobnie jak mgła albo poświata księżycy – nadaje rzeczom rozmiary przesadne i dziwaczny wygląd”. Szczęólnego wpływu owej „mgły wojny” lub „bitewnego pyłu” doświadczały żołnierze wszystkich epok i wszystkich wojen. „Mgła wojny” występuje na wszystkich szczeblach, ale na taktycznym jest niemal codziennością. Przykłady potwierdzające tę tezę można mnożyć w nieskończoność, poprzestańmy więc na kilku.

I tak w czasie przeprowadzonego w lipcu 1940 roku rajdu na wyspę Guernsey (należącą do Wysp Normandzkich, czyli jednego skrawka brytyjskiego terytorium okupowanego podczas II wojny światowej przez Niemców) o istnieniu „mgły wojny” mieli się przekonać królewscy komandosi. Otóż gdy transportujące ich kutry zbliżały się do brzegu, żołnierze na jednym z nich podnieśli alarm, przekonani, że widzą przed sobą niemiecki okręt podwodny. Jego obecność w rejonie planowanej akcji specjalnej całkowicie przekreśliłaby jej sens, odbierając wszelkie szanse na powodzenie. Na szczęście dowodzący komandosami ppłk John Durnford-Slater zachował zimną krew i niezrażony meldunkami rozkazał zbliżyć się do „U-boota”. Już po kilku minutach okazało się, że to jedynie skała, o którą roztrzaskiwały się w biały pył fale przyboju. Wypiętrzona była w taki kształt, że w stanie silnego napięcia istotnie można ją było uznać za kiosk okrętu podwodnego.

Kilkadziesiąt lat później do podobnej sytuacji doszło w czasie innej wojny. W listopadzie 1970 roku Portugalczycy, zmagający się z ruchem partyzanckim we własnej kolonii zwanej Gwineą Portugalską, postanowili zaatakować Konakry – stolicę sąsiedniej Gwinei (niepodległej już byłej kolonii francuskiej). Tam właśnie, na bezpiecznym terytorium, znajdowały się główne bazy powstańców. W awangardzie sił uderzeniowych, na falochronie portu w Konakry wysiadło z trzech pontonów 14 żołnierzy, którymi dowodził por. Albert Rebordão de Brito. Falochron znajdował się około 900 m od wewnętrznego nabrzeża. Przedostawszy się na jego koronę, porucznik przeżył szok. Jego oczom ukazała się okryta gęstym afrykańskim mrokiem, sylwetka dużego okrętu wojennego cumującego przy mołu. Porucznik rozpoznał ją jako „sowiecką fregatę”. Mimo to postanowił, ze świadomością, że decyduje się na akcję samobójczą, zaatakować. Liczył przy tym, że chaos, który spowoduje, umożliwi wycofanie się pozostałym siłom portugalskim. Na szczęście dla niego i jego podwładnych takie samopoświęcenie nie było konieczne – w miarę zbliżania do „fregaty” okazało się, że była ona jedynie wytworem pobudzonej adrenaliny wyobraźni i gry cieni.

Niekiedy wydarzenia wywołane „mgłą wojny” mają komiczny finał. Pod koniec 1943 roku operujący z Bejrutu ORP „Dzik” zwalczał jednostki żeglugi kabotażowej na wodach greckich. W czasie jednego z patroli oficer wachtowy stwierdził, że na dziobie kutra, do którego zbliża się okręt, zainstalowano przykryty plandeką podwójnie sprzężony karabin maszynowy. Tymczasem okazało się, że był tam... pocziwy osiołek. Sprawa miała nader niespodziewany finał – bohater zdarzenia potłukł w messie płytę gramofonową z „Oślę serenadą”, którą koledzy nader często odtwarzali w jego obecności. ■



Prof. dr hab. KRZYSZTOF KUBIAK pracuje w Katedrze Krajów Europy Północnej na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach.

HORYZONTY

/ LUDZIE



EWA KORSAK, MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Z TEJ SAMEJ GLINY

„Jego postawa, optymizm i radość życia są dla nas motywujące. Jego służba i szkolenie w formacji cichociemnych są kierunkowskazem w codziennej służbie”, tak o kpt. Aleksandrze Tarnawskim, jednym z ostatnich żyjących skoczków Armii Krajowej, mówią żołnierze wojsk specjalnych.

MICHAŁ NIWICZ



P

odobno bardzo trudno było zaprosić Aleksandra Tarnawskiego, cichociemnego, do Jednostki Wojskowej GROM, która nosi imię legendarnych skoczków Armii Krajowej. Co roku odbierał telefony w tej sprawie i grzecznie odmawiał przyjazdu do stolicy. Tymczasem w tej formacji od 1995 roku (wówczas przejęła ona tradycje cichociemnych) spotykały się takie legendy AK, jak Stefan Bałuk, Kazimierz Śliwa czy Alojzy Józekowski. Aleksander Tarnawski ps. „Upłaz” na takich spotkaniach nie bywał. Dlaczego? Może dlatego, że tak bardzo nie lubi wielkich słów o bohaterstwie cichociemnych i nie znosi patosu. Powszechnie znany jest też jego stosunek do krzykliwego patriotyzmu. „To jest nudne. Poza tym takie słowa odbieram jako nieszczerze i nieprawdziwe”, mówi 96-letni kpt. Aleksander Tarnawski, jeden z ostatnich żyjących cichociemnych.

Ostatecznie jednak przyjął zaproszenie GROM-u. „To było kilka lat temu, ale nie mogę sobie przypomnieć, jak wyglądało nasze pierwsze spotkanie. Bo właśnie tak z nim jest: ma się wrażenie, że się go zna od zawsze. Nie stwarza żadnego dystansu”, wspomina płk Piotr Gąstał, były dowódca JW GROM, który przez ostatnie lata współorganizował spotkania cichociemnych.

PATRIOTYZM NATURALNY

Wojna zastała Aleksandra Tarnawskiego w Rabce na wakacjach. „O tym, że wybuchnie, było wiadomo od jakiegoś czasu, każdy tylko czekał, kiedy to się stanie. Pewnego dnia, gdy zza wzgórza wyleciał niemiecki dwupłatowiec rozpoznawczy, byłem już pewien: jest wojna”, wspomina. Nie został zmobilizowany. „Razem z ojcem i młodszym o dwa lata bratem ruszyliśmy na wschód. Ale ojciec z bratem szybko zawrócili do Rabki, uznali, że ta wędrówka nie ma sensu. Ja nie wróciłem. Poszedłem do Lwowa.

Przed wojną zdążyłem ukończyć tam pierwszy rok studiów na Wydziale Chemii Uniwersytetu Lwowskiego. Znałem to miasto, miałem tam kwaterę, więc się tam zatrzymałem. Niestety nie na długo. Wszyscy wiemy, co się wydarzyło 17 września 1939 roku”, mówi Tarnawski.

Wyruszył wtedy do Francji. Tam trafił do obozu wojskowego – Camp de Coëtquidan. Po kapitulacji tego kraju na pokładzie statku przedostał się do Wielkiej Brytanii, a ostatecznie dotarł na wschodnie wybrzeże Szkocji. Przyznaje, że żołnierska codzienność była dla niego monotonna: „Na całym świecie szalała wojna, a my prowadziliśmy zwykłe garnizonowe życie”. Propozycja szkolenia w formacji cichociemnych była więc wybawieniem. „Zgodziłem się bez wahania, bo wiedziałem, że tak po prostu trzeba było zrobić. Ale prawda jest też taka, że wówczas, gdyby zaproponowano mi wyjazd do Nigerii czy Egiptu, też bym się zgodził. Chciałem przerwać tę beczynność”, tłumaczy. A po chwili dodaje: „Oczywiście byłem patriotą. Ale to było coś naturalnego. Bez wielkich haseł, bez podniosłości i egzaltacji”.

Od samego początku wiedział, na co się pisze: szkolenie, lot samolotem do ogarniętej wojną Polski, skok i... kolejne zadania. Każdy z kandydatów na cichociemnych musiał przejść trening sprawności fizycznej, strzelecki i spadochronowy. Wieści o tym, kto miał się desantować do Polski, w jakiś sposób rozchodziły się wśród żołnierzy stacjonujących w Szkocji. Tajemnica? „Nie! Pamiętam, jak po kilku dniach znajomy z mojej kompanii zaczął mnie słowami: »Co u pana, panie paraszuto?«. Myślę, że to nie była taka wielka tajemnica. W każdym razie nie w moim wypadku”, opowiada „Upłaz”.

Pierwszy etap szkolenia odbył się na kompletnym bezludziu w górach Szkocji. Były to biegi, marsze po górach, walka wręcz. „Codziennie przygotowywaliśmy się także do skoków spadochronowych. Ćwiczyliśmy działanie na wysoko-



Wolontariusze Fundacji im. Cichociemnych Spadochroniarzy AK, która dba o pamiątki po swoich patronach, podczas jednej z rozmów zapytali Aleksandra Tarnawskiego, czy nie miałby ochoty skoczyć ze spadochronem. Ku zdziwieniu wszystkich – bardzo chętnie się zgodził.

PANUJE PRZEKONANIE, ŻE JAK CZŁOWIEK JEST STARYM, ZA PRZEPROSZENIEM, PIERDOŁĄ, TO SIĘ WSZYSTKIEGO BOI. NO TO SIĘ CHCIAŁEM PRZEKONAĆ, CZY TAK JEST

ściach, np. skok z wysokości pierwszego piętra, wspinaczkę na skały i zjazd na linie na plażę”, tłumaczy Tarnawski. „To wcale nie było takie wymagające, jak się wszystkim wydaje. Zresztą, jak się ma 20 lat, to nic nie jest trudne!”.

W końcu przyszedł czas na szkolenie spadochronowe. To był pierwszy raz, gdy „Uptaz” wszedł na pokład jakiegokolwiek samolotu. Wspomina, że musiał usiąść na brzegu otworu w kadłubie, odepchnąć się i wyskoczyć. „Podczas pierwszego lotu, kiedy popatrzyłem przez tę dziurę na ziemię z wysokości 200 m, pomyślałem, że tego nie zrobię”. Następnego dnia oddał swój pierwszy ćwiczebny skok (w sumie było ich sześć). „To było niezwykle przyjemne, euforyczne przeżycie”, rozmarza się Tarnawski. „Spadochron się otwiera, człowiek wisi w powietrzu, a kiedy samolot odleci, to jest przyjemna cisza. Później szybko przybliża się ziemia. Lądowanie i już!”.

Do Polski wyruszył w nocy z 16 na 17 kwietnia 1944 roku z bazy we włoskim Brindisi. Czy się bał? Czy targwały nim emocje? Aleksander Tarnawski, jak zwykle, odpowiada ze spokojem: „Człowiek był młody to niczego się nie bał. Nie było wielkich emocji. Skoro się zdecydowałem na to szkolenie, wiadomo było, że któregoś nocy trzeba będzie wykonać skok”. Wylądował pod Baniochą, niedaleko Góry Kalwarii. Przekazał swoje wyposażenie oraz pieniądze żołnierzom Armii Krajowej i pojechał do Warszawy, by zameldować się w punkcie kontaktowym. Plan miasta znał doskonale, więc chociaż nigdy wcześniej nie był w stolicy, swobodnie się po niej poruszał. Nie chciał się rzucać w oczy, starał się zachowywać zu-

pełnie naturalnie. W podskokach schodził ze schodów, gwizdał za pięknymi kobietami, które mijał na ulicy. I rzeczywiście nikt nie zwrócił na niego uwagi. Przy okazji rozmowy o tym, jakie były jego zadania w Warszawie, zaprzecza, że prowadził szkolenia z dywersji i sabotażu. „Do kraju przyleciałem jako specjalista od broni pancernej, co od początku było pewną iluzją. Bo kogo ja w partyzantce mogłem szkolić z broni pancernej?”.

Dlaczego Tarnawski tak usilnie dementuje jakiegokolwiek głosy o swoich bohaterskich czynach, nie podkreśla znaczenia wydarzeń sprzed 70 lat? „On nie chce być pomnikiem. To normalny i uczciwy człowiek. Skoczył do kraju jako jeden z ostatnich cichociemnych, nie brał udziału w spektakularnych walkach”, wyjaśnia płk Piotr Gąstał. „Sam podkreśla, że dziś mówi się tyle o nim nie ze względu na jego czyny, ale dlatego, że jest ostatnim cichociemnym”.

Gdy skończyła się wojna, Aleksander Tarnawski służył w oddziale Zgrupowania Zachód Okręgu Nowogródek AK pod rozkazami Jana Wasiewicza „Lwa”. Gdy Armia Czerwona rozpoczęła aresztowania akowców, Tarnawski i jego koledzy zostali zwolnieni ze służby. Każdy poszedł w swoją stronę. „Wojna to straszna rzecz. Gdy się skończyła, to wszyscy byli szczęśliwi. Nieważne było, co się działo później, jaki ustrój zapanował, pod jakimi wpływami się znaleźliśmy. Nie było wojny, a to zawsze była jakaś poprawa”, przyznaje Tarnawski. O tym, że był cichociemnym, nie mówił nikomu, wiedział o tym wyłącznie jego ojciec. Nigdy nie interesowały się nim władze komunistyczne. Poza ➔



tym, jak sam przyznaje, przeszłość udało mu się utrzymać w sekrecie, choćby dlatego że w czasie wojny nie brał udziału w żadnych spektakularnych akcjach zbrojnych.

Po wojnie Aleksander Tarnawski wrócił do kariery naukowej. W 1949 roku ukończył chemię na Politechnice Śląskiej. Później pracował m.in. w Katedrze Chemii Fizycznej Politechniki Śląskiej, Instytucie Metali Nieżelaznych i Instytucie Przemysłu Tworzyw i Farb. Przez lata nie wracał do tego, co było. „Bo po co? Przeszłość się nie liczy, liczy się tylko przyszłość”, tłumaczy.

Od czasu do czasu ktoś się jednak o tę przeszłość Tarnawskiego upomina. Żołnierze GROM-u od lat próbowali zaprosić go na święto jednostki. Spotykali się z nimi inni cichociemni, opowiadali o tym, jak walczyli o wolną Polskę, wspominali wojnę i to, co wydarzyło się po niej. Przełom nastąpił w 2014 roku, gdy Aleksander Tarnawski pojawił się na zjeździe rodzin cichociemnych.

Zdawał sobie sprawę, że jest jednym z ostatnich żyjących legendarnych skoczków (kilka miesięcy wcześniej, tuż po setnych urodzinach zmarł gen. Bałuk) i że jego wspomnienia są ważne dla młodych ludzi. Usiadł więc obok mjr. Alojzego Józekowskiego i opowiadał o desancie do Polski. Zebranych dziennikarzy wprowadził w konsternację, gdy mówił o tym, że to nie żadne bohaterstwo, że zrobił tak, jak było trzeba, że jak każdy młody chłopak domagał się czynu. Te słowa powtórzył potem wielokrotnie, będzie znany z takiego stosunku do przeszłości. Ale wówczas odżegnywanie się od bohaterstwa budziło zdziwienie.

Tarnawski od razu zaprzyjaźnił się z żołnierzami z Jednostki Wojskowej GROM. „Ilekoć tam przyjeżdżałem, czułem się tak, jakby to była moja druga rodzina. Ci ludzie są wspaniali, począwszy od płk. Gąstała, który do niedawna był dowódcą jednostki, po szeregowych żołnierzy. To specjalna kategoria ludzi, z którymi łatwo mi się porozumieć”, wspomina. Gromowcy też są pod urokiem „Upłaza”. Nieszablony 90-latek nieraz ich zaskakiwał. Na przykład wtedy, gdy zgodził się na skok ze spadochronem.

SKOK WYSOKIEGO RYZYKA

Wolontariusze Fundacji im. Cichociemnych Spadochroniarzy AK, która dba o pamiątki po swoich patronach i pielęgnuje ich spuściznę, podczas jednej z rozmów zapytali Tarnawskiego, czy nie miałby ochoty skoczyć ze spadochronem. Ku zdziwieniu wszystkich – bardzo chę-

O TYM, ŻE BYŁ CICHOCIEMNYM, NIE MÓWIŁ NIKOMU, WIEDZIAŁ WYŁĄCZNIE JEGO OJCIEC

nie się zgodził. „Panuje przekonanie, że jak człowiek jest starym, za przeproszeniem, pierdołą, to się wszystkiego boi. No to się chciałem przekonać, czy tak jest. I okazało się, ku mojemu zdumieniu, że to nieprawda”, opowiadał żartobliwie o powodach swojej decyzji w polsce-zbrojnej.pl.

Entuzjazm Aleksandra Tarnawskiego tym razem nie udzielił się żołnierzom GROM-u. „Przyznaję, na początku obawialiśmy się o zdrowie pana Aleksandra”, wspomina „Maya”, instruktor spadochronowy. „Miał 94 lata i był żywą legendą.

Gdyby cokolwiek się stało... To był po prostu skok olbrzymiej wagi. Przeanalizowaliśmy wszystko i żaden z naszych tandempilotów [spadochroniarzy odgrywających rolę pilota w tandemie] nie podjął się tego zadania”, dodaje. Wkrótce do „Mai” dotarła jednak informacja, że planowany jest skok z cywilem. Wtedy uznaliśmy, że Tarnawskiemu musi towarzyszyć żołnierz GROM-u. Podjąłem rękawice, ale zastanawiałem się, jak ten skok przeprowadzić”, wspomina instruktor.

Aleksander Tarnawski pozytywnie przeszedł badania lekarskie. „Maya” dopracowywał techniczne szczegóły desantu. „Zaplanowaliśmy minimalną wysokość, czyli 2250 m, aby swobodne spadanie było bardzo krótkie. Miało się to odbyć tak: wyskakujemy z samolotu i niemal od razu otwieramy spadochron”, mówi instruktor. Los nieco jednak pokrzyżował jego plany. Dwa tygodnie przed skokiem „Maya” znalazł się w szpitalu i był operowany. „Lekarz powiedział mi, że do pełni sił będę dochodził około pięciu tygodni. Musiałem więc się wycofać, ale na szczęście znalazłem zastępstwo. Z panem Aleksandrem skoczył mój kolega Sławek, któremu ufałem w stu procentach”, wspomina.

Desant odbył się 7 września 2014 roku w Książenicach pod Warszawą – w 70. rocznicę skoku cichociemnych. W jego organizację zaangażowano mnóstwo ludzi. Samolot An-2, z pokładu którego skakał Tarnawski, udostępnił Klub Spadochronowy Sił Specjalnych przy Fundacji Delta, składający się z byłych i obecnych żołnierzy GROM-u. „Na pokładzie samolotu cały czas był paramedyk z naszej jednostki, który monitorował stan zdrowia Aleksandra”, wspomina płk Gąstał, który z „Mayą” obserwował skok z ziemi. Ale niepokój i tak był wielki. Kiedy wszystko się udało i Aleksander Tarnawski wylądował... „Z radości aż się uściskaliśmy z dowódcą”, wspomina ze śmiechem instruktor spadochronowy. Aleksander Tarnawski z zadowoleniem wspomina skok. Na pytanie, czy się denerwował,

odpowiedział: „Ależ skąd, czym? Pewnie denerwował się ten żołnierz, który ze mną skakał, co?”.

MISTRZ KOMPLEMENTÓW

O Aleksandrze Tarnawskim sporo wie Kaśka, żołnierz jednostki GROM, która opiekuje się cichociemnym podczas jego wyjazdów czy spotkań w Warszawie. Znają się też prywatnie. „Nasza przyjaźń zaczęła się, gdy przyjechał do GROM-u. Opieka nad nim była moim obowiązkiem, ale szybko stała się przyjemnością”, wspomina Kaśka. „Zaproponowałam mu wówczas, by zwracał się do mnie po imieniu. Zgodził się, ale pod jednym warunkiem: robi to tylko wtedy, gdy ja będę mówić do niego »Aleksandrze«. I tak przeszliśmy na ty”, wspomina z uśmiechem. „Upłaz” ujmuje ją dystansem do świata i do siebie. Kaśka mówi, że jest dżentelmenem. Budzi szacunek, gdy używa eleganckiego słownictwa. „Jest taki spokojny, zdystansowany. Tonuję się przy nim, nabieram ogłady, zmieniam język, który na co dzień jest taki... no żołnierski”.

Tarnawski znany jest z ujmującego traktowania kobiet. „Czasami ta jego dżentelmeńskość jest kłopotliwa”, uważa Kaśka. „Kiedy jesteśmy razem na jakimś spotkaniu i prowadzę go do specjalnie przygotowanego krzesła, buntuje się i nie ma zamiaru usiąść, dopóki ja, czy inna kobieta, nie usiądę. Szukamy więc dodatkowych krzeseł, a on zajmuje miejsce jako ostatni”, opowiada. I dodaje: „Podobnie jest, gdy się wyrывa, by podawać kobietom ich płaszcze”. Aleksander Tarnawski jest też mistrzem komplementów. „Dostrzega i niebanalnie komplementuje szczegóły, niuansy w ubiorze, postawie i zachowaniu”, wyjawia Kaśka.

Żołnierze GROM-u wiedzą też, że Tarnawski nie lubi być nazywany bohaterem. „Pewnego razu próbowałam przejść z nim do sali, w której odbywało się spotkanie z rodzinami cichociemnych. W drzwiach stało mnóstwo ludzi i był problem z przejściem. Wówczas jeden z żołnierzy krzyknął: »Przejsie dla VIP-a!«. Aleksander rozejrzał się i z uśmiechem skonstratował: »A kto jest VIP-em?«”, wspomina Kaśka. Skromność i poczucie humoru Tarnawskiego są dla jego otoczenia ujmujące. Podobnie jak jego optymizm i życzliwość do świata i ludzi.

Kaśka ma zaszczyt odwiedzać Aleksandra w domu. „Razem z Elą, jego żoną, tworzą wspaniały związek, pełen uczucia, taktu i wzajemnego szacunku”, opowiada i dodaje, że wizyty u Tarnawskich to uczta intelektualna i kulinarna (faworki lub pączki z konfiturą z róży, które przygotowuje żona Tarnawskiego, podobno nie mają sobie równych). Mieszkanie jest wypełnione książkami, obrazami i muzyką, a rozmowy toczą się w atmosferze tolerancji dla odmiennych poglądów.

W podobnym duchu o cichociemnym mówi również płk Gąstał. „Trzeba sobie jasno powiedzieć, że Aleksander

Tarnawski nie jest żołnierzem z krwi i kości. On jest humanistą, a z wykształcenia i zamiłowania chemikiem. Nie wybrał przed wojną szkoły wojskowej, bo chciał studiować chemię. Wojna mu w tym przeszkodziła. Wychowany w miłości do ojczyzny, wykonał swój obowiązek. Z okupowanej Polski dotarł do Francji, gdzie wstąpił do Wojska Polskiego. I twierdzi, że wartością jest uczyć się i pracować, a nie tylko walczyć dla ojczyzny. Trzeba dla niej po prostu żyć”.

NIEZROZUMIANY?

Postawa i sposób bycia Aleksandra Tarnawskiego nie zawsze spotykają się jednak z uznaniem. Bywa krytykowany przez ludzi ze środowiska rodzin cichociemnych. Pojawiają się głosy, że przesadza z tym odbrażawianiem pomnika legendarnych skoczków AK, że niepotrzebnie umniejsza ich bohaterskie czyny. Nie wszyscy zgadzają się też z poglądem Tarnawskiego, że 316 cichociemnych nie miało realnego wpływu na losy wojny. „Nie mogłoby mieć, nawet gdyby to była zwarta jednostka. Wobec tych sił, które się tutaj zmagaly, wobec tych mas ludzi, które się tu potykały, cóż mogliśmy znaczyć? Moim zdaniem, rola cichociemnych była symboliczna. Ludzie, którzy w kraju przyjmowali rzuty, opowiadali o tym swoim krewnym czy znajomym. Mimo konspiracji, takie wieści się roznosiły. I to była pozytywna rola cichociemnych. Dzięki nam ludzie mogli się dowiedzieć, że na Zachodzie o nich nie zapomniano. To podnosiło morale”, mówi „Upłaz”.

Płk Piotr Gąstał przyznaje, że Tarnawski jest krytykowany właśnie przez to, że inaczej mówi o patriotyzmie. „Ja staram się nie oceniać. Nie żyłem w tamtych czasach, nie ja dokonywałem tych wyborów, tylko ci ludzie. Cichociemni i tak są niezwykli. Zostali wybrani, przeszli selekcję, szkolenie i wykonali niebezpieczny lot nad okupowaną Europą. I ten skok w ciemną noc, przez otwór w kadłubie to wyjątkowa odwaga. Nie potrzeba tu dodatkowych słów”. Na to, że Tarnawski jest nierozumiany zwraca również uwagę Kaśka: „Aleksander trzeźwo patrzy na świat i życie. Wyraża własne i śmiałe opinie, ale ma do tego prawo. Innym ich nie narzuca”.

Aleksander Tarnawski bywa nie tylko w GROM-ie. Mieszka w Gliwicach, więc często odwiedza też tamtejszą jednostkę specjalną Agat. Kilka tygodni temu odbyło się tam spotkanie z okazji 96. urodzin cichociemnego. Ilekroć pytamy obecnych czy byłych żołnierzy jednostek GROM i Agat o to, dlaczego ta więź między nimi a Tarnawskim jest tak silna, odpowiadają, że chodzi o dystans do świata, podobne spojrzenie na patriotyzm, waleczność, pozytywne nastawienie do życia. Przyznają, że tej relacji nie da się opisać w prosty sposób. „My chyba po prostu jesteśmy ulepieni z tej samej, specjalnej gliny”, mówią. ■



ANNA DĄBROWSKA

Pieśń narodowa

90 lat temu „Mazurek Dąbrowskiego” stał się oficjalnym polskim hymnem.

Kiedy Polska w 1918 roku odzyskała niepodległość, musiała nie tylko uporać się z wieloma problemami politycznymi, gospodarczymi czy militarnymi, lecz także określić swoje symbole narodowe. O ile kwestię barw narodowych, czyli kolorów białego i czerwonego oraz godła państwowego – Orła Białego – rozstrzygnął Sejm Ustawodawczy odrodzonej Polski w ustawie z 1 sierpnia 1919 roku, o tyle sprawy hymnu narodowego nie poruszył. „W kraju toczyła się dyskusja wśród polityków, publicystów i zwykłych obywateli, która z wielu pieśni patriotycznych ma zostać naszym hymnem”, mówi Małgorzata Gańska, kustosz Muzeum Hymnu Narodowego w Będominie.

MUZYCZNI KANDYDACI

Dyskusję na temat hymnu rozpoczął Czesław Jankowski, redaktor naczelny „Przeglądu Warszawskiego” już w listopadzie 1914 roku, gdy

wraz z wybuchem I wojny odżyły nadzieje na odzyskanie przez Polskę niepodległości. Na łamach gazety napisał, że najlepszym kandydatem na nasz hymn jest pieśń „Boże, coś Polskę”, choć wskazał też na „Chorał” i „Mazurka Dąbrowskiego”. W kolejnych miesiącach w prasie pojawiały się następne propozycje.

Każda z kandydatur miała swoich zwolenników i przeciwników. Pieśń „Boże, coś Polskę” była szczególnie popularna w Królestwie Polskim, popierał ją także Kościół. Jednak część Polaków była jej przeciwna, pamiętano bowiem, że utwór Alojzego Felińskiego powstał w 1816 roku pierwotnie jako pieśń pochwalna dla cara Aleksandra I, na wzór angielskiego hymnu „God Save the Queen”. Dopiero w czasie powstania listopadowego zmieniono jej charakter, słowo „król” zastępując słowem „ojczyzna”.

W Wielkopolsce natomiast dominowała „Rota”, powstała w 1908 roku do słów Marii Konopnickiej z muzyką Feliksa Nowowiejskiego.



Po odzyskaniu niepodległości toczyła się dyskusja, która z pieśni patriotycznych ma zostać naszym hymnem. „Mazurek Dąbrowskiego” rywalizował m.in. z „Rotą” i „Bogurodzicą”.

o - -wski,

prze - wo -



Niewi śpiewa do swój Bóg
Człowiek śpiewa
Kochał Jasn, piosenki
Bóg w turahy.



Niemie, Mochał, nie śpiędo,
Ody jęwoy yaboz,
Hasom wycywił Władz będo
I Ojczona nioz.



Na to wycywił jedno gwoy!
Doyé toj śpiędo!
Masy Kaciwioło bocy!
Kodimoty Bóg jęwoy.

„Jak na hymn państwowy, zawierała jednak bardzo mocne słowa i raziła zwrotem »Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz«, tłumaczy Małgorzata Gańska. Z kolei legionieści skupieni wokół Józefa Piłsudskiego forsowali „Marsz Pierwszej Brygady”. Inni odwoływali się do staropolskiej „Bogurodzicy”, według Jana Długosza śpiewanej już w 1410 roku pod Grunwaldem.

Do naszego hymnu pretendowała też „Warszawianka”, napisana w 1831 roku po francusku przez poetę Casimira François Delavigne’a pod wpływem wydarzeń powstania listopadowego. Na polski przełożył ją Karol Sienkiewicz, a muzykę napisał Karol Kurpiński. W grę wchodził też „Chorał” Kornela Ujejskiego, ułożony podczas powstania chłopskiego 1846 roku do muzyki Józefa Nikiforowicza i zaczynający się od słów „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej”.

PIEŚŃ LEGIONÓW

Spory trwały, a żaden z utworów nie zdobywał znaczącej przewagi. Dlatego w 1921 roku Wacław Rogowicz i Aleksander Świętochowski zaproponowali w „Przeglądzie Warszawskim” napisanie nowego hymnu i ogłosili konkurs. Nie przyniósł on rezultatów, bo nadsyłane propozycje czytelników nie były satysfakcjonujące, a żaden ze znanych poetów nie chciał się podjąć takiego zadania.

Cały czas brano też pod uwagę „Mazurka Dąbrowskiego”. Utwór nazwany pierwotnie „Pieśnią Legionów Polskich we Włoszech”, powstał między 16 a 19 lipca

OD 1926 RO- KU TEKST

„MAZURKA DĄBROWSKIE- GO” NIE ULEGŁ ZMIANIE

1797 roku w miejscowości Reggio Emilia w północnych Włoszech. Tam, przy armii francuskiej Napoleona Bonapartego formowały się Legiony Polskie dowodzone przez gen. Jana Henryka Dąbrowskiego.

Pieśń napisana przez poetę Józefa Wybickiego do melodii starego mazurka uświetniła pożegnanie odchodzących z miasta oddziałów Legionów i stała się dla polskich żołnierzy symbolem wiary w odzyskanie niepodległości.

„Podczas powstania listopadowego »Mazurek Dąbrowskiego« stał się

jedną z najpopularniejszych pieśni patriotycznych. Śpiewano ją we wszystkich zaborach przy okazji świąt narodowych, towarzyszyła Polakom w zrywach powstańczych, a jej tekst był często modyfikowany w zależności od okoliczności i miejsca”, opowiada pani kustosz.

W niepodległej Polsce powoli zaczęto mazurek traktować nieoficjalnie jako polski hymn. Jak pisze Tomasz Matuszak w artykule „Mazurek Dąbrowskiego w świetle akt Centralnego Archiwum Wojskowego”, w „Dzienniku rozkazów Ministerstwa Spraw Wojskowych” z 22 marca 1921 roku pojawił się rozkaz traktujący o oddawaniu honorów podczas odgrywania mazurka tak jak w czasie hymnu, czyli osoby wojskowe miały wówczas stać w postawie zasadniczej.

Z kolei 2 listopada 1921 roku, także w „Dzienniku rozkazów MSW”, określono zasady wykonywania „Mazurka Dąbrowskiego” jako hymnu narodowego w trakcie uroczystości wojskowych i stwierdzono, że każdy żołnierz →

PO II WOJNIE ŚWIATOWEJ WŁADZE KOMUNISTYCZNE CHCIAŁY ZMIENIĆ SŁOWA HYMNU NA BARDZIEJ ZWIĄZANE Z NOWĄ WŁADZĄ LUDOWĄ

jest zobowiązany w czasie wyszkolenia rekrutkiego nauczyć się melodii i tekstu tej pieśni.

„Pieśń ta jednak cały czas była wyłącznie nieformalnym hymnem, nie wspominała o niej bowiem np. »Konstytucja« z 17 marca 1921 roku”, podkreśla Małgorzata Gańska. Dopiero po dojściu do władzy w wyniku przewrotu majowego w 1926 roku zwolenników Piłsudskiego, którzy czuli się także spadkobiercami idei legionistów gen. Dąbrowskiego, mazurek został oficjalnie hymnem państwowym.

Pierwszym aktem prawnym, który to potwierdził, był okólnik z 15 października 1926 roku Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego (MWRiOP) skierowany do kuratorów oświaty. Napisano w nim, że „Mazurek” jest pieśnią obowiązkową do śpiewania w szkołach w charakterze hymnu narodowego.

Do okólnika dołączono czterozwrotkowy tekst opracowany przez komisję MWRiOP-u. W stosunku do oryginału wprowadzono pewne zmiany: zrezygnowano z dwóch spośród sześciu zwrotek oraz zmieniono rymy: „Jeszcze Polska nie umarła, kiedy my żyjemy. Co nam obca moc wydarła, szablą odbijemy” na „Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my żyjemy. Co nam obca przemoc wzięła, szablą odbierzemy”. Od tego czasu tekst hymnu nie uległ już zmianie.

Cztery miesiące później, 26 lutego 1927 roku, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych ogłosiło okólnikiem nr 49 ten sam tekst jako słowa hymnu państwowego obowiązującego w całym kraju i wykonywanego na wszystkich uroczystościach. „Ministerstwo Spraw Wewnętrznych podaje przy niniejszym tekst literacki pieśni

»Jeszcze Polska nie zginęła« opracowany przez specjalną komisję Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Tekst ten należy uważać za jedynie obowiązujący”, napisał minister Felicjan Sławoj Składkowski.

W ten sposób mazurek stał się pierwszym oficjalnym polskim hymnem. 2 kwietnia 1927 roku dołączono do słów nuty i oficjalnie ustalono harmonizację opracowaną przez kompozytora i dyrygenta Feliksa Konopaskę na zlecenie MWRiOP-u.

KOMUNISTYCZNE ZAKUSY

Po II wojnie światowej władze komunistyczne chciały pozostawić melodię hymnu, ale zmienić jego słowa na bardziej związane z nową władzą ludową. „Prezydent Bolesław Bierut zaproponował nawet poecie Władysławowi Broniewskiemu napisanie nowego hymnu, ten jednak odmówił”, opowiada pani kustosz. W końcu mazurek pozostał w niezmienionej formie.

Potwierdziło to zarządzenie ministra oświaty z 20 czerwca 1948 roku, a 31 stycznia 1980 roku tekst i nuty hymnu zatwierdził Sejm w ustawie o godle, barwach i hymnie. Jednak zapis o hymnie państwowym nie znalazł się w tekście „Konstytucji” z 22 lipca 1952 roku, która mówi o naszych barwach narodowych i godle.

Dopiero poprawka do ustawy zasadniczej z 1976 roku po raz pierwszy wprowadziła do konstytucji hymn, stwierdzono, że jest nim „Mazurek Dąbrowskiego”. Także obecna „Konstytucja”, z 1997 roku, w art. 28 głosi: „Hymnem Rzeczypospolitej Polskiej jest »Mazurek Dąbrowskiego«”. ■



Premiera filmu „Droga weterana – pokonać Hańczę”. Pierwszy z prawej – mł. chor. Sebastian Marczewski, główny bohater produkcji.

MAGDALENA MIERNICKA

Weterani na ekranie

Produkują filmy o losach uczestników misji poza granicami kraju. W ten sposób chcą walczyć o dobre imię żołnierzy.

Chcielibyśmy, aby żołnierze wracający z misji byli traktowani tak jak weterani na przykład w USA, więc przedstawiamy ich historie na ekranie”, mówi Szymon Marcinów, założyciel Fundacji Invictus Veteranus. „Właśnie zakończyliśmy produkcję filmu o nurku ekstremalnym, teraz chcemy przygotować całą etiudę opowiadającą o losach uczestników misji poza granicami kraju i ich rodzin”.

Pierwszy film Fundacji to „Droga weterana – pokonać Hańczę”. Jego bohaterem jest mł. chor. Sebastian Marczewski z 3 Batalionu Inżynieryjnego w Nisku, żołnierz, który został ciężko ranny na misji w Afganistanie. W 2009 roku w wyniku wybuchu miny pułapki w dwóch miejscach miał złamany kręgosłup. Dzięki długiej rehabilitacji odzyskał sprawność, ale musiał zrezygnować z wysiłku fizycznego.

Od tego czasu nurkowanie zdominowało jego życie. Choć Sebastian uprawiał ten sport od 20 lat, dopiero po wypadku zdecydował się na jego ekstremalną wersję (więcej na ten temat w „Polsce Zbrojnej” 12/2015). Jest m.in. pierwszym człowiekiem, który zanurkował wzdłuż najgłębszego polskiego jeziora – Hańczy. Rekordowe nurkowanie odbyło się 23 lipca 2016 roku. Wówczas Sebastian spędził pod wodą prawie osiem godzin, przełynął 4,5 km na głębokości 104 m.

W czasie nurkowania, a także dwuletnich przygotowań do bicia rekordu, weteranowi towarzyszyła ekipa filmowa. To właśnie na podstawie zebranych przez nią materiałów powstał film „Droga weterana – pokonać Hańczę”, w którym pojawiły się również wspomnienia żołnierza z misji. Było to możliwe dzięki zdjęciom, które udostęp-

niła Combat Camera, zespół reporterski Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych. „Chcieliśmy, aby nasz dokument był nie tylko relacją z ekstremalnego nurkowania”, mówi Rafał Makolądra, reżyser (więcej w rozmowie w „Polsce Zbrojnej” 8/2016). „Naszym celem było pokazanie problemów, z jakimi musi się zmagać żołnierz w czasie operacji wojskowych”, dodaje.

Tę inicjatywę popiera m.in. ppłk Leszek Stępień, dyrektor Centrum Weterana poza Granicami Państwa. „Bardzo doceniam wszelkie projekty mające na celu poprawę wizerunku weteranów, tym bardziej że często za realizację odpowiadają wolontariusze. Sam przez wiele lat byłem związany z organizacjami pozarządowymi i wiem, ile wysiłku trzeba włożyć w to, aby zdobyć środki i namówić specjalistów do pracy, za którą nie dostaną wynagrodzenia. Dlatego jeśli producent będzie potrzebował mojego wsparcia przy produkcji kolejnych filmów, na pewno może na nie liczyć”, zaznacza.

A co o filmie sądzi jego główny bohater? „Operatorzy pracowali tak dyskretnie, że w ogóle nie zauważałem ich obecności. Dlatego teraz dziwnie się czuję, kiedy oglądam siebie na ekranie”, mówi. „Ten film traktuję jako zwieńczenie projektu nurkowego oraz ciężkiej pracy całego zespołu, który mnie wspierał podczas jego realizacji. Jestem z niego bardzo dumny”.

„Drogę weterana” będzie można zobaczyć w telewizji i internecie. Producent chce także wydać film na płycie DVD, a dochód ze sprzedaży przeznaczyć na realizację kolejnych produkcji o weteranach. „Szukam bohaterów następnych filmów. Mam nadzieję, że będą gotowe w 2018 roku”, zapowiada Marcinów. ■

Wymiana muzealiów

Polska i Jordania wymieniły się zabytkową bronią pancerną.

Królewskie Muzeum Broni Pancernej w Ammanie, stolicy Jordanii, podczas wizyty ministra Dariusza Gwizdały, zastępcy szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego, dostało wyremontowany pływający czołg typu PT-76, pochodzący z czasów powojennych. W zamian strona jordańska przekazała Polsce cztery eksponaty: brytyjski samochód pancerny typu Fox z 1973 roku, czołg M47 Patton produkcji amerykańskiej z 1950 roku, czołg M48 A1 Patton z USA z 1958 roku i samochód pancerny Marmon Herrington konstrukcji południowoafrykańskiej z 1941 roku, takie jakie były używane przez żołnierzy Pułku Ułanów Karpackich na froncie afrykańskim w czasie II wojny światowej. Jak podaje BBN, wymiana muzealiów została zainicjowana w 2016 roku przez króla Jordanii Abdullaha II podczas rozmowy z polskim prezydentem Andrzejem Dudą. AD



FORSVARET MEDIEARKIV

Militarne Holmenkollen

Pod skocznią narciarską znajdowało się tajne centrum dowodzenia.

Wewnątrz wzgórza pod skocznią w słynnym kompleksie sportów zimowych Holmenkollen w Oslo w czasie zimnej wojny istniał kompleks militarny, który miał

być **głównym centrum dowodzenia obroną Norwegii** w razie wybuchu kolejnego konfliktu światowego. Jak podaje norweska telewizja NRK, budowa ośrodka rozpoczęła się w 1941 roku, w czasie niemieckiej okupacji, kiedy wzgórze było centrum obserwacyjnym Luftwaffe. Po wojnie konstrukcję rozbudowano tak, że powstał pięciopiętrowy kompleks o powierzchni 4 tys. m². Tajny budynek do 1986 roku pełnił funkcję centrum dowodzenia. Przez całą dobę pracowało tam około stu osób, które wchodziły do kompleksu i wychodziły z niego tylko nocą, przez zamaskowane drzwi wykute w skale. Dla kamuflażu pracownicy przebierali się za narciarzy. AD



Upamiętnić miejsce kaźni

**IPN chce wykupić piwnice
w dawnej siedzibie NKWD.**

Instytut Pamięci Narodowej wystąpił do Ministerstwa Finansów z wnioskiem o dotację na wykupienie zabytkowych piwnic przy ul. Strzeleckiej 8 na Pradze w Warszawie. To tam zaraz po wojnie była katownia Urzędu Bezpieczeństwa, w której komuniści przetrzymywali, torturowali i mordowali żołnierzy podziemia niepodległościowego, informuje IPN na swojej stronie. W tym budynku w latach 1944–1945 mieściła się **Kwatera Główna NKWD w Polsce, a przez następne trzy lata był areszt Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego**. IPN podał, że budynek, który powstał w drugiej połowie lat trzydziestych XX wieku, jest modernizowany. Kontrola konserwatorska wykazała jednak, że nie ma w nim odpowiedniej ochrony zabytkowych piwnic. Panująca tam wilgoć wpływa negatywnie na drewniane drzwi pokryte inskrypcjami oraz na ceglane ściany, na których też można znaleźć więzienne napisy. IPN chce zachować zabytkowy charakter tego miejsca. Jak podaje Instytut, po wykupieniu piwnic planowane jest przeprowadzenie tam niezbędnych prac, a następnie udostępnienie obiektu zwiedzającym. AD ■

Obraz sprawców

**Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau apeluje
o przekazywanie dokumentów.**

Dotychczas opieraliśmy się głównie na relacjach i wspomnieniach byłych więźniów, zachowanej dokumentacji obozowej oraz powojennych materiałach procesowych. Nie mamy jednak wielu źródeł, które pozwalają lepiej i pełniej zrozumieć motywację sprawców”, napisał w apelu do niemieckiej i austriackiej opinii publicznej dr Piotr M.A. Cywiński, dyrektor Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau. Jak tłumaczy, w archiwach

zachowało się niewiele prywatnych materiałów stworzonych przez członków załogi SS niemieckiego nazistowskiego obozu koncentracyjnego Auschwitz. Dlatego, dla pełniejszej analizy i zrozumienia mentalności sprawców, prosi o przekazywanie dokumentów, zdjęć, listów i innych materiałów z nimi związanych. Jak zapewnił dr Cywiński, ofiarodawcom gwarantuje pełną anonimowość. AD ■

Precedensowy wyrok

**Dawni strażnicy obozów
koncentracyjnych nie są
bezkarni.**



Niemiecki Federalny Trybunał Konstytucyjny pod koniec 2016 roku potwierdził wyrok wydany w lipcu przez sąd w Lüneburgu. Uznał on 94-letniego Oskara Grönina, byłego strażnika z niemieckiego

obozu koncentracyjnego Auschwitz, za winnego pomocnictwa w zamordowaniu co najmniej 300 tys. osób i skazał go na cztery lata więzienia. Sędziowie samą obecność esesmana w obozie zagłady uznali za okoliczność wystarczającą do wydania wyroku skazującego. Ich zdaniem, Gröning był „częścią morderczej maszyny”, chociaż sam nie zabijał więźniów. Jak podaje gazeta „Süddeutsche Zeitung”, orzeczenie to stworzyło podstawę do dalszych poszukiwań sprawców i kolejnych procesów przeciwko byłym esesmanom. Już teraz niemiecki Centralny Urząd Ścigania Zbrodni Nazistowskich skierował do prokuratury sprawy trzech kolejnych podejrzanych. Do niedawna byli strażnicy obozów koncentracyjnych pozostawali bezkarni, ponieważ według orzeczenia niemieckiego Trybunału Federalnego z 1969 roku, warunkiem skazania za pomoc w morderstwach było udowodnienie indywidualnej winy oskarżonego. W wielu wypadkach, z powodu braku świadków zbrodni, było to niemożliwe. AD ■



CWGC (2)

ANNA DĄBROWSKA

Pod krzyżem ofiarnym

**Ponad tysiąc brytyjskich jeńców i pilotów
zostało pochowanych w polskiej ziemi.**

Zbazy w Bottesford w Wielkiej Brytanii 11 lipca 1942 roku o godzinie 16.41 wystartował samolot Lancaster Mk. I o numerze L7543 z 207 Dywizjonu Bombowego RAF. Za sterami maszyny zasiadł st. sierż. George Duke. Minutę później z innej brytyjskiej bazy, Woodhall Spa, w powietrze wzniósł się pilotowany przez kpt. Charlesa Millera bombowiec z 97 Dywizjonu Bombowego RAF o numerze R5696.

DRAMATYCZNY LOT

Obie maszyny dołączyły do grupy 44 lancasterów, które miały zbombardować niemiecką bazę U-bootów w Gdańsku. Zwykle takie akcje przeprowadzano nocą, a tym razem RAF lot zaplanował na dzień. Maszyny miały przelecieć nad Morzem Północnym na niskim pułapie, w gęstych chmurach, następnie w ostatniej chwili wyłonić się z nich, przed zmrokiem zbombardować okręty i nocą wrócić do Anglii.

Nie wszystko jednak poszło zgodnie z przewidywaniami. Po wyjściu z chmur część załóg niestety zbyt

późno zidentyfikowała wyznaczone cele. Tylko 24 maszyny zbombardowały port, a pozostałe już w ciemności zrzuciły bomby na miasto. Poza tym dwie maszyny zostały zestrzelone przez artylerię przeciwlotniczą. Bombowce pilotowane przez kpt. Millera i sierż. Duka rozbiły się pod Gdańskiem i zginęły obie siedmioosobowe załogi. Z 97 Dywizjonu polegli: sierż. John Forsyth, sierż. Alan Grossmith, ppor. Joseph Eslick, ppor. Robert Westgate, st. sierż. Aiden Nickerson i sierż. Norman Smith. Z 207 Dywizjonu zginęli wówczas st. sierż. Kenneth Hart, sierż. Frank Routledge, sierż. Harold Storey, ppor. Kenneth Shirley, st. sierż. David Boldy i st. sierż. Altan Cullerne. Wszyscy spoczęli w zbiorowej mogile na Cmentarzu Wojennym Wspólnoty Brytyjskiej w Malborku.

OFIARY DWÓCH WOJEN

Nekropolię założyła w 1946 roku Komisja Wspólnoty Brytyjskiej ds. Cmentarzy Wojennych (Commonwealth War Graves Commission – CWGC). Przeniesiono tam szczątki żołnierzy pochowanych na mniej-

szych cmentarzach, głównie z Torunia i Gdańska. W Malborku spoczywają zatem wojskowi, którzy podczas obu wojen światowych zmarli lub zginęli na terenie obecnej Polski.

Nad nekropolią góruje Cross of Sacrifice, czyli krzyż ofiarny stawiany na każdym brytyjskim cmentarzu wojennym. Na grobach umieszczono kamienne tablice z wrytymi imionami i nazwiskami żołnierzy, ich stopniami wojskowymi, nazwami jednostek, datami śmierci, a także nazwami otrzymanych odznaczeń.

W mogiłach spoczęło 232 żołnierzy poległych i zmarłych w latach 1939–1945. Wśród nich jest 189 piechurów, 39 lotników, jeden marynarz floty wojennej i trzech z floty handlowej. To przede wszystkim obywatele Wielkiej Brytanii, ale jest też czterech Kanadyjczyków, trzech Australijczyków i dwóch Nowozelandczyków. Zostali tu pochowani jeńcy wojenni przetrzymywani w pobliskich obozach – w Stalagu 1A w Kamińsku, Stalagu 2A w Starogardzie Gdańskim, Stalagu XXA w Toruniu, a większość w malborskim Stalagu XXB. Umierali tam z wycieńczenia i głodu, na skutek odniesionych ran, z chorób, ginęli także w trakcie ucieczek.

Stalag Marienburg – Willenberg powstał w 1939 roku, a pierwsi jeńcy przybyli do niego już 16 grudnia. Na początku przywożono tam głównie Polaków, którzy dostali się do niewoli w czasie kampanii wrześniowej. Potem trafiali do obozu także szeregowi i podoficerowie z innych armii alianckich. Stalag XXB mógł pomieścić kilka tysięcy osób. Pełnił funkcję obozu tranzytowego dla jeńców przemieszczających się między komandami roboczymi ulokowanymi w okolicznych miejscowościach.

Według raportu Czerwonego Krzyża z września 1940 roku, w obozie głównym przebywało 5840 jeńców: 4569 Francuzów, 589 Belgów, 682 Polaków. W kwietniu 1943 roku było natomiast 1777 jeńców: 623 Francuzów, 42 Belgów, 123 Jugosłowian i 989 Brytyjczyków. Jeńców zatrudniano na terenie stalagu, w mieście przy pracach porządkowych, a także w okolicznych wsiach, w tartakach i cegielniach.

Malborski cmentarz to również miejsce spoczynku jeńców z okresu I wojny światowej. Znajduje się tutaj



W MALBORKU SPOCZYWAJĄ WOJSKOWI, KTÓRZY PODCZAS OBU WOJEN ŚWIATOWYCH ZMARLI LUB ZGINĘLI NA TERENIE OBECNEJ POLSKI

14 mogił i sześć niezidentyfikowanych, żołnierzy zmarłych w latach 1914–1922, których szczątki przeniesiono do Malborka w 1960 roku z Cmentarza Garnizonowego w Gdańsku. Przy bramie umieszczono też tablicę z nazwiskami 39 brytyjskich jeńców zmarłych w niemieckim obozie w Lidzbarku Warmińskim w latach 1914–1918, których grobów nie odnaleziono.

DZIEŃ PAMIĘCI

W Polsce ponad tysiąc żołnierzy Wspólnoty Brytyjskiej, którzy stracili życie w czasie I i II wojny światowej na naszych terenach, spoczywa na pięciu wojskowych cmentarzach: w Krakowie, Lidzbarku Warmińskim, Popielowie, Poznaniu i Malborku. Co roku

11 listopada na każdej z tych nekropoli dyplomaci i wojskowi z państw Wspólnoty Brytyjskiej oddają cześć żołnierzom podczas Remembrance Day, czyli dnia pamięci o poległych. To święto, obchodzone w rocznicę zakończenia I wojny światowej, nazywane jest często „Poppy Day”. Na grobach żołnierzy składa się bowiem z tej okazji maki, symbolizujące krwawą walkę. Tego dnia sztuczne kwiaty nosi się także przypięte do ubrania, a dochód z ich sprzedaży jest przeznaczony na rzecz weteranów.

Taka uroczystość odbywa się także każdego roku w Malborku – na cmentarzu brytyjskim oraz pod pomnikiem Stalagu XXB na cmentarzu komunalnym. „Każda wojna niesie ze sobą olbrzymi bagaż nieszczęść, okrucieństwa, ludzkich tragedii, ale każda wojna niesie również olbrzymią naukę i wiedzę dla przyszłych pokoleń, aby nigdy nie popełniały błędów, które doprowadzają do tak wielkiej tragedii, jaką jest wojna”, mówił w tym roku podczas obchodów dnia pamięci Marek Charzewski, burmistrz Malborka. Odczytywano też tradycyjny „Akt Pamięci”. „Pamiętajmy przed Bogiem i polećmy Jego opiece tych, którzy polegli dla swojego kraju podczas wojny; tych, których znaliśmy i których zachowujemy w pamięci, a także wszystkich tych, którzy żyli i zginęli, służąc obronie ludzkości. Nie zestarzeją się, jak starzejemy się my, którzy tu pozostaliśmy. Wiek podeszły ich nie skruszy, ni lata nie złamią. O zachodzie słońca i o poranku będziemy o Nich pamiętać”.

**Panu Krzysztofowi Lechowi
oraz Jego Rodzinie i Najbliższym**
szczerze kondolencje i wyrazy głębokiego
współczucia z powodu śmierci
Żony
składają kierownictwo, żołnierze i pracownicy
Departamentu Kadr MON.

Głębokie wyrazy współczucia
z powodu śmierci
Ojca
**Panu ppłk. Andrzejowi Smolińskiemu
oraz Rodzinie**
składają polscy żołnierze i pracownicy wojska
z SHAPE.

Z wielkim smutkiem i żalem przyjąłem
wiadomość o nagłej śmierci
Pana st. chor. sztab. rez. Andrzeja Ramusa
kierownika klubu
3 Sandomierskiego Batalionu Radiotechnicznego.
W tej bolesnej chwili
**Szanownej Rodzinie, Najbliższym Zmarłego
oraz sandomierskim żołnierzom i pracownikom**
składam wyrazy głębokiego żalu i szczerego
współczucia.
Dowódca 3 Brygady Radiotechnicznej
gen. bryg. Wojciech Lewicki
wraz z żołnierzami i pracownikami

„Można odejść na zawsze, by stale być blisko”.
ks. J. Twardowski

**Panu kpt. rez. Piotrowi Zwolickiemu
oraz Rodzinie**
wyrazy szczerego współczucia
oraz głębokiego żalu po śmierci
Teściowej
składają szef, żołnierze, pracownicy
Delegatury Departamentu Kontroli w Bydgoszczy.

Panu płk. Krzysztofowi Domańskiemu
wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci
Ojca
składają dowódca operacyjny rodzajów sił
zbrojnych oraz żołnierze i pracownicy
Dowództwa Operacyjnego Rodzajów
Sił Zbrojnych.

Panu płk. Andrzejowi Niekraszowi
wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczerze kondolencje
z powodu śmierci
Ojca
składają kadra i pracownicy
Zarządu Rozpoznania i Walki Elektronicznej
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Panu płk. dypl. Rafałowi Ostrowskiemu,
dowódcy 7 BOW,
wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci
Teścia
składają żołnierze oraz pracownicy wojska
7 Brygady Obrony Wybrzeża Słupsk – Lębork –
Trzebiatów.

Panu płk. Wiesławowi Marszałek
wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczerze kondolencje
z powodu śmierci
Ojca
składają kadra i pracownicy
Zarządu Rozpoznania i Walki Elektronicznej
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przesyłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl
z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi”. Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 261 845 213,
261 845 230, 261 840 227

**Panu mjr. Przemysławowi Kurzawiakowi
oraz Jego Najbliższym**

wyrazy głębokiego współczucia
i szczerę kondolencje
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
12 Brygady Zmechanizowanej ze Szczecina.

Wyrazy głębokiego i szczerę współczucia

Panu płk. Ireneuszowi Makulskiemu,
szefowi Oddziału Nadzoru Właścielskiego
Departamentu Wojskowej Służby Zdrowia
w Warszawie,
z powodu śmierci

Mamy

składają komenda, żołnierze i pracownicy
1 Wojskowego Szpitala Klinicznego
z Polikliniką SPZOZ w Lublinie.

Panu kpt. rez. Pawłowi Majchrowskiemu,
st. referentowi Wojskowej Komendy Uzupełnień
w Siedlcach,
wyrazy głębokiego żalu i szczerę współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają oficerowie i pracownicy wojska
z WKU w Siedlcach.

Panu płk. rez. Janowi Mrożkowi
wyrazy szczerę żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Matki

składa zastępca komendanta
wraz z szefem logistyki
6 Wojskowego Oddziału Gospodarczego w Ustce.

„Umarłych wieczność dotąd trwa,
dokąd pamięcią się im płaci”.
Wisława Szymborska

**Panu płk. Rafałowi Ostrowskiemu
oraz Jego Najbliższym**
wyrazy głębokiego współczucia i szczerę
kondolencje z powodu śmierci
Teścia
składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
Dowództwa 12 Szczecińskiej Dywizji
Zmechanizowanej.



Prawdziwy żołnierz

**Generał Janusz Brochwicz-Lewiński
1920–2017**

Generał Janusz Brochwicz-Lewiński to wzór cnót Grycerskich. Wskazywał drogę młodym ludziom i swoją postawą uczył ich, czym jest patriotyzm. Pokazał, co to znaczy poświęcenie oraz umiłowanie wolności i Ojczyzny. Zwracał uwagę na to, jak ważne jest, by Polska była niepodległa i suwerenna, walczył o nią bowiem do samego końca.

W kontaktach międzyludzkich był niezwykle serdecznym człowiekiem. Trudno zapomnieć Jego oczy, w których widać było zapal, kiedy dzielił się z innymi swoim jakże bogatym życiorysem. Znajdował wspólny język z młodymi. Może dlatego, że mimo podeszłego wieku i widocznych problemów ze zdrowiem mentalnie ciągle był chłopakiem walczącym w Pałacyku Michła czy na cmentarzu ewangelickim.

Generał emanował energią życiową, mądrością i doświadczeniem. Trudno też było nie zauważyć, że ma duszę wojownika. Był człowiekiem, który nigdy się nie poddaje.

Wciąż powtarzał, że nie ma wartości większej niż Ojczyzna i zdaje mi się, że dla nas, żołnierzy, jest to niesamowicie istotny przekaz. Generał nauczał, że dzięki wszystkim wydarzeniom, które miały miejsce lata temu, dzięki temu dziedzictwu dziś możemy być wolni, możemy z dumą mówić, że jesteśmy Polakami.

Generała już nie ma, odszedł na wieczną wartę, ale pamięć o Nim w naszych sercach pozostanie. Jego historia, która mogłaby posłużyć za scenariusz hollywoodzkiej produkcji, będzie żyła, dopóki my będziemy o Nim pamiętać. Odszedł wielki człowiek. SR

Cześć Jego pamięci!

Panu ppłk. Wiesławowi Riedel

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Teściowej

składają dyrektor oraz kadra i pracownicy
Departamentu Budżetowego MON.

Panu Andrzejowi Karpińskiemu

wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci

Mamy

składają kadra i pracownicy
Centrum Operacyjnego
Ministra Obrony Narodowej.

**Panu st. chor. sztab. Krzysztofowi Podkulińskiemu
oraz Jego Rodzinie i Bliskim**

wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Taty

składają koleżanki i koledzy podoficerowie
wojsk lądowych.

Panu Adamowi Durce

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają dyrektor, żołnierze i pracownicy wojska
Departamentu Polityki Bezpieczeństwa
Międzynarodowego.

Panu st. chor. sztab. Krzysztofowi Podkulińskiemu
wyrazy współczucia i żalu z powodu śmierci

Ojca

składa dowódca wraz z żołnierzami
i pracownikami wojska Dowództwa Generalnego
Rodzajów Sił Zbrojnych.

Panu st. chor. sztab. Krzysztofowi Podkulińskiemu,

starszemu podoficerowi

Dowództwa Generalnego RSZ,

oraz Jego Rodzinie

wyrazy żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają podoficerowie
16 Dywizji Zmechanizowanej.

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 5 stycznia 2017 roku zmarł w Warszawie

gen. bryg. Janusz Brochwicz-Lewiński

ps. „Gryf”,

urodzony 17 września 1920 roku
w Wołkowysku.

W latach 1938–1939 służył ochotniczo
w 76 Lidzkim Pułku Piechoty. Podczas inwazji
niemiecko-sowieckiej 1939 roku walczył
w stopniu kaprała podchorążego w składzie
Armii „Prusy”. Od sierpnia 1940 roku żołnierz
Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej
w Lubelskim Okręgu ZWZ-AK. Od sierpnia
1943 roku służył w oddziałach partyzanckich
na Lubelszczyźnie. Dowódca plutonu w oddziale
Hieronima Dekutowskiego „Zapory”.

Od marca 1944 roku instruktor wyszkolenia
bojowego i terenoznawstwa w Batalionie
„Parasol” w Okręgu Warszawskim AK.
Dowodził szeregiem akcji zbrojnych na terenie
Warszawy. Podczas powstania warszawskiego
oficer 1 kompanii Batalionu „Parasol”. Dowódca
obrony Pałacyku Michła oraz uczestnik walk
na wolskich cmentarzach. Ciężko ranny, leczony
w szpitalu polowym na Starym Mieście,
ewakuowany kanałami do Śródmieścia.

Od października 1944 roku więzień obozu
w Lamsdorf, następnie Oflagu VII-A Murnau.

Po wojnie zastępca dowódcy kompanii
w Ośrodku Zapasowym 1 Samodzielnej Brygady
Spadochronowej w Szkocji. Od października
1947 roku oficer Brytyjskich Sił Zbrojnych.

W 2002 roku powrócił do Polski. W latach
2009–2014 członek Kapituły Orderu Wojennego
Virtuti Militari. Uhonorowany Krzyżem
Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari,
Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski,
Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia
Polski oraz wieloma innymi odznaczeniami
polskimi i brytyjskimi. Honorowy Obywatel
Miasta Stołecznego Warszawy.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.
Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
p.o. Szefa Urzędu do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych

Panu płk. Mariuszowi Skulimowskiemu
 wyrazy głębokiego współczucia
 i szczerę kondolencję z powodu śmierci
Matki
 składają żołnierze i pracownicy wojska
 10 Brygady Logistycznej.

Panu st. chor. Adamowi Jakubowskiemu
 wyrazy szczerę współczucia i głębokiego żalu
 z powodu śmierci
Ojca
 składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
 1 Ośrodka Radioelektronicznego w Grójcu.

Wyrazy głębokiego współczucia oraz żalu
Panu kmdr. ppor. Piotrowi Pasztelanowi
oraz najbliższej Rodzinie
 z powodu śmierci
Teścia
 składają dowódca Polskiego Kontyngentu
 Wojskowego „Czernicki”,
 koledzy i koleżanki ze sztabu zespołu
 oraz załoga okrętu.

Pani Teresie Połumackanycz
oraz Jej Najbliższym
 wyrazy głębokiego żalu, szczerę współczucia
 i słowa wsparcia
 z powodu śmierci
Mamy
 składają oficerowie i pracownicy
 Delegatury Departamentu Kontroli w Warszawie.

Wyrazy głębokiego żalu i szczerę współczucia
Panu gen. bryg. Mieczysławowi Myszak
oraz Jego Rodzinie
 z powodu śmierci
Mamy
 składają szef, żołnierze, strażacy oraz pracownicy
 Wojskowej Ochrony Przeciwpowodziowej.

Pani Danucie Damięckiej
 wyrazy głębokiego współczucia
 z powodu śmierci
Brata
 składają dyrektor oraz żołnierze i pracownicy
 Departamentu Budżetowego MON.

Pani Mirosławie Gembskiej i Jej Rodzinie
 słowa otuchy i wyrazy szczerę żalu
 oraz głębokiego współczucia z powodu śmierci
Matki
 składają żołnierze i pracownicy wojska
 Zarządu Obrony przed Bronią Masowego Rażenia
 Inspektoratu Rodzajów Wojsk
 Dowództwa Generalnego RSZ.

Panu ppłk. Mariuszowi Mądrymu
 wyrazy głębokiego współczucia
 z powodu śmierci
Teścia
 składają dyrektor oraz żołnierze i pracownicy
 Departamentu Budżetowego MON.



Pamiętamy

st. sierż. sztab. Andrzej Malinowski
 3 lutego 1997 r.,
 UNIFIL Liban

szer. Robert Jankowski
 4 lutego 1992 r., UNDOF Syria

kpr. Piotr Nita
 7 lutego 2007 r., PKW Irak

st. chor. sztab. Andrzej Rozmiarek
 10 lutego 2009 r.,
 PKW Afganistan

sierż. Grzegorz Szukielojć
 19 lutego 2008 r., UNDOF Syria

kpr. Roman Góralczyk
 25 lutego 2005 r.,
 PKW Irak

st. kpr. Szymon Słowik
 26 lutego 2008 r.,
 PKW Afganistan

kpr. Hubert Kowalewski
 26 lutego 2008 r.,
 PKW Afganistan

Panu mjr. nawig. Robertowi Kietlińskiemu

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Matki

składa Dowództwo 1 Brygady Lotnictwa
Wojsk Lądowych.

Panu mjr. Markowi Milewskiemu

oraz Jego Rodzinie i Bliskim

wyrazy głębokiego współczucia i kondolencje
z powodu śmierci

Ojca

składają wojskowy komendant uzupełnień,
kadra i pracownicy
Wojkowej Komendy Uzupełnień w Brodnicy.

Panu kmdr. ppor. Waldemarowi Hałasie

wyrazy współczucia oraz słowa wsparcia
w trudnych chwilach
z powodu śmierci

Ojca

składają kadra i pracownicy wojska
Centrum Operacji Morskich –
Dowództwa Komponentu Morskiego.

Wyrazy współczucia i szczerą kondolencję

Żonie Weronice z Rodziną

z powodu śmierci

Męża

kmdr. w st. spocz. Jana Fursewicz

składają komendant, żołnierze i pracownicy
Komendy Portu Wojennego Gdynia.

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość

o śmierci naszego kolegi,
wieloletniego kierownika Przychodni
Stomatologicznej,

płk. w st. spocz. dr. hab. n. med.

Czesława Grodzkiego.

Z serca płynące wyrazy głębokiego współczucia

dla Żony, Dzieci i całej Rodziny

składają komendant płk lek. Wojciech Tański,
kadra oraz pracownicy

4 Wojkowego Szpitala Klinicznego
z Polikliniką SP ZOZ we Wrocławiu.

Panu ppłk. rez. Sławomirowi Grześkowiakowi,
specjaliście ds. rekonwersji w Wojewódzkim Sztabie
Wojskowym w Gdańsku,

oraz Jego Rodzinie

wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają kadra zawodowa i pracownicy wojska
Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego w Gdańsku.

„Na zawsze pozostanie w naszej pamięci”.

16 stycznia 2017 roku

po długiej i ciężkiej chorobie zmarł

mł. chor. Andrzej Stręk.

Z Rodziną i Najbliższymi

łączą się w bólu oraz składają wyrazy współczucia
dowódca, żołnierze oraz pracownicy
resortu obrony narodowej
Jednostki Wojkowej NIL.

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

płk. rez. Wiesława Kaczmareckiego,

byłego szefa Oddziału Kontroli Rozbrojenia.

Wyrazy szczerego współczucia i żalu

Rodzinnie oraz Najbliższym

składają koledzy z Oddziału.

Panu ppłk. Wojciechowi Kotschy

wyrazy głębokiego współczucia
oraz najszczerze kondolencje z powodu śmierci

Teścia

składają żołnierze i pracownicy wojska
112 Batalionu Remontowego w Giżycku.

St. chor. sztab. Andrzejowi Bork

słowa wsparcia oraz wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają dowódca, kadra i pracownicy
Batalionu Dowodzenia Marynarki Wojennej.

KSIĄŻKA

Fikcyjna twierdza

Bitwa o Szczecin tak naprawdę rozegrała się poza aglomeracją miejską.

Trzecia Rzesza na początku 1945 roku nieodwracalnie chyliła się ku upadkowi. Armia Czerwona w szybkim tempie zbliżała się do Berlina. Na jej drodze stała jeszcze tylko jedna przeszkoda – zgrupowanie wojsk niemieckich na Pomorzu Zachodnim. Stettin, dzisiejszy Szczecin, miał się bronić do ostatniego żołnierza. Historiografia radziecka pokazywała walki o nadmorskie miasto jako heroiczny bój z elitarnymi jednostkami SS. W rzeczywistości najcięższe walki odbywały się poza obszarem miejskim. Większość niemieckich oddziałów stanowiły naprędce tworzone formacje o niewielkiej wartości bojowej, a hitlerowcy w kwietniu 1945 roku, ze względu na sytuację na froncie, opuścili miasto.

Książka Michała Rembas i Grzegorza Ciechanowskiego „Bitwa o Szczecin dzień po dniu” to świetnie napisana, wzbogacona unikatowymi fotografiami historia zmagania wojsk obu stron na terenie Pomorza Zachodniego dzień po dniu. Ogromnym walorem są wspomnienia żołnierzy walczących w ostatnich tygodniach II wojny światowej – Rosjan, Polaków, Niemców, a także Walonczyków z formacji SS „Wallonien” Leona Degrella oraz robotników przymusowych. ■

JAKUB NAWROCKI

Michał Rembas, Grzegorz Ciechanowski, „Bitwa o Szczecin dzień po dniu”, Bratek Michał Rembas, 2016

KSIĄŻKA

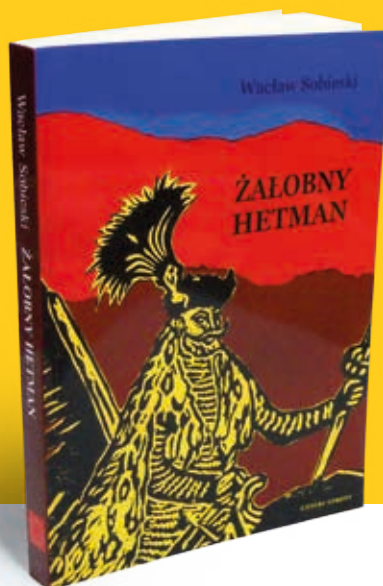
Szkice o historii

Przeszłości nie da się odwrócić, ale należy ją badać.

Znajomość historii własnego kraju jest elementem tożsamości narodowej. Żeby zrozumieć mechanizmy zmian, rozmaitych przeobrażeń, które się dokonują na przestrzeni dziejów, warto sięgać do przeszłości. Żyjący na przełomie XIX i XX wieku polski historyk prof. Wacław Sobieski w swojej pracy naukowej skupiał się szczególnie na XVI i XVII wieku, a więc okresie potęgi Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Książka „Żałobny hetman” to zbiór szkiców dotyczących tego okresu. Postacią łączącą trzy spośród nich i jednym z głównych bohaterów jest hetman i kanclerz wielki koronny Jan Zamoyski. Sobieski pokazuje go najpierw jako dwudziestoparoletniego młodzieńca, któremu król Stefan Batory powierzył misję odzyskiwania starostw. Autor opisuje rodzący się wówczas ruch społeczno-gospodarczy, powstały z inicjatywy szlachty, a skierowany przeciwko senatorom

(magnatom), głównie w celu odzyskiwania królewskiej ziemi. Wprowadza też czytelnika w okres dojrzałości Zamoyskiego, tuż po śmierci Batorego, kiedy musiał stawić czoła swoim przeciwnikom z sympatyzującym z Habsburgami rodem Zborowskich na czele. I wreszcie poznajemy Zamoyskiego już w sędziwym wieku, kiedy zaprotestował przeciwko wspomnaniu przez Wiśniowieckich Dymitra Samozwańca. Sobieski przybliży wydarzenia – jak sam wyjawia, na podstawie nieznanych dotychczas dokumentów – które stanowiły tło dla pojawienia się tej kontrowersyjnej postaci. Książkę wieńczy obszerny szkic o wpływie zakonu jezuitów na politykę Zygmunta III Wazy, napisany pod wpływem lektury dzieła księdza Stanisława Załęskiego „Jezuici w Polsce”, która ukazała się we Lwowie w latach 1900–1901. Całość jest napisana barwnym, żywym językiem w tonie gawędziarskiej opowieści i – zgodnie z zapewnieniem redakcji – poprawiona według współczesnych zasad języka polskiego, co niewątpliwie ułatwia jej odbiór. ■

RENATA GROMSKA



Wacław Sobieski, „Żałobny hetman”, Cztery Strony, 2016

Chesley B. „Sully”
Sullenberger III, Jeffrey Zaslow,
„Sully. W poszukiwaniu tego,
co naprawdę ma znaczenie”
Znak, 2016

KSIĄŻKA

Czasem słońce, czasem mróz...

Próba pokazania zależności
między człowiekiem a naturą.

Niemal każdego dnia przekonujemy się, że otaczająca nas przyroda wywiera wpływ na nasze zachowanie. Czy mechanizm ten działa również na większą skalę? To znaczy, czy można stwierdzić, jaki wpływ na losy ludzkości, a także poszczególnych nacji miały różne zjawiska atmosferyczne, klęski i żywioły? Odpowiedzi na te pytania próbuje udzielić Maciej Rosalak w wydanej niedawno publikacji „Tsunami historii. Jak żywioły przyrody wpływały na dzieje świata”.

Autor traktuje temat dość szeroko, co nie znaczy, że powierzchownie. Opisuje zjawiska i żywioły, takie jak wybuchy wulkanów, powodzie, huragany, trzęsienia ziemi, w kontekście konkretnych miejsc i wydarzeń historycznych. Przytacza jednocześnie materiały źródłowe i opinie badaczy. Dzięki nim dowiadujemy się m.in., że zagłada Sodom i Gomory mogła być wynikiem uderzenia w naszą planetę ciała niebieskiego, które – lecąc nisko nad ziemią – siało spustoszenie na swojej drodze. Na podstawie analizy ruchów tektonicznych z początku naszej ery udało się z kolei ustalić dokładną datę śmierci Jezusa (w „Ewangelii” jest opis tego, co działo się po ukrzyżowaniu – „ziemia zaдрżała i skały zaczęły pękać”).

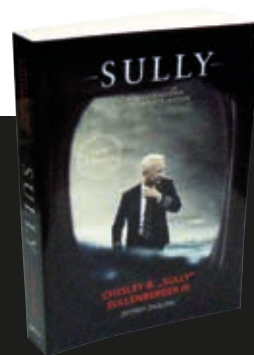
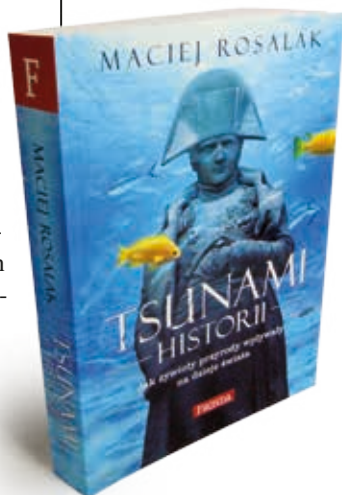
Równie ciekawa jest ta część książki, w której autor odnosi się do konkretnych wydarzeń historycznych, takich jak wojny czy poszczególne bi-

twy, i zastanawia się, jaki wpływ na nie miały panujące wówczas warunki atmosferyczne. Analizuje m.in. bitwy pod Grunwaldem i Waterloo, wojnę Napoleona z Rosją czy oblężenie Stalingradu. W wypadku tych dwóch ostatnich największą rolę odegrał „generał Mróz”, który powodował, że cynowe guziki przy francuskich mundurach rozsypywały się w proch, a w niemieckich czołgach zamarzały benzynowe silniki i smar w karabinach.

Maciej Rosalak wspomina także o „żywych żywiołach”, czyli zwierzętach, które „w różny sposób wpływały na bieg ludzkiej historii”. Wydaje się, że ta część nie pasuje do pozostałych i być może jest to temat na odrębną publikację. Nie zmienia to faktu, że historia USS „Indiana-polis”, o którego tragicznych losach w czasie wojny na Pacyfiku zdecydowały... rekiny, zaciekał niejednego czytelnika. ■

MARTA SACHAJKO

Maciej Rosalak, „Tsunami historii. Jak żywioły przyrody wpływały na dzieje świata”, Fronda, 2016



KSIĄŻKA

Cud czy profesjonalizm?

Na całym świecie 15 stycznia 2009 roku było o nim głośno. Chesley B. „Sully” Sullenberger III, amerykański pilot wojskowy i cywilny, dokonał tego dnia rzeczy prawie niemożliwej – airbusem A320 ze 155 osobami na pokładzie wylądował awaryjnie na rzece Hudson w Nowym Jorku. Nikt przy tym nie ucierpiał. Zakończone sukcesem lądowanie „Sully” tłumaczy ponadczterdziestoletnim doświadczeniem w pilotażu, które pozwalała w niebezpiecznych chwilach podjąć w ciągu kilku sekund właściwą decyzję. W czasie lotu nr 1549, kiedy jego maszyna wleciała w stado ptaków i awarii uległy oba silniki, postanowił lądować na wodzie. W książce „Sully. Nieznana historia cudu na rzece Hudson” kapitan przedstawia różne aspekty swojego życia. Z autobiografii dowiadujemy się, jakie samoloty pilotował – począwszy od pierwszych chwil spędzonych w powietrzu u boku mentora Cooka, przez służbę w amerykańskich siłach powietrznych, aż po pracę w liniach lotniczych US Airways. Poznajemy go jako zwykłego człowieka, a nie znakomitego pilota czy bohatera, jak o nim pisały media. „Sully” i Zaslow opisują też wiele innych, mniej spektakularnych rejsów oraz odsłania kulisy pracy pilota. ■

NATALIA EKIERT



KSIĄŻKA

Powrót skrytobójcy

Historia „Assassin's Creed” zaczęła się całkiem niedawno, w 2007 roku, a od tego czasu popularna seria wrosła mocno w świadomość nie tylko miłośników gier komputerowych. Wydano już kilkanaście książek, komiksy, nakręcono też kilka filmów opartych na fabule gry. Jej osią jest konflikt między bractwem asasynów a templariuszami i walka o artefakty, które mogą być wykorzystane do tego, aby zakłócić istniejący porządek

świata. Przez kilkanaście lat twórcom z firmy Ubisoft udało się wykreować nowego wszechbohatera, którego pierwowzorem był przecież nie rycerz walczący o sprawiedliwość, lecz bezlitosny zabójca wyszkolony w tajemniczej muzułmańskiej sekcji.

Asasyni, najbardziej pożądani i jednocześnie nienawidzeni skrytobójcy średniowiecza, po prawie 200 latach zostali pokonani przez Mongołów. Jednak, jak można przeczytać na forach internetowych, ich legenda jest wciąż żywa, a koniec nie całkiem pewny. Teoria spiskowa głosi, że asasyni wciąż są wśród nas, ale skutecznie się ukrywają. Jej zwolenników z pewnością zadowoli najnowsza powieść z serii o asasynach.

Christie Golden, „Assassin's Creed”, Insignis, 2017

Po kilkunastu latach panowania Olivera Bowdena, czyli brytyjskiego pisarza Antona Gilla, jako autora książek związanych z grą Assassin's Creed firma

Ubisoft zaprosiła do współpracy Christie Golden, znaną już autorkę powieści z serii Warcraft czy Starcraft. Jej najnowsze dzieło jest oparte na scenariuszu filmu i stanowi oderwany od wykreowanego na potrzeby gier uniwersum wątek historii o tajemniczych zabójcach. Bohater Callum Lynch zostaje zabrany przez doktor Sofię Rikkin do tajemniczego ośrodka badawczego prosto z krzesła elektrycznego. Tam dowiaduje się, że dzięki maszynie nazywanej Animusem będzie mógł cofnąć się w czasie do wydarzeń, których uczestnikiem był jego przodek, asasyn, Aguilar de Nehr. W ten sposób doktor Rikkin chce odnaleźć niezwykle cenny artefakt, tajemnicze jabłko, które ukrył Aguilar. Callum jako swój przodek dostaje się w centrum walk między asasynami a templariuszami, których stawką jest przyszłość nie tylko bractwa, lecz także całej ludzkości.

Film „Assassin's Creed” w dużej mierze przypomina grę. Mnóstwo w nim akcji, efektownych walk i długich pościgów. Książka jest fabularnym zapisem scenariusza, ma jednak nad nim istotną przewagę. Na papierze łatwiej jest opisać emocje, które towarzyszą bohaterom, wejść głębiej w ich świadomość i dzięki temu poznać motywy ich działań. Stają się przez to bardziej ludzcy, bliżsi naszej rzeczywistości, a nie tej wirtualnej.

JOANNA ROCHOWICZ



KSIĄŻKA

Tożsamość żołnierzy

Bohaterowie z dołów śmierci odzyskują imiona i nazwiska.

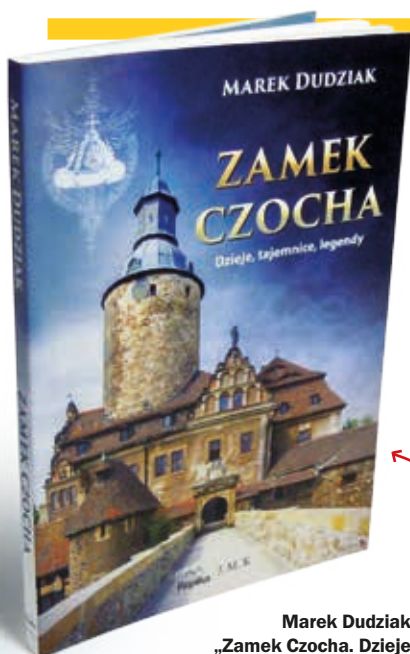
Oni mieli zniknąć bez śladu. Łatwiej zatrzeć pamięć, kiedy nie ma grobu”, wyjaśniła Małgorzacie Szejnert, autorce książki „Śród żywych trupów”, Aniela Steinsbergowa, prawniczka, która w komunistycznych procesach broniła akowców. Władze ludowe chciały wymazać tych ludzi z historii i ze świadomości społecznej, ale też zatrzeć ślady swych zbrodni. Po będących farsą

procesach, na żołnierzach, którzy większość życia poświęcili walce za ojczyznę, wykonywano wyroki. Kaci zabijali ich strzałem w tył głowy, metodą katyńską, lub przez powieszenie, jak pospolitych przestępców i nazistów. Rodzin zamordowanych nie informowano nawet o egzekucji, nie mówiąc już o wydaniu ciała. Pod osłoną nocy zwłoki wywożono m.in. na cmentarz przy ul. Wałbrzyskiej

w Warszawie i na Wojskowe Powązki, gdzie grzebano je bezładnie, bez trumien, często w zbiorowych mogiłach.

Dopiero po kilkudziesięciu latach udaje się przywrócić tożsamość ofiarom komunistycznego reżimu.

To niezwykle ważne, bo, jak stwierdził dr Andrzej Ossowski, dzięki identyfikacji genetycznej mówi się o konkretnych osobach, z imieniem i nazwiskiem. To przemawia znacznie bardziej niż statystyka. Ponadto rodziny zamordowanych wreszcie mogą pochować swoich bliskich. Do grona osób przywracających tożsamość ofiarom dołączył też Waldemar Kowalski. Ten historyk i dziennikarz w książce „Bohaterowie z dołów śmierci” opisał mechanizm sądowniczy państwa ludowego, w którego tryby dostali się żołnierze AK. Przybliżył sylwetki pięciu najbardziej znanych ofiar tego systemu oraz pokazał naukowców zaangażowanych w prace na Łączce. I chyba taki szeroki wachlarz zagadnień jest mankamentem



Marek Dudziak,
„Zamek Czocho. Dzieje,
tajemnice, legendy”,
Wydawnictwo Marek Dudziak –
„JMK”/Replika, 2016

KSIĄŻKA

TAJEMNICE CZOCHA

W planach wycieczek krajoznawczych zamki zawsze stanowią atrakcję. Są świadectwem przeszłości, rozbudzają wyobraźnię i często skrywają jakąś tajemnicę.

Jedną z najciekawszych budowli tego typu na Dolnym Śląsku jest pochodzący z XIII wieku zamek Czocho. Dotrwał do naszych czasów praktycznie niezniszczony. Jak zauważa autor, stało się tak m.in. dzięki opiece Wojska Polskiego. Dziś jego właścicielem jest Grupa Hoteli WAM. Mimo że o zamku powstało kilka publikacji, nie doczekał się

przewodnika. Książka Marka Dudziaka wypełnia tę lukę. Jak autor sam zaznacza, przez lata zgromadził wiele materiałów, prowadził na miejscu, chyba jako jedyny w historii, oficjalne prace badawcze. Dostajemy zatem do rąk udokumentowane opracowanie o historii zamku i jego właścicieli. Oprócz opisu wnętrza, uzupełnionego pięknymi fotografiami, także dawnych pocztówek, autor opowiada o zamkowych duchach, legendach, tajemnicach i skarbach. Uruchamiamy więc wyobraźnię i wybieramy się w podróż w czasie.

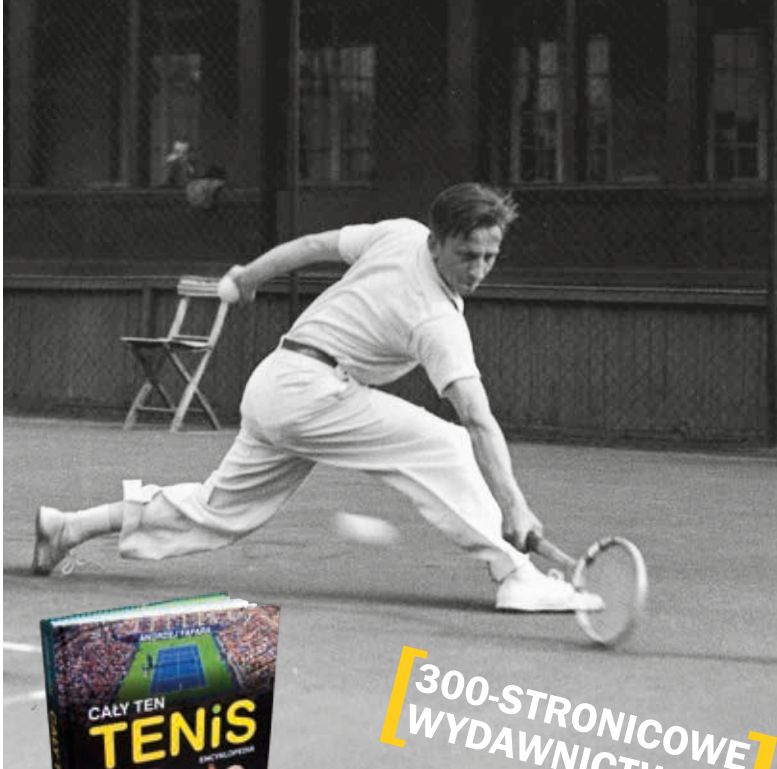
tej publikacji. Sam tytuł bowiem wskazywałby na to, że poznamy życiorysy żołnierzy podziemia, których zamordowali komuniści, ale nie tylko tak dobrze wszystkim znanych, jak Emil August Fieldorf, Hieronim Dekutowski czy Witold Pilecki. Książka natomiast składa się z trzech, bardzo różniących się od siebie stylem, formą i poziomem merytorycznym, części: mamy tu zatem analizę historyczną, biogramy i rozmowy z naukowcami. Wszystkie trzy są ciekawe, ale nie sprawiają wrażenia spójnego dzieła. Poza tym zadaję sobie pytania: po co ta książka powstała? Co nowego wnosi do badań? Niewiele, bo jest kompilacją informacji, które pojawiły się w opracowaniach i mediach w czasie prac na Łączce lub wcześniej. Niemniej jednak jest to ciekawa lektura dla tych, którzy ten temat dopiero zgłębiają.

ANETA WIŚNIEWSKA

Waldemar Kowalski, „Bohaterowie z dołów śmierci”, PWN, 2016

Miejsce to przyciąga nie tylko turystów, lecz także filmowców. Na zamku nakręcono m.in. takie filmy, jak „Gdzie jest generał”, „Misja” czy „Wiedźmin”. Tu toczy się też akcja powieści Bogusława Wołoszańskiego „Twierdza szyfrów”. Dudziak jednak wyjaśnia, że przedstawione w niej historie nie znajdują potwierdzenia w dokumentach i relacjach świadków tamtych czasów. Książka jest nie tylko świetnym przewodnikiem po zamku Czocha i interesującą opowieścią o jego przeszłości, nieznanych faktach, lecz także inspiracją dla kolejnych badaczy, bowiem autor stawia ważne pytania dotyczące tego miejsca, na które do dziś nie znaleziono odpowiedzi.

RENATA GROMSKA



KSIAŻKA

Andrzej Fafara, „Cały ten tenis”,
Wydawnictwo Olesiejuk, 2016

Wszystko o tenisie

Jaki wpis widnieje w książeczce wojskowej jednego z najwybitniejszych tenisistów w historii?

Kompletna i ciekawie spisana encyklopedia tenisa to rzadkość na rynku wydawniczym. Na świecie szerzej znane są dwie – autorstwa Buda Collinsa i Gianniego Clericiego. Po długich latach oczekiwania pojawiło się pierwsze takie kompendium opracowane przez Polaka. Andrzej Fafara podjął się trudnego i czasochłonnego zadania. **Przygotowanie encyklopedii tenisa zajęło mu około trzech lat.** I gdyby nie ogromna wiedza autora o tym sporcie, trwałoby to zapewne o wiele dłużej. Efektem prac jest niemal 300-stronicowe wydawnictwo, w którym czytelnik znajdzie blisko 1100 haseł. „Cały ten tenis” to kompendium, w którym znajdziemy opisy turniejów, uderzeń i wielu innych pojęć związanych z tym sportem. Naturalnie dominują wpisy poświęcone zawodnikom. Zarówno tym najwybitniejszym, jak i nieznanym szerszej publiczności.

Dla polskich fanów tenisa szczególnie wartościowe będą informacje o graczach z okresu, kiedy wielkoszlemowe turnieje niejednokrotnie odbywały się w ogóle bez udziału naszych reprezentantów. Najprawdopodobniej to także jedyna pozycja, w której w jednym miejscu spisane są szczegóły związane z ich życiem i karierą.

Na co skarżył się Marat Safin Wojciechowi Fibakowi? Jaki wpis widnieje w książeczce wojskowej jednego z najwybitniejszych tenisistów w historii, Rogera Federera? Na te i wiele innych pytań odpowie „Cały ten tenis”. Tytuł encyklopedii doskonale oddaje jej treść – autor nie pominął nic godnego uwagi. Ta książka spodoba się większości czytelników zainteresowanych sportem w ogóle. Dla miłośników tenisa – pozycja obowiązkowa.

PIOTR ZARZYCKI

KSIĄŻKA

TEMIDA Z KRZYWEGO ZWIERCIAŁA

**Julia Brystygier stała się symbolem bestialskich
metod stosowanych przez bezpiekę.**

Zielonym atramentem podpisywała dokumenty, które decydowały o życiu ludzi. Stała za internowaniem kardynała Stefana Wyszyńskiego czy aresztowaniem biskupa Czesława Kaczmarka, jednocześnie Paweł Jasienica zawdzięczał jej zwolnienie z więzienia. Nie była postacią jednoznaczną. Przez lata w świadomości społecznej utrwalił się obraz psychopatki pnącej się po szczeblach partyjnej kariery, która czerpała przyjemność z zadawania ludziom bólu. Julia Brystygier stała się wręcz symbolem bestialskich metod stosowanych przez aparat władzy w czasach PRL-u.

Kim zatem była „Krwawa Luna”?

Na to pytanie stara się odpowiedzieć

Iwona Kienzler w opracowaniu pokazującym system śledczy w powojennej Polsce. Wielu historyków i publicystów zwraca uwagę na to, że niektóre oskarżenia pod jej adresem nie znajdują potwierdzenia w materiałach źródłowych. Nie można jednoznacznie powiedzieć, że nie katowała aresztowanych. Tyle że Julia Brystygier sama nie prowadziła śledztw i nie przesłuchiwała oskarżonych, choć często z nimi rozmawiała. Ktoś nawet stwierdził, że jest zbyt inteligentna i wykształcona na zajmowanie się wybijaniem zębów. Niektórzy natomiast uważają, że znajdowała



Iwona Kienzler „Krwawa Luna i inni. Prokuratorzy i śledczy systemu stalinowskiego w Polsce”, Bellona, 2016

wręcz sadyistyczną satysfakcję w stosowaniu najwymyślniejszych tortur. Nie do końca wiadomo również, czy u schyłku życia zwróciła się ku Bogu i zmarła jako głęboko wierząca katoliczka. Z pewnością jednak kierowała machiną, która doprowadziła do dramatycznej śmierci wielu ludzi.

Dlatego Iwona Kienzler nie pokazuje nam działań Luny wyrwanych z kontekstu. Najpierw opisuje jej lata młodzieńcze i fascynację komunizmem, później aktywność w okresie tworzenia się władz Polski Ludowej i karierę w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego. Wszystko to w kontekście historycznym ze szczególnym uwzględnieniem powstawania w kuriozalny sposób komunistycznego sądownictwa. Co więcej, autorka przedstawiła również innych ludzi z tego systemu, takich jak Helena Wolińska, Józef Różański, Stefan Michnik czy Julian Polan-Haraschin.

ANETA WIŚNIEWSKA

POD NASZYM PATRONATEM

Opowieść o Kopciuszku

Nowa powieść Nawała rozpoczęła się 11 września 2001 roku. Nie jesteśmy jednak w Nowym Jorku ani nawet w USA, lecz wśród specjalsów w Polsce. Jak na wieść o ataku na World Trade Center reagują żołnierze GROM-u, jednej z najlepszych jednostek na świecie? Naval w książce „Ostatnich gryzą psy” ujawnia kulisy tego, co działo się w GROM-ie, gdy terroryści zaatakowali Stany Zjednoczone. Zawiedzie się jednak ten, kto będzie

szukał w tej powieści taniej sensacji. To raczej pełen osobistych wspomnień zapis dnia wyjątkowego dla wojsk specjalnych.

Naval opowiada też o tym, jak spełniać swoje marzenia, gdy nie sprzyja ci los. On w trudnych sytuacjach nie załamywał rąk i nie lamentował, tylko pokonywał kolejne przeszkody. Swoją opowieść zaczyna od lat dzieciństwa, pokazuje czas dorastania, kiedy miał miliony pomysłów, takich rodem z lat dziewięćdziesiątych, na zarobienie pieniędzy (łącznie z drobnym szmuglowaniem alko-

holu z zagranicy). Były specjals dużo pisze też o tym, jak w tamtych latach wyglądała armia. Ci, którzy marzą o wojskach specjalnych, na pewno będą wnikliwie czytać rozdziały o selekcji do GROM-u. Czy znajdą tam jakieś wskazówki? Chyba nie. Raczej motywacje do działania. Historia Nawała jest

jak opowieść o Kopciuszku. Tyle że ekspromowcowi nikt niczego nie wyczarował, na wszystko zapracował sobie sam.

EWA KORSK

Naval, „Ostatnich gryzą psy”, Bellona, 2017



Proszę państwa, oto miś...

Historia niedźwiedzia, który przeżył szlak bojowy razem z żołnierzami
2 Korpusu Polskiego.

MAPKI
I ILUSTRACJE
PHILIPA
HOPMANA

W tę opowieść trudno uwierzyć. Mały niedźwiadek, którego żołnierze ratują przed śmiercią lub w najlepszym razie losem ulicznego cyrkowca, trafia do polskiego wojska, w którym przez ponad pięć lat służy jako szer. Wojtek. O tym okresie opowiada książka Bibi Dumon Tak „Niedźwiedź Wojtek. Na żołnierskim szlaku”. I choć pozornie kierowana jest do dzieci, z pewnością dostarczy wielu wrażeń również dorosłemu czytelnikowi. Napisana przystępnym językiem, w ciekawy sposób opowiada o losach Wojtka, który wraz z 2 Korpusem Polskim wędruje z Iranu, przez Egipt, Wło-

chy, aż do Szkocji, gdzie niestety musi się rozstać ze swoimi polskimi przyjaciółmi. Po wojnie bowiem oni wracają do ojczyzny, a miś trafia do zoo w Edynburgu, w którym spędza resztę życia.

Bibi Dumon Tak opowiada o wojnie, żołnierskiej codzienności, odwadze, ale przede wszystkim o przyjaźni. Jak tłumaczy opiekun Wojtka: „Te zwierzęta są naszymi maskotkami i naszymi przyjaciółmi. Dzięki nim łatwiej znieść tę wojnę”. Tutaj trzeba dodać, że żołnierzom towarzyszą również m.in. małpa Kaśka, pies Stalin

i papuga umiejąca powiedzieć „Hitler kaput!” – nic więc dziwnego, że Batory, którym płyną do Włoch, przypomina arkę Noego. Książka nie tylko bawi i wzrusza, lecz także uczy. Autorka w prosty i zrozumiały dla najmłodszych sposób objaśnia to historyczne przedstawianych wydarzeń, w czym pomagają zamieszczone w publikacji mapki i ilustracje Philipa Hopmana. Znakomita lektura dla całej rodziny.

MARTA SACHAJKO

Bibi Dumon Tak,
„Niedźwiedź Wojtek.
Na żołnierskim
szlaku”, Replika,
2016



KSIAŻKA

Skok na cztery łapy

Pieska wojna z psiej perspektywy

Wszystkie dzieci kochają zwierzęta. Zwłaszcza psy, w szczególności te superodważne, które dla przyjaciela, człowieka, są gotowe zaryzykować własne życie. Z tego powodu Bing, czworonożny spadochroniarz 13 Batalionu Powietrznodesantowego, jest doskonałym bohaterem książki dla dzieci. W dodatku jej autor, Gil Boyd, udzielił mu głosu i pozwolił opowiedzieć historię psiej służby z perspektywy czterech łap.

Pies oddany przez właścicieli wojsku rozpoczyna szkolenie pod okiem nowego przyjaciela, Kena. Traktuje je raczej jako zabawę, nie do końca zrozumiałą, lecz zawsze

opłaconą smakowitymi kaskami. Skakania ze spadochronem się nie boi, podobnie jak odgłosów strzelania i walki. Po powrocie z pewnej operacji dostaje nowego opiekuna i razem z nim bierze udział we wszystkich akcjach, aż do zakończenia wojny. Potem wraca do właścicieli. Odznaczony Medalem Dickina spokojnie dożywa starości.

Książka Gila Boyda jest adresowana do mniejszych dzieci i naprawdę warto ją wspólnie przeczytać wieczorem, do poduszki. Trzeba przy tym pamiętać, że Bing to nie postać z bajki, lecz prawdziwy bohater, który brał udział w działaniach wojennych. Psy w 13 Batalionie, nazywane „para-

dogs”, zaczęto szkolić w 1944 roku pod okiem kpr. Kena Baileya. Znakomicie sprawdzały się w trudnych warunkach, wykrywały miny, a dzięki doskonale wykształconym zmysłom węchu i słuchu nieraz uchroniły żołnierzy przed dostaniem się w ręce wroga. Sam Bing podobno odznaczał się wyjątkową wrażliwością na bodźce i rzeczywiście ocalił życie swoim towarzyszom.

A jeśli ktoś naprawdę chce się wzruszyć nad żołnierskim psim losem, może chociażby poznać losy szer. Corteila i jego wiernego psa Glena, którzy zginęli podczas D-Day i spoczęli w jednym grobie na cmentarzu w Ranville. Tylko że to już zupełnie inna historia.

JOANNA ROCHOWICZ

Gil Boyd, „Kundel
Bing. O psie, który
skakał na
spadochronie”,
Replika, 2016



ANDRZEJ
FĄFARA

Wstawał i walczył



Zmarł st. chor. Jan Szczepański, wybitny bokser, chyba już ostatni z wielkich podopiecznych legendarnego trenera Feliksa Stamma. W sporcie musiał pokonać wiele ostrych zakrętów, ale w końcu udało mu się dotrzeć na szczyt. W 1972 roku zdobył tytuł mistrza olimpijskiego, stał się tym samym jednym z siedmiu polskich pięściarzy, którzy dokonali tej sztuki.

Przez długie lata był związany z Legią Warszawa, wtedy potężnym klubem wojakowym. Tak jak wielu utalentowanych sportowców, dostał powołanie do odbycia służby wojskowej. A ponieważ okazał się przydatny w zespole, który rok w rok walczył o mistrzostwo kraju, to zaproponowano mu mieszkanie i etat zawodowego żołnierza.

Miał niewiele ponad 20 lat, wydawało się, że czeka go wielka kariera. Feliks Stamm zaprosił go na zgrupowanie kadry narodowej, zdobył dwa tytuły mistrza Polski, wystartował w mistrzostwach Europy. I wówczas podczas rutynowych badań wykryto u niego arytmie serca. To oznaczało koniec uprawiania sportu. Zaczął pracować jako kierowca, skończył technikum mechaniczne. Cały jednak czas wierzył, że prędzej czy później wróci na ring.

Cztery i pół roku chodził na badania, aż wreszcie lekarze wyrazili zgodę na powrót. Było to kilka miesięcy przed jego 29. urodzinami. Mógł odstawić ciężarówkę na parking i znowu zająć się boksem. Trzy lata później został mistrzem Europy, ale zaraz potem zdarzył się kolejny krach. Szczepański, wygwizdany bezlitośnie podczas mistrzostw Polski w Katowicach, zerwał w trakcie dekoracji białą-czerwoną szarfę i rzucił w tłum agresywnych kibiców. Odebrano mu tytuł mistrzowski i zdyskwalifikowano dożywotnio. Karę na szczęście cofnięto (nie bez znaczenia była bliskość igrzysk), ale na drodze do medalu olimpijskiego znów stanęli Szczepańskiemu lekarze. Tym razem jednak dużo szybciej zmienili zdanie i dzięki temu 10 września 1972 roku bokserowi Legii odegrano „Mazurka Dąbrowskiego”.

Jan Szczepański największe swoje sukcesy odniósł w wadze lekkiej. Walczył technicznie, nie był ringowym zabijaką. Doprowadził do perfekcji coś, co nazywane jest szermierką na pięści. Gdy toczył bój z jakimś agresywnym rywalem, takim, który robił dużo szumu na ringu, ta jego wspaniała technika była doceniana tylko przez koneserów. Widzowie gwizdali, protestowali, obrzucali sędziów i zwycięzcę wyzwiskami. Szczepański słyszał to po wielu swoich walkach.

Te ważniejsze pojedynki mistrza olimpijskiego na pewno znajdują się na taśmach w archiwum telewizyjnym. Można też go zobaczyć w akcji w filmie fabularnym Marka Piwowskiego „Przepraszam, czy tu biją?”. Szczepański i Jerzy Kulej grają milicjantów. W pewnym momencie, nudząc się na komisariacie, zakładają rękawice i zaczynają walczyć. To jedna z najlepszych scen w historii polskiego kina. ■



KWARTALNIK
BELLONA

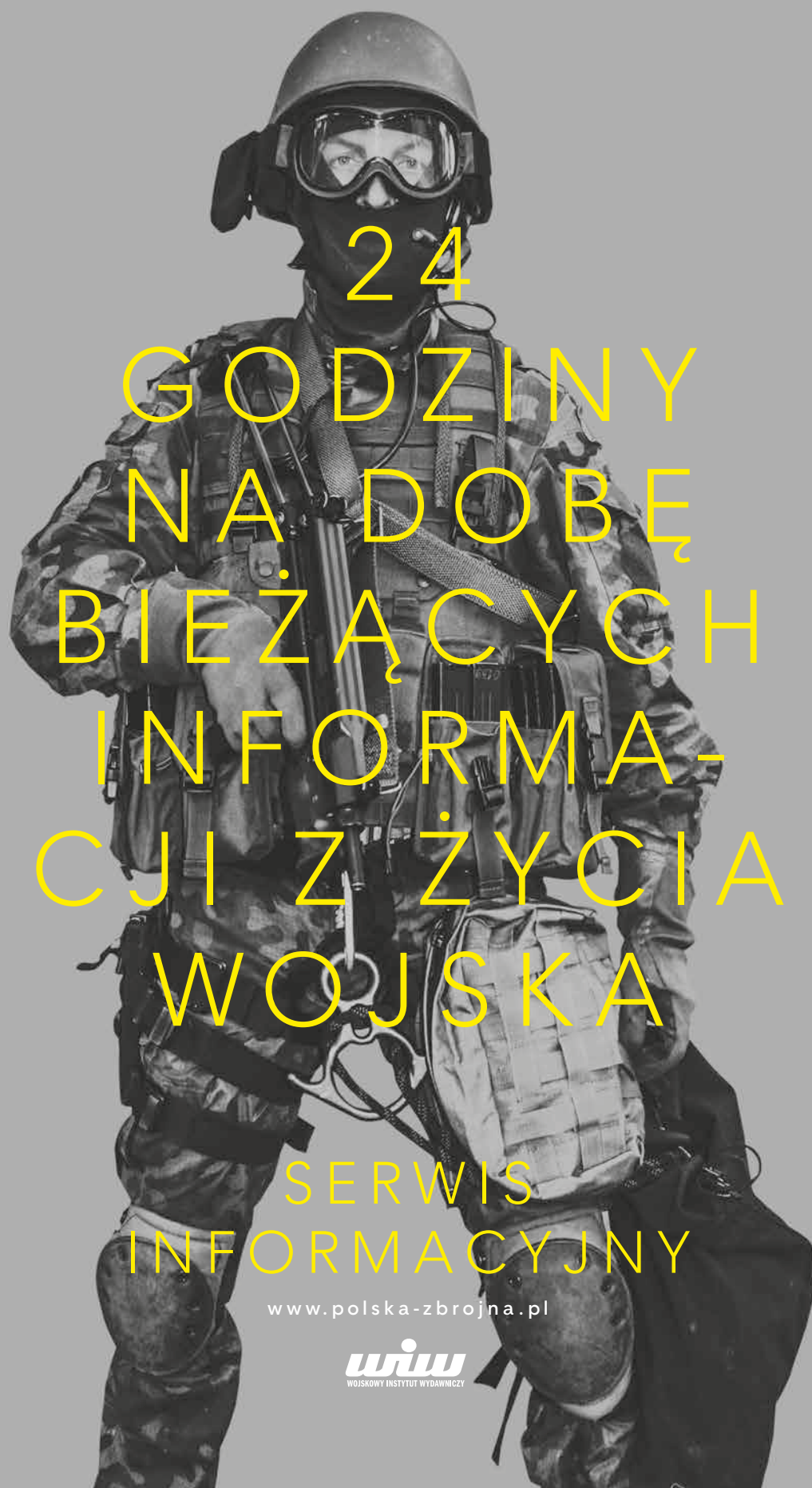
100
LAT DO-
ŚWIADCZEŃ
W BUDOWA-
NIU BEZPIE-
CZEŃSTWA
NARODO-
WEGO

PERIODYK NAUKOWY

www.polska-zbrojna.pl

wiiw
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

POLSKA-ZBROJNA.PL



24
GODZINY
NA DOBĘ
BIEŻĄCYCH
INFORMA-
CJI Z ŻYCIA
WOJSKA

SERWIS
INFORMACYJNY

www.polska-zbrojna.pl

wiiw
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY